

# Co Kasia robiła



SUSAN COOLIDGE

## Co Kasia robiła

TŁUM. ZOFIA GRABOWSKA

### OD AUTORKI

Nie tak dawno siedziałam na łące, w miejscu, w którym płynął strumyk. Było gorąco. Niebo było bezchmurne, a białe chmury — niczym wielkie łabędzie unosiły się tam i z powrotem. Tuż naprzeciwko mnie znajdowała się kępa zielonych krzewów z ciemnymi, miękkimi kolcami, a wśród nich jedna czerwona stroiczka<sup>1</sup>, która sprawiała wrażenie przegładającej się w wodzie. Ale stroiczka nie wydawała się próżna.

Widok ten był tak uroczy, że siedziałam tam chwilę, rozkoszując się nim. Nagle w pobliżu mnie dwa głosiki zaczęły mówić lub śpiewać, nie mogłam określić, co to dokładnie było. Jeden z głosów przypominał wrzask, drugi był niższy i brzmiał zdecydowanie i przekornie. Najwyraźniej spierały się o coś, bo cały czas powtarzały te same słowa: „Kasia to zrobiła! Nie! Kasia tego nie zrobiła. Zrobiła. Nie zrobiła. Zrobiła. Nie zrobiła. Zrobiła! Nie zrobiła!”. Myślę, że powtórzyły to co najmniej sto razy.

Podniosłam się, aby zobaczyć rozmówców, i na jednej z palek dostrzegłam dwa małe zielonoskóre stworzonka. Wydawały się mieć problemy z widzeniem, oba nosiły okulary ochronne. Miały po sześć nóg: dwie krótkie, dwie niezbyt krótkie i dwie bardzo długie. Te ostatnie przypominały resory do powozu — kiedy stworzonka wstały, nogi zaczęły z pośpiechem poruszać się dokładnie tak jak resory w staroświeckim dyliżansie. Prawdę mówiąc, gdybym nie była tak duża, myślę, że mogłabym usłyszeć ich skrzypienie. Dopóki obserwowałam te stworzonka, nie powiedziały nic więcej, ale kiedy tylko się obróciłam, znów zaczęły się sprzeczć tymi samymi słowami: „Kasia to zrobiła! Kasia tego nie zrobiła! Zrobiła. Nie zrobiła!”.

Wracając do domu, pomyślałam o innej Kasi, Kasi, którą kiedyś znałam, która planowała zrobić mnóstwo wspaniałych rzeczy, a w ostateczności nie zrobiła żadnej z nich, tylko coś zupełnie innego, coś, co na początku w ogóle jej się nie podobało, ale w sumie było o wiele wspanialsze niż te wszystkie rzeczy, o których marzyła. I z czasem, kiedy ta historia zaczęła mi się układać w głowie, postanowiłam ją dla Ciebie spisać. Zrobiłam to i zatytułowałam ją na pamiątkę moich dwóch małych przyjaciół z łąki. Oto ona: historia o tym, *co zrobiła Kasia*.

*Tłumaczyła Ilona Kalamon*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY. DZIECI PANA CARR

Kasia Carr mieszkała na końcu miasta Burnet, w domu wysokim, obszernym, białym, z zielonymi żaluzjami i bramą, nad którą róże i powojniki tworzyły gęsty łuk. Cztery duże akacje ocieniały wyżywiowaną drogę prowadzącą do głównego wejścia. Z jednej strony domu było zagajenie, z drugiej stopy drzewa, stodoły i lodownia. Z tyłu ogród warzywny spuszczał się ku południowi, a dalej widać było pastwisko przedzielone strumykiem, orzechy amerykańskie i cztery krowy: dwie czerwone ze spiczastymi rogami, jedną żółtą i jedną białą o imieniu Stokrotka.

<sup>1</sup>stroiczka — lobelia; rodzaj drobnokwiatowych roślin z rodziny dzwonkowanych. [przypis edytorski]

Rodzina Carr składała się z sześciorga dzieci: czterech dziewcząt i dwóch chłopców. Kasia, najstarsza, miała lat dwanaście; Filipek, najmłodszy — lat cztery; inne były pośrodku.

Doktor Carr, ich ojciec, był to człowiek zacny, prawy i tak zajęty obowiązkami, że całe dni, a czasem i noce, spędzał poza domem u chorych. Dzieci te nie miały matki, umarła bowiem, gdy Filipek był niemowlęciem, na cztery lata przed początkiem naszej powieści. Kasia pamiętała ją bardzo dobrze, ale dla reszty dzieci było to smutne i słodkie imię wymawiane w niedzielę albo przy pacierzu, lub gdy ojciec był szczególnie w dobrym usposobieniu.

Miejsce matki, którą tak mało pamiętali, zajęła ciotka Iza, siostra ich ojca. Zaczęła się nimi zajmować, gdy matka udała się w tę daleką podróż, z której jeszcze przez długie miesiące dzieci miały nadzieję, że powróci. Ciotka Iza była to osoba małego wzrostu, z twarzą spiczastą, chuda i dosyć już stara. Odznaczało ją szczególne zamięłowanie do porządku i czystości; usiłowała być dobra dla swych wychowanków, ale bardzo ją drażnili i zdawali się trudni do wychowania, gdyż sama, będąc dzieckiem, ani trochę nie była do nich podobna. Ciotka Iza była niegdyś cichą, schludną istotką, która, niczym Curly Locks<sup>2</sup>, lubiła spokojnie i długo przesiadywać w bawialnym pokoju<sup>3</sup>, wyszywać, być gła-skana po głowie i nazywana „dobrą dziewczynką” przez starsze osoby. Kasia zaś co dzień darła sukienkę, nie cierpiała szycia i nie dbała o to, żeby nazywano ją dobrą, a co się tyczy Józki i Elżbietki, to się rzucały jak rączę<sup>4</sup> koniki, kiedy ktoś chciał je pogłaskać. To wszystko bardzo trapiło<sup>5</sup> ciotkę Izę i trudno jej było wybaczyć, że jej siostrzeńcy są tak „niezrozumiali” i tak niepodobni do grzecznych chłopców i dziewcząt ze szkoły niedzielnej, a takie dzieci najbardziej lubiła i najlepiej rozumiała.

Doktor Carr również ją trapił, chciał bowiem, aby dzieci jego były odważne, śmiałe, zachęcał do skoków i ruchliwych zabaw, chociaż stąd wynikało obrywanie guzów i darcie sukienek. Prawdę mówiąc, ciotka Iza w ciągu całego dnia tylko przez pół godziny bywała z nich w pełni zadowolona, mianowicie przed śniadaniem, kiedy z jej nakazu wszystkie siedziały na małych krzeselkach, ucząc się wersetów z *Biblii* przypadających na bieżący dzień. Cały ten czas chętnym okiem na nie spoglądała, były bowiem jak spod igły<sup>6</sup> — miały tak czyste ubrania, tak porządnie uczesane główki! Ale wraz z odezwaniem się dzwonnka, ustawała jej uciecha, od tej chwili „nie można było na nie patrzeć” według jej wyrażenia. Sąsiadki z wielkim politowaniem rachowały<sup>7</sup> sześćdziesiąt białych wykrochmalonych sukienek suszących się co poniedziałek rano, i rozważały między sobą, jak często trzeba prac dla tych dzieci i jak trudnym zadaniem musi być dla biednej panny Carr utrzymywanie ich tak schludnymi, choć pannie Carr wcale nie wydawały się schludne i w tym była największa bieda.

— Józku, idź na górę umyć ręce! Henrysiu, podnieś kapelusz z ziemi i powieś go na gwoździu! Nie na tym gwoździu, na trzecim od brzegu! — Takie to rzeczy mówiła ciotka Iza przez cały dzień. Dzieci słuchały się jej bardzo, ale nie były do niej przywiązane. Nazywały ją „ciotką Izą”, nigdy „ciocią”, a zarówno chłopcy, jak i dziewczęta dobrze wiedzą, co ta różnica znaczy.

Chcąc wam przedstawić młodszych członków rodziny pana Carr, nie wiem, czy mogłabym znaleźć lepszą sposobność<sup>8</sup>, niż wtedy, kiedy pięć z tych sześciu osóbek siedzi na dachu od lodowni niby kurczęta na grzędzie. Ta lodownia należała do ich ulubionych schronień, a był to tylko długi dach położony nad dołem wykopanym w ziemi. Ponieważ znajdowała się na środku bocznego dziedzińca, zdawało im się, że najkrótszą drogą do jakiegokolwiek miejsca jest wspiąć się po jednej ścianie, a spuścić się drugą. Lubiły także dostawać się na wierzchołek, a zachowując siedzącą pozycję, spuszczać się powoli po gorących dachówkach na ziemię. Ma się rozumieć, że źle na tym wychodziły buty i ubrania,

<sup>2</sup>Curly Locks — bohaterka książki dla dzieci pt. *Mała Curly Locks* (ang. *Little Curly Locks*) autorstwa Petera G. Thomsona. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>bawialnym pokoju — salonie. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>rączę — szybkie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>trapić — martwić. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>jak spod igły — nowe, nieużywane. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>rachować — liczyć. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>sposobność — okazję. [przypis edytorski]

ale mniejsza o to — wszakże sprawy butów i całego ubrania spoczywały na głowie ciotki Izy, a ich rzeczą było ślizgać się i figlować<sup>9</sup>.

Józia, najstarsza po Kasi, siedziała pośrodku. Była to ładna, miła, zaokrąglona dziewczynka, miała długie, ciemnoblond warkocze i niebieskie, załamane oczy. Pomimo jej wielkiej wesołości, z powodu tych oczu i miękkiego, dźwięcznego głosu, wszyscy byli skłonni rozpieszczać ją i stawać po jej stronie. Pewnego razu, będąc jeszcze bardzo małą, uciekła z lalką Kasi, a gdy siostrzyczka ją goniła, chcąc odebrać lalkę, Józia trzymała zdobywczo mocno i wzbraniała się oddać. Doktor Carr, który nie zwracał na to wielkiej uwagi, usłyszał tylko rozpaczliwy ton Józii wołającej „Nie oddam! Ja chcę lalkę!” Nie pytając o nic, wykrzyknął ostro: „Wstydz się Kasiu, natychmiast oddaj siostrze jej lalkę”, co też Kasia bardzo zadziwiona uczyniła; Józia zaś miała tryumfującą minę zadowolonej kotki. Józia była wesoła, łagodna, trochę niedbała i bardzo mało skoncentrowana na sobie, chociaż trzeba przyznać, że miała szczególną zdolność do rozmaitych gier, a przy tym była bardzo zabawna i pocieszna mimo cichego zachowania. Wszyscy ją kochali i ona kochała wszystkich, a najbardziej Kasię, w której widziała najmądrzejszą osobę na świecie.

Mały Filipek siedział na dachu obok Józii, obejmującej go ręką, za nim umieszcila się Elżbietka, szczupłe, opalone, ośmioletnie dziecko. Miała piękne, ciemne oczka i główkę pokrytą krótkimi lokami. Biedna Elżbietka! Brakowało jej odpowiedniej pary w rodzinie — nie należała do starszych ani do młodszych dzieci. Największym jej życzeniem i najwyższą ambicją było trzymać się blisko Kasi, Józii i Cesi Hall, znać ich tajemnice i nosić bileciki do stacji pocztowych, które urządzały sobie po rozmaitych kryjówkach. One jednak nie chciały jej i zwykły mówić, żeby się „poszła bawić z dziećmi”. Przykro mi przyznać, że gdy się temu opierała, one same uciekały, korzystając ze swych dłuższych nóg. Biedna Elżbietka pozostawiona w tyle płakała gorzkimi łzami, a będąc zbyt dumna, żeby się często zadawać z Henrysiem i Joasią, największą uciechę miała w śledzeniu starszych dzieci. Lubiała wykrywać ich tajemnice, a zwłaszcza pocztowe kryjówki, sprawiające jej najdotkliwszą przykrość. Mając oczka bystre i żywe jak ptaszek, tak długo podglądała, świdrowała, śledziła i czuwała, aż nareszcie w jakimś dziwnym i niespodziewanym miejscu, na przykład w pniu drzewa, na zagonie szparagów albo na wierzchołku drabiny, wyspiegowwała papierowe pudełko z paczką kartek, kończących się zwykle tymi słowami: „Tylko niech Elżbietka się nie dowie”. Biegła wówczas do dzieci, rzucała im pudełko przed oczy, mówiąc wyzywająco: „Macie waszą pocztę!” i za każdym razem zbierało jej się na łzy. Biedna Elżbietka! Prawie w każdej rodzinie są takie osamotnione dzieci! Chociaż Kasia miała najpiękniejsze na świecie zamiary, by stać się bohaterką i pocieszać smutnych, jednakże biegając swawolnie<sup>10</sup> tu i tam, nie spostrzegając, że należałoby osładzać dolę opuszczonej siostrzyczki — i dlatego Elżbietka miała ciągle zbolełe serduszko.

Henryś i Joasia siedzieli na dwóch krańcach dachu. Sześciolatek Henryś był to blady, pulchny chłopiec z poważną twarzą i z resztkami konfitur na rękawach od kurtki. Joasia, którą dzieci lubiły nazywać „Jan” albo „Jaś”, była wspaniałym dzieckiem, o rok młodszym od Henrysia. Jej oczy były pełne dobroci, a różowe, szerokie usta zawsze gotowe do śmiechu. Ta dwójka przyjaźniła się z sobą bardzo, chociaż Henryś wyglądał jak dziewczynka ubrana przez pomyłkę za chłopca, a Joasia jak chłopczyk w sukience pożyczonej od dziewczynki. Gdy tak siedzieli, chichocząc i gawędząc, Kasia ukazała główkę w oknie pierwszego piętra i zawołała z tryumfem, pokazując w rękę stos pończoch:

— Hurra! Robota skończona i ciotka Iza pozwala wybrać się na przechadzkę! Czy nie sprzykrzyło<sup>11</sup> się wam czekać? Nie jestem temu winna, to dziury były takie duże i przytrzymały mnie długo. Śpiesz się, Józio, zbierz rzeczy! Za chwilę zejdziemy z Cesią!

Dzieci, zerwawszy się radośnie, zsunęły się z dachu. Józia wzięła parę koszyków, Elżbietka poszła po swego kota, a Henryś i Joasia obladowali się pękami zielonych gałęzi. Gdy już byli gotowi, skrzypnęły boczne drzwi i Kasia z Cesią Hall weszły na podwórze.

Muszę wam coś powiedzieć o Cesi — była to wielka przyjaciółka dzieci pana Carr i mieszkała w sąsiednim domu. Podwórza tych domów były przedzielone od siebie tylko zielonym płotem bez żadnej furtki, Cesia spędzała zatem dwie trzecie czasu z rodziną

<sup>9</sup>figlować — psocić. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>swawolnie — swobodnie. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>sprzykrzyło — znudziło. [przypis edytorski]

doktora i należała niejako do jego gromadki. Była ładna, wytworna, o eleganckich manierach, jasne i połyskliwe włosy miała zawsze najładniej uczesane, twarzyczkę delikatnie zarumienioną, a drobne rączki czyste. Jakże się różniła od mojej biednej Kasi! Jej włosy były zawsze w nieładzie, a suknie, zaczepiane o gwoździe, darły się same i pomimo dużego wzrostu i wieku, była tak roztrzepana i naiwna jak sześciolatnie dziecko. Kasia była *najdłuższą* dziewczynką na świecie. Jakim sposobem tak rosła, tego nikt zgadnąć nie zdołał, ale sięgała już ojcu do ucha i o głowę była wyższa od biednej ciotki Izy. Ile razy pomyślała o swym wzroście, stawała się nieśmiała i niezgrabna i tak się czuła, jak gdyby składała się z samych ostrych kątów, łokci i stawów. Szczęściem miała głowę tak pełną planów, zamysłów i marzeń różnego rodzaju, że nie miała czasu często przypominać sobie, jak jest wysoka. Było to dobre, kochające dziecko, pomimo roztrzepania i pięknych postanowień wznawianych co tydzień, a nigdy niespełnianych. Miewała napady poczucia odpowiedzialności za młodsze dzieci i pragnęła dawać im dobry przykład, ale przy pierwszej lepszej okazji zwykle o tym zapominała. Dni jej przelatywały jak wiatr, bo gdy się nie uczyła, nie szła lub nie naprawiała, zawsze takie rozkoszne zamiary snuły jej się po głowie, że chciałaby mieć dziesięć par rąk, żeby je skutecznie. Ta ruchliwość umysłu nabawiała ją często kłopotu. Lubiała stawiać zamki na lodzie i marzyć o dokonaniu czegoś takiego, co ją wsławi tak dalece, że wszyscy będą pragnęli słyszeć o niej i poznać ją. Wątpię, żeby sobie ułożyła w głowie, co to za nadzwyczajna będzie rzecz, ale zamyślając się o tym, często zapominała wyuczyć się lekcji albo zasznurować buciki, za co potem miała naganę od ciotki Izy. W takich razach pocieszała się myślą, że kiedyś będzie piękna, kochana i słodka jak anioł. Zanim by to jednak nastąpiło, miały w niej zajść różne zmiany — i tak: czarne oczy miały się przerobić na niebieskie, nos miał się przydłużyć i wyprostować, a usta, zbyt szerokie dla bohaterki, miały się stać pączkiem różowym, lecz dopóki by te cudowne rzeczy nie nastąpiły, starała się jak najmniej myśleć o swych rysach.

Dzieciństwo, Dziecko,  
Marzenie

## ROZDZIAŁ DRUGI. RAJ

Miejscem, do którego wybierały się dzieci, był bagnisty gaj położony blisko domu, za polem. Chociaż niewielki, wydawał się duży, bo drzewa i krzaki rosły tak gęsto, że nie można było dojrzeć, gdzie się kończy. W zimie grunt był mokry i błotnisty i nikt tam nie chodził — tylko krowy nieobawiające się zamoczenia nóg. Za to w lecie woda wysychała i wówczas było świeżo, zielono, pięknie, bo wszystko zdobyły dzikie róże, sasafrazy i ptasie gniazda. Gdzieniegdzie wiły się kręte, wąskie ścieżki wydeptane przez bydło chodzące tu i tam. Dzieci nazywały to miejsce „rajem” — wydawał im się rozległy i tajemniczy niby las z zaczarowanej krainy. Na drodze do rajy stało kilka drewnianych barier: Kasia i Cesia przeskoczyły je, a młodsze dzieci przechodziły spodem. Władostawszy się za bariery, już byli prawie w polu i wszyscy razem zaczęli biec aż do samego lasu. Tam stanęli z zabawnym zakłopotaniem na twarzach, było bowiem rzeczą ekscytującą<sup>12</sup> pójść do rajy pierwszy raz po długiej zimie. Któż wie, co czarodziejki mogły zrobić przez czas ich nieobecności?

Przyroda nieożywiona

— Którą ścieżką pójdziemy? — spytała nareszcie Józia

— A gdybyśmy głosowali? — rzekła Kasia. — Ja wybieram Drogę Pielgrzyma i Wzgórze Trudności.

— Ja także — wtórowała Józia, bo zawsze była tego samego zdania, co Kasia.

— Droga Spokoju jest ładna — odezwała się Cesia.

— Nie, nie! Pójdziemy Drogą Sasafrasów — wołali Joasia i Henryś.

Jednakże — jak zwykle — Kasia wzięła górę. Postanowili najpierw spróbować Drogi Pielgrzyma, a potem zwiedzić całe swe królestwo i zbadać, czy coś się wydarzyło po ich ostatniej obecności. Ruszyli więc w drogę: Kasia i Cesia na czele, a Henryś z pękiem gałęzi podążał ostatni.

— Patrzcie, nasz drogi krzak różany ocalał! — wykrzyknęły dzieci, stanąwszy na szczycie Wzgórza Trudności, gdzie na pniu ściętego drzewa kołysał się krzak róży wypuszczający świeże zielone liście. Ten krzak był czarodziejską rzeczą dla ich główek. Układali

<sup>12</sup>ekscytujący — wzbudzający duże emocje i zaciekawienie. [przypis edytorski]

historie o nim i byli w nieustannej trwodze, że jakaś zgłodniała krowa upodoba go sobie<sup>13</sup> i zje.

— Tak, tak — rzekła Kasia, głaszcząc palcem listek — był w wielkim niebezpieczeństwie jednego wieczoru tej zimy, ale ocalał.

— Cóż to było? Opowiedz! — wołały dzieci, bo opowieści Kasi sływały w całej rodzinie.

— Był to wieczór Bożego Narodzenia — mówiła Kasia tajemniczo — bogini różanego krzaku zachorowała, strasznie zaziębiwszy głowę, a bogini topoli rosnącej ponad nią powiedziała, że ziółka z sasafrasów dobre są przeciw zaziębieniu. Ugotowała sobie zatem pełen kubek z żołądki, po czym skryła się w ciemnym i miękkim miejscu w lesie i usnęła. Wśród nocy, gdy mocno chrapała, powstał szmer i przyleciał straszny, czarny byk z płomiennymi oczami. Zobaczywszy nasz biedny krzak róży, chciał go przegryźć na pół, ale w tej chwili wyskoczył spoza pnia mały, tłusty człowieczek. Łatwo się domyślić, że był to święty Mikołaj — tak mocno uderzył on byka laseczką, że ten ryknął strasznie i przednim kopytem macał, czy ma jeszcze nos. Wprawdzie go nie stracił, ale uczył taki ból, że znów ryknął i co prędzej uciekł w las. Wówczas święty Mikołaj obudził boginię, mówiąc, że jeżeli nie będzie lepiej czuwała nad krzakiem różanym, to sprowadzi inną, ją zaś wysła do pilnowania ciernistej, drapiącej jeżyny.

— Czy tu naprawdę jest bogini? — zapytał Henryś, który słuchał tego opowiadania z otwartymi ustami.

— Naturalnie — odrzekła Kasia, a nachyliwszy się do Henrysia, dodała ze szczególną słodyczą w głosie — to ja jestem boginią, Henrysiu.

— Ee! — odrzekł tenże. — Ty jesteś żyrafa, papa tak powiada.

Droga Spokoju nazywała się tak z tego powodu, że była ciemna i chłodna. Wysokie krzaki prawie łączyły się nad nią, a drzewa dawały chłód nawet w południe. Rósł tam także jakiś piękny biały kwiat, którego dzieci nie umiały właściwie nazwać, zatrzymały się więc chwilę, żeby porobić z niego bukiety, po czym Joasia i Henryś oblekli się korzeniami sasafry, dlatego nim zaszli na miejsce przeznaczenia, mieli słońce nad głowami i nastąpiło południe.

— Zaczynam być głodny — odezwał się Henryś.

— Nie wolno ci być głodnym, póki nie skończymy altany! — zawołały dziewczęta z przestrachem, bo trudno go było uspokoić, gdy miał czekać na jedzenie. Śpieszyły się ze swą robotą, która też niewiele czasu zabrała, szło bowiem tylko o rozwieszenie gałęzi na sznurach do skakania, przywiązanych do topoli zamieszkiwanej przez boginię, która doradziła tej drugiej ziółka z sasafry.

Po ukończeniu altany wsunęli się wszyscy do niej. Było tam bardzo ciasno i oprócz dzieci pomieścić się tam mogły zaledwie koszyki i kotek — wątpię, żeby się znalazł kącik na jedną osobę więcej albo nawet na drugiego kota. Gdy Kasia — siedząca w środku — rozwiązała duży koszyk i odkryła wieko, dzieci chciwie zajrzały do wnętrza.

Najpierw ukazały się imbirowe ciastka, które położono na trawie, żeby czekały na swoją kolej, potem biszkopty smarowane masłem i przekładane zimną baraniną, po trzy sztuki dla każdego, nareszcie dwanaście jaj gotowanych na twardo i warstwa grubych kawałków chleba z masłem i piklowanym mięsem. Jak widzicie, ciotka Iza pamiętała o śniadaniu w „raju” i wiedziała, czego się spodziewać po apetytach.

Ach! Jakże wszystko smakowało w tej altanie, gdzie świeży wietrzyk poruszał liśćmi od topoli, gdzie się przedzierały promienie słońca, zapachy leśne i śpiew ptasząt w górze! Żadne przyjęcie dla dorosłych nie sprawiłoby takiej przyjemności! Każdy kęs budził rozkosz i gdy znikła ostatnia okruszyna, Kasia wydobyla drugi koszyk, w którym — o radosna niespodzianko! — było siedem ciasteczek z konfiturami, upieczonych na spodkach, miały przyrumienione wierzchołki, chrupiące cukrowe brzegi, smak skórki pomarańczowej i różnych dobrych rzeczy razem pomieszanych.

Powstał ogólny okrzyk i nawet poważna Cesia była uradowana, a Henryś i Joasia tupali nogami z uciechy. Siedem par rąk sięgnęło razem do koszyka i siedem szeregów zębów wzięło się niezwłocznie do dzieła. W mgnieniu oka znikł wszelki ślad ciasteczek i zapanowała chwilowa cisza.

<sup>13</sup>upodoba go sobie — spodoba się jej. [przypis edytorski]

— Co będziemy teraz robić? — zapytała Józia, podczas gdy Filipek przewracał koszyki do góry dnem, żeby się przekonać, czy już nie ma nic do zjedzenia.

— Nie wiem — odrzekła Kasia, zamyślając się, i powstawszy, w na wpół siedzącej postawie, oparła się o amerykański orzech, który zwieszał gałęzie prawie nad głowami dzieci.

— Bawmy się w dorosłe osoby — rzekła Cesia — i mówmy, co będziemy robili, kiedy to nastąpi.

— Dobrze — odparła Józia. — Cóż ty będziesz robiła, Cesiu? Powiedz pierwsza.

— Będę miała czarną jedwabną suknię, różowe róże przy kapeluszu i długi szal z białego muślinu. Będę *zupełnie tak* wyglądała jak Minerva Clark, będę bardzo dobra, tak dobra jak pani Bedell<sup>14</sup>, tylko jeszcze ładniejsza. Wszyscy kawalerowie będą pragnęli, żebym się z nimi przechadzała i jeździła konno, ale nie będę o nich dbała, bo jak wiecie, będę zawsze nauczać w szkole niedzielnej i odwiedzać ubogich. Pewnego dnia, gdy pochyliwszy się nad starą kobietą, będę ją karmić galaretką, przejdzie poeta, zobaczy mnie i — wróciwszy do domu — napisze o mnie poemat — tak zakończyła Cesia z tryumfem.

— Ee! — wykrzyknęła Józia — to mi się wcale nie podoba. Ja będę piękną panią, najpiękniejszą panią na całym świecie. Będę mieszkała w żółtym zamku z żółtymi filarami u portyku<sup>15</sup> i z taką czworokątną rzeczą na wierzchołku jak u pani Sawyer, moje dzieci będą tam grywały teatr, urządzę też lunetę w oknie do wyglądania. Będę co dzień nosiła złote i srebrne suknie, diamentowe pierścionki, i będę miała białe atlasowe fartuszki do ścierania kurzu i dotykania brudnych rzeczy. Na środku podwórza będzie staw z perfum Lubina, więc ile razy będę potrzebować, pójdę nabrać we flaszczykę. Nie myślę o uczeniu w niedzielnej szkole jak Cesia, bo tego nie lubię, ale co niedzielę stanę w bramie i powracającym uczennicom skropię chusteczki perfumami Lubina.

— Ja chciałabym to samo! — zawołała Elżbietka, porwana tym świetnym obrazem. — Tylko mój staw będzie większy, a ja będę jeszcze piękniejsza — dodała.

— To być nie może — odezwała się Kasia ze swego wzniesienia — Józia będzie najpiękniejszą panią na świecie.

— Ale ja będę jeszcze piękniejsza od najpiękniejszej — upierała się biedna Elżbietka. — Będę także duża i będę wiedziała wszystkie tajemnice. Wszyscy będą grzeczni i nie będą uciekać ani kryć się przede mną, i nie będzie żadnych poczt ani żadnych przykrych rzeczy.

— A ty Joasiu, co sobie planujesz? — zapytała Józia, chcąc odwrócić rozmowę, bo głos Elżbietki zaczynał być płaczący. Ale Joasia nie miała wyraźnego wyobrażenia o swojej przyszłości, zaśmiała się tylko, wyszczypała mocno rękę Henrysia, ale nic więcej. Henryś okazał się mniej tajemniczy:

— Ja chciałbym jeść co dzień indyka i ciastka na mleku, ale nie gotowane, tylko pieczone, rumiane z wierzchu, z sosem jak od budyniu, a będę taki duży, że nikt nie powie „dla małego chłopczyka wystarczą trzy kawalki”.

— Ach Henrysiu, ty świnko — zawołała Kasia; dzieci wybuchnęły śmiechem, co obraziło Henrysia.

— Pójdę zaraz do ciotki Izy i powiem, jak mnie nazwałaś — rzekł ze złością.

Ale Joasia stworzona do roli pojednawczyni, śmiało chwyciła go za rękę i prośbami, błaganiem, tak go ułagodziła, że odstąpił od zamiaru, tym bardziej, że dzieci przyrzekły nie śmiać się więcej.

— Teraz twoja kolej, Kasiu — odezwała się Cesia — powiedz nam, co ty będziesz robiła, jak dorosłiesz.

— Nie wiem na pewno. Będę piękna, ma się rozumieć, będę dobra, jeżeli zdołam, tylko nie taka dobra jak ty, Cesiu, gdyż byłoby mi przyjemnie z kawalerami przechadzać się i czasem jeździć konno. Chciałabym też mieć wielki dom i wspaniały ogród, wszyscy mieszkalibyście u mnie i bawilibyśmy się w ogrodzie, a Henryś jadałby pięć razy dziennie indyka, jeżeliby mu się to podobało. Mielibyśmy jedną maszynę do cerowania pończoch, drugą do porządkowania szuflad i nigdy byśmy nie szyły, nie robiły podwiązek na drutach

<sup>14</sup>Bedell, Grace (1848–1936) — amerykańska pisarka i aktywistka. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>portyku — przedniej części budowli przed wejściem głównym, zawierającej rząd kolumn. [przypis edytorski]

ani też nic takiego, co nam niemiłe. Oto jaka bym chciała *być* — teraz wam powiem, co bym chciała *robić*.

— Czy to nie jedno? — zapytała Cesia.

— Zupełnie coś innego — odparła Kasia. — Widzicie, ja bym chciała *zrobić* coś wielkiego. Jeszcze nie wiem co, ale jak dorosnę, to sobie obmyślę.

Biedna Kasia zawsze mówiła, „jak dorosnę”, zapominając, że już bardzo urosła.

— Może będę pływać statkami i ratować życie ludziom jak ta dziewczyna w książce albo może będę pielęgnować chorych w szpitalu jak panna Nightingale<sup>16</sup>. Albo stanę na czele krucjaty i jeździć będę na białym koniu w zbroi i z hełmem na głowie, z poświęconą chorągwią w ręku. Albo, jeżeli nie będę robiła tych wszystkich rzeczy, to chciałabym malować obrazy, śpiewać lub... rzeźbić...? Jakże się to nazywa? Wiecie — robienie figur z marmuru. W każdym razie koniecznie zrobię coś. A gdy ciotka Iza to zobaczy i wyczyta o mnie w gazetach, powie: „Drogie dziecko! Ja zawsze wiedziałam, że ona się stanie ozdobą rodziny!”. Bo ludzie bardzo często mówią, że „zawsze wiedzieli”. — Taką to roztropną uwagę dodała Kasia na koniec.

— Ach Kasiu, jak to będzie pięknie! — zawołała Józia, klaszcząc w ręce. Ona tak wierzyła w Kasię, jak w *Biblię*.

— Nie przypuszczam, żeby gazety były tak głupie i pisały o tobie, Kasi Carr — odezwała się zazdrośnie Elżbietka.

— Owszem, będą pisały — rzekła Józia, dając Elżbietce szturchańca.

Tymczasem Joasia i Henryś umknęli na jakąś tajemniczą wędrownkę.

— Jaki Henryś był zabawny ze swoim indykiem! — zauważyła Cesia i wszyscy wybuchnęli znowu śmiechem.

— Jeżeli mu nie powiecie — rzekła Kasia — to pokażę wam jego dziennik. Pisał go przez dwa tygodnie, a potem zaprzestał. Znalazłam go dziś w dzieciennym pokoju.

Gdy wszyscy obiecali dotrzymać tajemnicy, Kasia wydobyła dziennik z kieszeni. Oto jak się zaczynał:<sup>17</sup>

„12 marca. Postanowiłem pisać dziennik.

13 marca. Jadłem na obiad pieczeń wołową, kapustę, kartofle z przyprawą z jabłek i leguminę<sup>18</sup> z ryżu. Nie lubię takiej leguminy z ryżu, jaka u nas bywa. Sok do herbaty.

19 marca. Nie pamiętam, co robiłem. Oboje z Joasią wzięliśmy swoje paszteciki do szkoły.

21 marca. Nie pamiętam, co robiłem. Krajane kluski na śniadanie. Dorota za mało je przysmażyła.

24 marca, niedziela. Peklowane mięso na obiad. Uczyłem się *Biblii*. Ciotka Iza powiedziała, że jestem łakomy. Postanowiłem nie myśleć tak wiele o jedzeniu. Chciałbym wyrosnąć na lepszego chłopca. Nic nadzwyczajnego do herbaty.

25 marca. Nie pamiętam, co robiłem.

27 marca. Nie pamiętam, co robiłem.

29 marca. Bawiłem się.

31 marca. Nie pamiętam, co robiłem.

Kwiecień. Postanowiłem nie pisać dziennika.”

Na tym skończyły się zapiski i dzieci śmiały się tak długo, że nareszcie zaczęły padać długie cienie i Marianna zawołała je na herbatę.

Przykro było zbierać puste koszyki, wracać do domu i czuć, że się skończyła długa, rozkoszna sobota, i nie powtórzy się przez cały tydzień. Ale pocieszały się tą myślą, że Raj zawsze zostanie i że kiedy tylko Kasia i ciotka Iza pozwolą, przeskoczą tylko kilka bardzo łatwych zapór, i nie bojąc się anioła z płomiennym mieczem, który mógłby je zatrzymać w drodze, wejdą do swojego Edenu<sup>19</sup> i obejmą go w posiadanie.

<sup>16</sup>*Nightingale, Florence* (1820–1910) — znana angielska pielęgniarka. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*Oto jak się zaczynał*: — uwaga do tagowania [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*legumina* — deser. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*Eden* — biblijny raj, miejsce stworzone przez Boga dla pierwszych ludzi. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ TRZECI. DZIEŃ NIEPOWODZEŃ

Szkoła pani Knight, do której uczęszczały Kasia, Józia i Cesia Hall, znajdowała się na przeciwnym niż dom pana Carr końcu miasta. Mieściła się w niskim jednopiętrowym budynku z podwórzem z tyłu, gdzie uczennice spędzały przerwy. Na nieszczęście, tylko o jedne drzwi dalej stała szkoła panny Miller, równie liczna i popularna, i także z podwórzem w tyle. Ściana z desek oddzielała te dwa place przeznaczone do zabawy.

Pani Knight była kobietą wysokiego wzrostu, łagodnego usposobienia, powolnych ruchów, a twarz jej przypominała spokojną i zadowoloną krowę. Panna Miller przeciwnie — miała czarne oczy, czarne loki nad czołem i była bardzo ruchliwa i ostra. Między tymi szkołami toczyła się nieustanna wojna o wartość nauczycieli i nauk. Uczennice pani Knight z jakiejś niewiadomej przyczyny uważały siebie za osobki dobrze wychowane, nie ukrywając przy tym opinii, że wychowanki panny Miller są wulgarne — za co te ostatnie odpłacały się im pięknym za nadobne<sup>20</sup>. Przerwy schodziły im na wykrzywianiu się przez szpary i wierzchołek ściany, gdy się tam któraś zdołała dostać, co nie było łatwą rzeczą, bo ściana była wysoka. Pensjonarki pani Knight również umiały stroić miny pomimo „dobrego wychowania”. Ich podwórze miało wielką wyższość z powodu drewnianej budy, której pochyły dach sterczał nad posiadłością panny Miller, na nim to dziewczęta zwykły siadać rzędami, z nosem zwróconym do sąsiedniego podwórza i drażnić nieprzyjaciółki szyderczymi uwagami. Nazywały się wzajemnie Knightówny i Millerytki, a taka wojna wrzała między nimi, że nieraz było niebezpiecznie spotkać się na ulicy Knightównie z Millerytką. Łatwo się domyślić, jak to wszystko dobrze wpływało na ułożenie i moralność panienek.

Jednego poranku, wkrótce po owej przechadzce do Raju, Kasia spóźniła się, nie mogąc znaleźć swoich rzeczy. Znikła jej gdzieś „algebra”<sup>21</sup>, jak się zwykła wyrażać, zginęła tabliczka do pisania i oberwała się szarfa od kapelusza. Kasia biegła, szukała, trzaskała drzwiami, aż się ciotka Iza zniecierpliwiła i rzekła:

— Jeżeli nazywasz „algebrą” tę brudną książkę z jedną tylko okładką i zabazgraną na wszystkich kartkach, to znajdziesz ją pod kuchennym stołem. Filipek powiedział przed śniadaniem, że to świnka — i nic dziwnego, bo przyznaję, że zupełnie tak ona wygląda. Nie rozumiem, jakim sposobem można tak niszczyć swoje szkolne książki, nie minął jeszcze miesiąc, jak ci ojciec kupił nową algebrę, a spojrzysz na nią teraz, nie możesz jej już brać ze sobą. Chciałabym, żebyś się zastanowiła, ile kosztują książki. Tabliczki nie widziałam, ale masz tu szarfę od kapelusza — rzekła, wyjmując ją z kieszeni.

— Ach dziękuję! — powiedziała Kasia, zapinając ją spiesźnie szpilką.

— Kasiu Carr! — krzyknęła prawie panna Iza — Co ty robisz? Zapinasz wstążkę od kapelusza! Zmiłuj się, jakiegoż ty szaleństwa nie popelnisz! Stójże spokojnie! Nie kręć się! Nie ruszaj się, póki nie przyszyję porządnie!

Nielatwo było stać spokojnie i nie ruszać się, bo ciotka Iza hałasowała, łajała i niekiedy, w chwili zapomnienia, kłuta igłą w brodę. Kasia znosiła to, jak mogła najlepiej, przestępując ciągle z nogi na nogę, i czasem tylko zzymnęła się<sup>22</sup> jak zniecierpliwiony konik. Odzyskawszy wolność, wpadła szybko do kuchni, porwała algebrę i wyleciała jak trąba powietrzna ku bramie, gdzie poczciwa Józia czekała cierpliwie, chociaż sama była już gotowa i strach ją ogarniał, że się spóźni.

— Musimy biec — zawołała zdyszana Kasia — ciotka Iza mnie zatrzymała, taka była okropna!

Biegły jak się dało najprędzej, ale czas biegł jeszcze szybciej i zanim uszły połowę drogi, zegar wybił dziewiątą i znikła wszelka nadzieja stawienia się w porę. Zmartwiło to bardzo Kasię, bo chociaż się często spóźniała, zawsze pragnęła przyjść wcześniej.

Zatrzymując się w biegu, rzekła:

— Powiem ciotce Izie, że to z jej winy, *tego* już za wiele. — I podążyła do szkoły w bardzo cierpkim usposobieniu.

<sup>20</sup>odpłacić się pięknym za nadobne — odpłacić się w ten sam sposób. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>algebra — dział matematyki zajmujący się obliczeniami. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>zzymnęła się — rozgniewała się. [przypis edytorski]

Wiadomą jest rzeczą, że gdy się dzień w ten sposób zacznie, to się też i źle skończy. Cały ranek nie wiodło się. Pomyliła się Kasia dwa razy przy lekcji gramatyki i straciła dobre miejsce w klasie; potem znów gdy przepisywała wypracowanie, tak jej ręka drżała, że jej pismo, niezbyt ładne, stało się prawie nieczytelne i pani Knight kazała jej wszystko przepisać na nowo. To pogorszyło jeszcze usposobienie Kasi i prawie nie pomyślawszy, szepnęła do Józki: „Jakież to nieznośne”. Następnie gdy przed przerwą wszystkim dziewczętom, które rozmawiały w trakcie lekcji, kazano wstać z miejsc, tak ją sumienie ruszyło, że się musiała podnieść wraz z innymi i skutkiem tego zobaczyła czarny znak przy swym nazwisku na liście uczennic. Stały jej łzy w oczach, więc z obawy, żeby dziewczęta nie zobaczyły tego, wyskoczyła na podwórze, kiedy tylko odezwał się dzwonek, i wdrapała się na dach od szopy, gdzie siedziała odwrócona plecami do szkoły, usiłując powstrzymać łzy i uspokoić twarz, zanim reszta dzieci nadejdzie.

U panny Miller zegar spóźniał o cztery minuty względem zegara u pani Knight, dlatego sąsiednie podwórze było puste. Był to dzień gorący, ale rozkoszny, bo go chłodził wiatr, który nagle zerwał Kasi kapelusz, na wpół tylko związany, i przerzucił przez dach. Chciała go schwytać w locie, ale za późno. Raz, dwa, trzy razy zakręcił się w powietrzu, potem znikł za szopą, a Kasia, śledząc go okiem, zobaczyła zwinięty kłębek fiołkowego koloru na samym środku nieprzyjacielskiego podwórza.

To było okropne! Nie szło o stratę kapelusza, bo Kasia była zupełnie obojętna na losy swego ubrania, ale o *sposób*, w jaki go straciła. Za chwilę Millerytki wyjdą na zewnątrz — już jej się zdawało, że widzi, jak rozpoczynają wojenny taniec wokół nieszczęśliwego kapelusza, nosząc go na kijku, podrzucając jak piłką, ciskają o ścianę i zupełnie obchodzą się z nim jak Indianie z jeńcem wojennym. Czy można to ścierpieć? Nigdy! Lepiej umrzeć! I z uczuciem osoby, która woli śmierć niż utratę honoru, Kasia zacisnęła zęby i szybko zsunąwszy się z dachu, uchwyciła się ściany, po czym śmiałym skokiem dostała się na podwórze panny Miller.

W tej chwili dzwonek oznajmił przerwę i jedna z małych Millerytek, która siedziała przy oknie i przez parę minut umierała z chęci udzielenia ciekawej nowiny, wykrzyknęła:

— Kasia Carr na naszym podwórzu!

Wszystkie Millerytki wybiegły, tak duże, jak i małe. Ich gniew i oburzenie z powodu tej śmiałej napaści nie dadzą się opisać. Ze wściekłym krzykiem rzuciły się na Kasię. Ale i ona była żwawa, porwawszy więc odzyskany kapelusz, już wdrapała się do połowy ściany.

Słuszny wzrost bywa czasem dobrą rzeczą. Tym razem doskonale Kasi posłużyły długie nogi i ręce, w jednej chwili znalazła się na wierzchołku ściany. Właśnie gdy tam stanęła, jedna z Millerytek schwyła ją za nogę i o mało nie ściągnęła jej bucika.

O mało, ale niezupełnie, dzięki mocnej nitce, jaką ciotka Iza przyszyła guziki. Kasia wyrwała się silnym ruchem i doznała tej przyjemności, że napastniczka musiała się cofnąć, ona zaś z okrzykiem tryumfu i przestachu skoczyła między gromadkę Knightówien. Przysłuchiwały się one z otwartymi ustami wrzawie, a potem stały zdumione tym niezwykłym widokiem, że jedna spomiędzy nich wraca żywa z nieprzyjacielskiego obozu.

Nie zdołam opowiedzieć, jakie nastąpiło zamieszanie. Knightówny przejęte były dumą i tryumfem — Kasia ściskana, całowana, musiała ciągle opowiadać swoje dzieje, a szereg uradowanych dziewcząt siedział na dachu od budy, szydząc z zawstydzonych Millerytek.

Gdy po chwili nieprzyjaciel zgromadził siły i zaczął nacierać na ścianę, jedna z większych dziewcząt podniosła na rękach Józję uzbrojoną w młotek, aby mogła nim uderzać po napastniczych palcach ukazujących się na dachu. Tak serdecznie dopełniały tego, że Millerytki co prędzej umykały na dół i znalazłszy się w bezpiecznym oddaleniu, groziły zemstą. Bądź co bądź był to dzień wielki i pamiętny dla szkoły. W miarę jak się to wszystko działo, Kasia gorączkowała się swoją przygodą, pochwałami i pieszczotami starszych dziewcząt tak bardzo, że prawie nie wiedziała, co robi i mówi.

Wiele uczennic mieszkało zbyt daleko od szkoły, żeby chodzić do domu w południe, zwykły więc przynosić w koszykach śniadanie i pozostawać w szkole cały dzień. Kasia i Józka zaliczały się do nich. Tego dnia po śniadaniu poszły wszystkie bawić się do klasy, a nieszczęśliwa gwiazda Kasi natchnęła ją pomysłem nowej gry, którą nazwała „grą w rzeki”.

Odbywała się ona, jak następuje: każda z dziewcząt, przybrawszy nazwę jakiejś rzeki, wyznaczała swój bieg, wijąc się przez pokój pośród stołów i ławek, z cichym, głuchym

Zabawa, Walka,  
Dzieciństwo

szmerem, naśladowującym szmer wody. Cesia była rzeką Platte, Marynia Brooks, słuszną panną — Missisipi; Alicja Blair — Ohio, Józia — Penobscott i tak dalej<sup>23</sup>. Miały zalecone, aby co minutę wpadać jedna w drugą, tak bowiem dzieje się z rzekami według słów Kasi. Ona sama była Oceanem Wielkim i przeraźliwie hucząc, wskakiwała raz po raz na podwyższenie, zajmowane zwykle przez panią Knight. Od czasu do czasu, gdy inne były na końcu pokoju, nagle wołała: „Teraz zlewają się wody!”. W tej chwili wszystkie rzeki rzucały się, skakały, piszczwały, krzyczały, dążyły, płynęły ku Oceanowi Wielkiemu, on zaś huczał głośniejsz niż one wszystkie i robił krótkie skoki w górę i na dół, chcąc przedstawiać fale uderzające o brzegi.

Takiej wrzawy, jaką spowodowała ta piękna gra, nigdy jeszcze nie słyszało miasto Burnet. Przypominał ryk byka, kwik świni, gdakanie indyków i śmiech dzikich hien. W dodatku rzeki te stukwały meblami i tupwały o podłogę nieprzykrytą dywanem. Przechodnie zatrzymywali się, dzieci płakały, jakaś stara jejmość zapytała, czemu nikt nie idzie po policjanta, Millerytki zaś przysłuchiwały się ze złośliwą przyjemnością i mówiły każdemu, że pensjonarki pani Knight zwykle tak hałasują w czasie przerwy.

Pani Knight, wracając z obiadu, zadziwiła się bardzo, widząc tłum ludzi przed szkołą. Zbliżywszy się, usłyszała wrzawę, która ją prawdziwie przestraszyła, gdyż przemknęła jej przez głowę myśl, że zamordowano kogoś w jej szkole. Śpiesznie otworzyła drzwi i z wielkim zgorzaniem ujrzała salę w najwyższym nieładzie. Krzesła i stoły poprzewracane leżały na ziemi, atrament płynął po podłodze, a wśród tego zniszczenia wzburzone rzeki rwały się, rzucały i Ocean Wielki z rozognioną twarzą skakał jak szalony na podwyższeniu.

— Co to znaczy? — jęknęła biedna pani Knight, nie mogąc prawie mówić z przerażenia.

Na dźwięk tego głosu rzeki ucichły, Ocean Wielki szybko położył koniec swym skokom i zsunął się z podwyższenia. Zdawało się, że wówczas dopiero dziewczęta spostrzegły, co się dzieje z salą. Mniej śmiało schowały się za stoły, zuchwalsze udawały, że nie czują winy, a dla pogorszenia stanu rzeczy uczennice, które poszły na obiad do domu, zaczynały powracać i zdumione obrazem zniszczenia pytały cichym szeptem: „Co się stało?”

Pani Knight zadzwoniła dzwonkiem. Gdy dziewczęta się uciszyły, musiały podnieść krzesła i stoły, a ona sama zaś przyniosła suche szmaty do wyczyszczenia atramentu z podłogi. Wszystko to zostało wykonane w głębokim milczeniu, a wyraz twarzy pani Knight był tak surowy i poważny, że nowa chmura poczucia winy spadła na umysły grzesznych rzek, a Ocean Wielki chciałby się znaleźć o tysiące mil stąd.

Gdy wszystko wróciło do porządku i dziewczęta usiadły na swych miejscach, pani Knight rozpoczęła przemowę:

— Nigdy w życiu nie byłam jeszcze tak oburzona — rzekła. — Zdawało mi się, że mogę ufać, iż wracając po przerwie zastanę grzeczne panienki. Nie przyszło mi na myśl, żebyście mogły nieprzyzwoitym postępowaniem gorszyć i straszyć ludzi, a mnie tak bardzo zasmucić. Jest to zły przykład dla sąsiedztwa — przez co rozumiała współzawodniczącą szkołę, gdyż właśnie przed chwilą panna Miller przysłała od siebie dziewczynkę z zapytaniem, czy się ktoś nie skaleczył i czy *ona* może w czymś pomóc. Ma się rozumieć, że to pogorszyło sprawę. — Spodziewam się, że jesteście zmartwione. Na pewno jesteście zmartwione i zawstydzone. Łatwo odgadnąć, że czeka na was kara, ale pomyślę jeszcze jaka.

Następnie poleciła, żeby zastanowiły się nad sobą i jeżeli któraś z nich poczuwa się do większej odpowiedzialności, żeby to szczerze wyznała.

Kasi mocno biło serce, ale wstała śmiało i rzekła:

— Ja urządziłam tę grę i byłam Oceanem Wielkim.

Pani Knight ze zdumieniem patrzyła na nią przez chwilę, a potem powiedziała uroczyście:

— Bardzo dobrze Kasiu, usiądź — co też Kasia uczyniła, jeszcze bardziej zawstydzona, lecz spokojniejsza w duszy. Prawda ma jakiś powab, ułatwiający wypowiedanie jej nawet w najtrudniejszym położeniu, o czym przekonała się i Kasia.

Popołudnie było długie i przykre, pani Knight nie uśmiechnęła się ani razu, lekcje się wlokły, a Kasia czuła się zmęczona po zapale i popołudniowej ekscytacji. Dostała

<sup>23</sup>Platte (...) Missisipi (...) Ohio, (...) Penobscott — rzeki w Ameryce Północnej. [przypis edytorski]

niejednego szturchańca przy zlewaniu się wód i prawie bezwiednie uderzyła sobą o krzesła i stoły. Wszystko to odezwowało się i ogarnął ją taki ból głowy, że nie mogła patrzeć, przy tym jakiś ciężar czuła na sercu.

Po skończonych lekcjach pani Knight wstała i rzekła:

— Te panienki, które brały udział w południowej zabawie, pozostaną tutaj.

Wszystkie inne wyszły, zamknąwszy drzwi za sobą. Była to okropna chwila, której dziewczęta nigdy nie zapomniały, równie jak odgłosu zamykanych drzwi, gdy ostatnia z uczennic odchodziła.

Nie mogłabym powtórzyć, co im powiedziała pani Knight — było to coś bardzo przejmującego — i zanim skończyła, większa część dziewcząt płakała. Karą za ranne przewinienie miało być to, że przez trzy tygodnie będą pozbawione przerwy, ale smutek pani Knight był jeszcze dwa razy przykrzejszy od tego wyroku, przynajmniej tak opowiadała Cesia swojej matce. Szlochające grzesznice wyszły jedna po drugiej ze szkoły. Gdy większość się oddaliła, pani Knight, przywoławszy Kasię na podwyższenie, powiedziała kilka słów wyłącznie do niej. Nie okazała się wprawdzie bardzo surowa, ale Kasia była tak skruszona i rozżalona, że po krótkiej chwili płakała jak fontanna albo jak ocean, który naśladowała rano.

Wrażliwa pani Knight, zmartwiona jej łzami, wybaczyła jej od razu, a nawet ucałowała ją, co skłoniło biedny „ocean” do większego łkania. Szlochała przez całą drogę do domu, a wierna Józia, idąc obok niej, z rozpaczą prosiła, żeby przestała płakać. Na próżno też starały się podtrzymać kawałki jej sukni, podartej przynajmniej w dwunastu miejscach. Kasia nie mogła powstrzymać płaczu i szczęśliwie się stało, że ciotki Izy nie było w domu, bo tylko nianka Marianna zobaczyła ten jej smutny stan, a do niej właśnie należało czuwać nad dziećmi i w każdej chwili być gotową na ich usługi.

Tak wypryżtuła i ucałowała wówczas Kasię, jakby to była Joasia lub Henryś. Wzięła ją na kolana, obmyła rozpaloną głowę, ugładziła włosy, przyłożyła do ran kupalniku<sup>24</sup>, ubrała w całą sukienkę, tak że przy herbacie biedne dziecko, z wyjątkiem czerwonych oczu, miało wygląd taki jak zwykle i ciotka Iza nie zauważyła nic szczególnego.

Dziwnym trafem Doktor Carr był w domu tego wieczoru. Była to zawsze wielka uroczystość dla dzieci i Kasia czuła się bardzo szczęśliwa, gdy po rozejściu się młodszych dzieci do łóżek, zostawszy z ojcem sam na sam, opowiedziała mu całe zdarzenie.

— Papo — odezwiała się, siadając mu na kolanach, co (choć była dużą dziewczynką) sprawiało jej wielką przyjemność — dlaczego pewne dni są tak szczęśliwe, a inne tak nieszczęśliwe? Dziś na przykład źle się zaczęło i wszystko się nie wiodło, a w inne dni zaczynam dobrze i wszystko potem idzie jak się należy. Gdyby mnie ciotka Iza nie zatrzymała rano, nie dostałabym znaku, nie byłabym zła i przez to uniknąłabym innych zmartwień.

— Ale dlaczego cię zatrzymała ciotka Iza?

— Żeby mi przyszyć wstążkę do kapelusza.

— Jak się to stało, że była oderwana?

— Podobno z mojej własnej winy — rzekła Kasia ze wstydem. — Odpruła mi się jeszcze w czwartek, a ja jej nie przyszyłam.

— Widzisz, że początkiem nieszczęść dnia tego nie była ciotka Iza. Czy słyszałaś kiedyś, dziecko, tę starą opowieść: *Przepadł gwóźdź przepadła i podkova?*

— Nie, nigdy! Proszę mi ją powiedzieć! — zawołała Kasia, gdyż lubiła powiastki, jakby była trzyletnim dzieckiem.

Doktor Carr powiedział więc:

Przepadł gwóźdź — przepadła i podkova,  
Przepadła podkova — przepadł i koń,  
Przepadł koń — przepadł i jeździec,  
Przepadł jeździec — przepadła i bitwa,  
Przepadła bitwa — przepadło i królestwo,  
A to wszystko, dlatego że przepadł gwóźdź.

<sup>24</sup>kupalnik górski a. *arnika górska (Arnica montana)* — kwitnąca na żółto bylina z rodziny astrowatych, rosnąca dziko w Europie i Ameryce Północnej, stosowana w ziołolecznictwie do gojenia wylewów podskórnych i ran. [przypis edytorski]

— Ach papo! — wykrzyknęła Kasia i uściśkała go, zsuwając się z kolan. — Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Kto by pomyślał, że zupełna drobnostka jak nieprzyszyte wstążki spowoduje takie skutki? Ale zdaje mi się, że się już nie narażę na podobne przykrości, bo zawsze będę *pamiętać*, że gdy:

Przepadł gwóźdź — przepadła i podkowa.

## ROZDZIAŁ CZWARTY. KUKURYKU

Przykro mi wyznać, że moja biedna, nierozważna Kasia *zapomniała* i naraziła się na nowe przykrości, nie dalej jak w następny poniedziałek.

Poniedziałki bywały zwykle burzliwe w domu pana Carr: przypadło wtedy pranie, ciotce Izie trudniej było dogodzić, a służące były opryskliwsze w porównaniu do zwykłych dni. Sądzę, że po części było to winą dzieci, które — po spokojnie spędzonej niedzieli — stawały się szczególnie ruchliwe, hałaśliwe i skłonne do płatania złośliwych figlów.

Dla Józi i Elżbietki niedziela zaczynała się niejako w sobotę wieczór, gdy się kładły spać, a zmoczone włosy miały pozakręcane w papiloty, żeby nazajutrz zwijały się w loki. Elżbietce kręciły się naturalnie, więc ciotka Iza nie widziała potrzeby zwijania ich mocno, ale grube, twarde włosy Józi potrzebowały być mocno ściśnięte, żeby się choć trochę zwijały, dla niej więc wieczór sobotni był umartwieniem. Leżąc w łóżku, rzucała się, kręciła, próbowała kłaść głowę w tę i w ową stronę, ale w jaki bądź sposób ułożyła się, twarde papiloty i szpilki dręczyły ją i zadawały ból. Gdy usnęła nareszcie, miała twarzyczkę spuszczoną, nosek schowany w poduszkę, z czym było jej niewygodnie i dlatego źle spała. Z powodu tych cierpień Józi wywoływanych papilotami wszystkie historie układane dla młodszych dzieci tak się zaczynały: „Włosy pięknej księżniczki były twarde, ale nigdy, nigdy nie zawijano ich w papiloty!”

Niedziela zawsze się zaczynała od czytania którejs z opowieści biblijnych, po czym podawano na śniadanie pieczony groch, które to dwie rzeczy mieszały się razem w główce Henrysia. Następnie dzieci przygotowywały się do lekcji w szkole niedzielnej<sup>25</sup>, a gdy to ukończyły, zajeżdżała duża kariolka<sup>26</sup> i udawano się do kościoła oddalonego o milę drogi. Był to wielki, staroświecki budynek z galeriami, krużgankami i z długimi ławkami o wysokich czerwonych siedzeniach. Chór znajdował się w samym końcu za krótką zieloną firanką. Gdy się zaczynało kazanie, odsłaniały ją dzieci, żeby pokazać, że są gotowe do słuchania, potem spuszczały ją znowu. Kasia zgadywała, że tam za tą zieloną firanką musi toczyć się jakaś zabawa, że muszą zająć kandyzowane skórki pomarańczowe albo czytać książki szkoły niedzielnej — i często żał jej było, że nie siedzi z nimi.

Ławka pana Carr była tak wysoka, że oprócz Kasi żadne z dzieci nie dotykało podłogi nawet końcem palców. Gdy im zdrętwiały od tego nóżki i dokuczyło przykre klucie, wsuwały się całe na ławkę. Siedząc w ukryciu, musiały przecież szeptać między sobą. Ciotka Iza martwiła się, potrząsała głową, ale to niewiele pomagało, zwłaszcza gdy Filipek i Henryś spali, oparłszy główki na jej kolanach, i musiała ich podtrzymywać rękami, żeby się nie zsunęli z ławki. Gdy poczciwy staruszek doktor Stone mówił: „Na koniec bracia moi...”, zaczynała ich budzić. Było to nieraz ciężkie zadanie, ale wykonywała je z powodzeniem, tak że podczas ostatniego hymnu obaj już stali w ławce zupełnie obudzeni i żwawi, i brali książkę z hymnami, udając, że śpiewają wraz z innymi.

Po kościele następowała niedzielna szkoła, którą dzieci bardzo lubiły, potem szły do domu na obiad, składający się co niedzielę z zimnego peklowanego mięsa, pieczonych kartofli i budyniu ryżowego. Po południu szły do kościoła tylko wtedy, gdy miały ochotę, w przeciwnym razie zagarniała je Kasia, żeby odczytać głośno „Niedzielnego Gościa” — religijną gazetę przez nią prowadzoną. W części była ona pisana, w części drukowana na wielkim arkuszu zdobionym u góry ołówkiem, w środku znajdował się napis: „Niedzielnny Gość”. Czytanie zaczynało się od nudnej rozprawy, zwanej przez osoby dorosłe „Słowem od redakcji”<sup>27</sup>, a traktującej „o posłuszeństwie”, „o grzeczności” lub „o punktualności”.

<sup>25</sup>szkółka niedzielna — znajdująca się zwykle przy kościele szkoła, w której uczono religii. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>kariolka — powóz. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Słowo od redakcji — artykuł wstępny („wstępniak”) w czasopiśmie, w którym poruszane są najważniejsze problemy, omawiane aktualne wydarzenia lub główne tematy innych artykułów w numerze. Artykuł wstępny

Dziecko, Obyczaje, Uroda,  
Kobieta

Dzieci zawsze się niecierpliwiły, słuchając tego, w części — jak sądzę — z tego powodu, że Kasia przedstawiała jako coś łatwego te cnoty, które jej samej trudno było wprowadzać w czyn. Potem szły anegdoty o psach, słoniach, wężach, brane z historii naturalnej i niezbyt zajmujące, gdyż słuchacze już je znali na pamięć. Następnie jeszcze było parę hymnów albo oryginalny wiersz, a na końcu rozdział *O Maryni i jej siostrach*. Straszna to była historia, w której Kasia umieszczała tyle morałów i robiła tak osobiste przycinki do swego otoczenia, że trudno było to znieść. Pewnego razu wywołało to nawet bunt w dziecinnym pokoju. Trzeba wam wiedzieć, że kilka tygodni przedtem Kasia, zbyt leniwa, by przygotować nowego „Niedzielnego Gościa”, zmusiła dzieci, by siedząc rzędem, słuchały dawnych numerów od samego początku. *Marynia* przedstawiała się znacznie gorzej przy odczytywaniu tak wielkich fragmentów, a Józia i Elżbietka, zastanowiwszy się pierwszy raz nad całością, nie chciały więcej słuchać. Skorzystały więc z pierwszej sposobności i całą historię rzuciły w ogień, patrząc, jak się pali, z zabawnym przestrawem, lecz i z rozkoszą. Nie śmiały przyznać się do tego uczynku, ale trudno go było ukryć, gdy Kasia biegała, szukając straconego skarbu, podejrzewała je i złościła się.

Niedzielne wieczory schodziły zwykle na deklamowaniu hymnów przy ojcu i ciotce Izie. To sprawiało dzieciom wielką przyjemność, bo na każde z nich przychodziła kolej, a zupełna wrzawa powstawała, gdyż każde chciało sobie zarezerwować ulubiony hymn. W ogóle niedziela była przyjemnym i wesołym dniem i taka też się wydawała dzieciom, ale z tego powodu, że ją spędzały spokojniej od innych dni, zazwyczaj poniedziałek był pełen życia i figłów. Co chwilę gotowe były wybuchnąć jak butelka szampana, gdy się ją odkorkuje.

Ów poniedziałek, o którym mówimy, był dżdżysty<sup>28</sup>, nie mogły więc wyjść na powietrze, co było zwykłym ratunkiem dla podnieconych główek. Młodsze dzieci, zamknięte całe popołudnie w dziecinnym pokoju, nieznośnie hałasowały. Filipek nie był do końca zdrowy i brał lekarstwo — ulubione przez ciotkę Izę, która zawsze miała je pod ręką. Butelka ta była duża i czarna, z papierową receptą wokół szyjki, dzieci drżały na jej widok.

Gdy Filipek przestał jęczeć i krzyżeć, rozpoczęła się na nowo zabawa. Ma się rozumieć, że lalki także zachorowały, nie wyłączając żółtego krzeselka Joasi, które ona za lalkę uważała i któremu dała imię Karolek. Zawiązywała mu stary fartuszek na grzbiecie i brała zwykle z sobą do łóżka — nie w środek, bo przeszkadzałby, ale bliźutko siebie. Oznajmiła, że Karolek jest bardzo chory i musi wziąć takie same lekarstwo jak Filipek.

— Daj mu trochę wody — doradził Henryś.

— Nie — odparła stanowczo Joasia — to musi być coś czarnego i z flaszki, bo inaczej nie pomoże.

Pomyślawszy chwilę, przeszła przez korytarz do pokoju ciotki Izy. Nie było tam nikogo, ale Joasia wiedziała, gdzie znaleźć lekarstwo. Wysunęła trochę szufladę, wspięła się i wydobyła je. Dzieci były uradowane, gdy powróciła z flaszeczką w jednej ręce, a z korkiem w drugiej, i zaczęła nalewać porządną dozę na siedzenie krzeselka, które nazywała jego łonem. — No, no, mój biedny chłopcze — rzekła, głaszcząc po ramieniu, to jest po poręczy — przełknij, to ci pomoże.

Właśnie w tej chwili weszła ciotka Iza i z wielkim zdumieniem zobaczyła, że coś czarnego i lepkiego splywa na dywan. Było to lekarstwo, którego Karolek nie chciał połknąć.

— Co to jest? — zapytała ostro.

— Moje bobo jest słabe — wyjąkała Joasia, ukrywając nieszczęsną flaszeczkę.

Ciotka Iza uderzyła ją po głowie napaństwem, mówiąc, że jest niegrzecznym dzieckiem, skutkiem czego Joasia rozplakała się i rozdaśała. Ciotka Iza wytarła plamy, odebrała lekarstwo i — wynosząc je do swego pokoju — rzekła:

— Nigdy nie widziałam nic podobnego! Ale w poniedziałki zawsze tak bywa.

Jakie figle wyprawiały się potem w dziecinnym pokoju, tego nie zdołam opowiedzieć. Z wieczora dał się słyszeć krzyk i ze wszystkich stron domu zbiegli się ludzie, pytając: „Co się stało?”. Oto zatrzasnęły się drzwi od dziecinnego pokoju i nie można było wyjść. Ciotka Iza nakazywała przez dziurkę od klucza, żeby jej otwarto, ale taka tam była wrzawa, że

często pisany jest przez redaktora naczelnego lub jego zastępcę. Tekst wstępniaka może znacząco wpływać na opinie czytelników, a nawet na wydarzenia społeczne i polityczne; niekiedy tytuł takiego artykułu lub jego fragment staje się hasłem, sloganem funkcjonującym w powszechnym obiegu. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>dżdżysty — deszczowy. [przypis edytorski]

nieprędko zdołała usłyszeć odpowiedź. Nareszcie Elżbietka, łkając gwałtownie, objaśniła, że Henryś zamknął drzwi, a teraz klucz nie chce się obracać i nie mogą otworzyć. Wreszcie zapytała z płaczem:

— Czy mamy tu zostać na zawsze i umrzeć z głodu?

— Ależ nie, ty głupiutkie dziecko — zawołała ciotka Iza. — Boże mój, Boże! Czego te dzieci nie zbroją! Przestań płakać Elżbietko, czy słyszysz? Wyjdziecie stamtąd za kilka minut.

Wkrótce dał się słyszeć ruch za żaluzją i służący Aleksander stanął za oknem na wysokiej drabinie, kłaniając się dzieciom. Zapomniały o strachu, pobiegły otworzyć okno, skakały i kręciły się wokół Aleksandra, gdy wszedł i otworzył drzwi. Wydawało im się tak piękną rzeczą wydobyć się w ten sposób, że Henryś zaczął się chełpić swoim dziełem.

Ale ciotka Iza inaczej patrzyła na tę rzecz. Wylała ich porządnie i powiedziała, że są męczącymi dziećmi, którym nie można ufać ani chwili, gdy są poza zasięgiem wzroku, i że bardzo żałuje, iż obiecała pójść na wieczorną naukę.

— Zanim powrócę — dodała — gotowicie podpalić dom albo zabić kogoś.

— Nie zrobimy tego, nie zrobimy! — zawołały dzieci wzruszone tym strasznym obrazem, ale w dziesięć minut zapomniały o wszystkim.

Przez cały ten czas Kasia rozplywała się w bibliotece nad *Jerozolimą wyzwoloną*<sup>29</sup> Tassa. Książka ta została napisana po włosku, ale przetłumaczono ją na język angielski — nie była przeznaczona dla małej dziewczynki, ale Kasia ją bardzo lubiła.

Pisano w niej o królach, damach, olbrzymach i bitwach. Czytając, robiło się jej raz zimno, drugi raz gorąco, chciała koniecznie coś złamać albo krzyknąć, albo kogoś uderzyć. Z natury lubiła czytać i do tego zachęcał ją ojciec — zamykał tylko niektóre książki, a z reszty biblioteki pozwalał jej korzystać. Czytywała rozmaite rzeczy: podróże, kazania i stare magazyny. Nie było niczego tak trudnego, żeby nie wytrzymała ona do końca, a prawdziwie zajmujące książki tak ją pochłaniały, że nie wiedziała, co się dzieje wokół. Gdy znajome dziewczynki spodziewały się jej na herbatę, chowały wszystkie powieści, bo inaczej zagłębiała się w książce, a wtenczas daremnie ktoś by ją wołał i ciągnął za suknię, bo niczego nie widziała ani słyszała, póki nie nadszedł czas pójścia do domu.

Owego popołudnia czytała więc *Jerozolimę*, dopóki się nie ściemniło. Idąc potem na górę, spotkała ciotkę Izę w kapeluszu i szalu.

— Gdzieś ty była? Wołam cię od pół godziny.

— Nie słyszałam — odrzekła Kasia.

— Ale gdzie byłaś? — nalegała ciotka Iza.

— Czytałam w bibliotece.

Ciotka Iza skrzywiła się, ale znając usposobienie Kasi, nic nie powiedziała.

— Idę na herbatę do pani Hall i na wieczorną naukę — odezwała się znowu. — Niech się Józia przygotuje do lekcji, Cesię odesłajcie wcześniej, jeżeli przyjdzie jak zwykle, i połóżcie się wszyscy o dziewiątej godzinie...

— Dobrze — odparła Kasia, lecz zdaje się, że nie bardzo słuchała, tylko była zajęta tą myślą, jak dobrze, że ciotka Iza zaraz wyjdzie. Panna Carr była bardzo obowiązkowa i rzadko odchodziła od dzieci, nawet wieczorem, ale gdy się to czasem zdarzało, doznawały wrażenia nowości i swobody, co było równie niebezpieczne, jak i przyjemne.

Jestem pewna jednak, że tym razem Kasia nie miała złych zamiarów, jak wszystkie wrażliwe osoby rzadko broiła z rozmysłem, tylko robiła to, co jej przyszło do głowy. Kolacja odbyła się pomyślnie i wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie to, że gdy dzieci się wyuczyły lekcji i nadeszła Cesia, zaczęły mówić o „kukuryku”.

Gra ta cieszyła się u nich wielką popularnością rok temu. Sami ją wymyślili i dobrali tę dziwną nazwę ze starej czarodziejskiej bajki. Był to rodzaj ciuciubabki, ale zamiast jednej osobie zawiązywać oczy, wszyscy poruszali się po ciemku. Jedno z dzieci zostawało w sieni, dobrze oświetlonej od schodów, inne zaś kryły się w dzieciennym pokoju. Schowawszy się, wołały: „Kukuryku!”, dając hasło dziecku będącemu w sieni, żeby weszło szukać. Ma się rozumieć, że wchodząc ze światła nie mogło nic widzieć, tamte zaś też niewiele widziały. Bardzo było zabawne przyglądać się z ciemnego kąta postaci, która

<sup>29</sup>*Jerozolima wyzwolona* — poemat opowiadający o średniowiecznych wyprawach krzyżowych. [przypis edytorski]

się potyka, obraca w lewo, w prawo, podczas gdy inne po kolei wymykają się cichym krokiem do sieni zwanej „pałacem wolności”, wykrzykując tam wesoło, „Kukuryku! Kukuryku! Kukuryku!”. Kogo schwytano, ten zajmował miejsce szukającego. Przez długi czas ta gra była rozkoszą dla dzieci, ale tak wiele rzeczy zrzuciły na ziemię i tłukły w dziecinnym pokoju, że nareszcie ciotka Iza nakazała, żeby się więcej nie bawiły w ten sposób. Minął już może rok od owego czasu, ale wspomniawszy o tej grze, pomyślały, aby spróbować jej znowu.

— Zresztą nie przyrzekaliśmy — rzekła Cesia.

— Wcale nie i *papa* nigdy nie zakazywał — dodała Kasia, dla której „papa” był jedynym autorytetem, tym bardziej, że zauważyła, iż nieraz opierał się ciotce Izie.

Poszli więc na górę, Henryś i Joasia chociaż na wpół rozebrani, zostali dopuszczeni do zabawy, a Filipek usnął w innym pokoju.

Doskonale się bawili: Józia od razu wskoczyła na kominek i usiadła, a Kasia, która była szukającą i macała żywiej niż zwykle, śmiało porwała Józję za nogę i nie mogła pojąć, skąd ona się tam wzięła. Henryś dostał mocnego szturchańca i rozplakał się, Kasia zaczęła sukienką o róg biurka i rozdarła ją okropnie. Ale to były zbyt codzienne rzeczy, żeby zatruiły grę w „kukuryku”. Im dłużej trwała zabawa, tym bardziej wzrastały szal i wesołość. Wśród tego podniecenia nie przyszło im na myśl, że już późno, wtem dał się słyszeć trzask i głośny turkot kariolki przed bocznym wejściem. Ciotka Iza wróciła z nauki.

Jakiż powstał popłoch, jakie zamieszanie! Cesia ześlizgnęła się ze schodów jak węgorz i na skrzydłach trwogi poleciała do domu. Gdy pani Hall rozstała się z ciotką Izą i z hałasem zamykała frontowe drzwi doktora Carr, mógł ją uderzyć jakiś daleki łoskot jej własnych drzwi, ale nie była podejrzliwą kobietą, a jak tylko weszła na górę, ubranie Cesi było porządnie ułożone na krześle, ona zaś leżała w łóżku prawie już śpiąca, tylko trochę bardziej zarumieniona niż zwykle.

W tymże czasie ciotka Iza szła po swoich schodach. Jakiż przestrach miał zapanować w dziecinnym pokoju! Kasia z przecucia wsunęła się podstępnie do swego pokoiku i z największym pośpiechem ułożyła się w łóżku. Innym dzieciom było znacznie trudniej radzić sobie, bo ich liczna gromadka rozchodziła się w różne strony, a nie było lampy do przyświecania. Henryś i Joasia wsunęli się w pościel na wpół rozebrani, Elżbietka znikła, a Józia, nie mając już na to wszystko czasu i słysząc w sieni kroki ciotki Izę, uczyniła okropną rzecz, bo upadła na kolana z twarzą ukrytą w krześle i zaczęła odmawiać pacierz.

Ciotka Iza, wszedłszy ze świecą w rękę, stanęła na progu zdumiona tym widokiem. Potem usiadła, czekając końca, lecz Józia ze strachu modliła się ciągle z rozpaczą. Nareszcie ciotka Iza odezwała się bardzo cierpko:

— Dosyć już Józiu, możesz wstać! — Józia podniosła się z miną winowajczyni, bo znacznie gorzej było udawać, że się modli niż nie słuchać ciotki Izę i nie leżeć w łóżku o dziesiątej godzinie. Zdaje mi się jednak, iż Józia wówczas nie rozumiała tego.

Ciotka Iza wzięła się zaraz do rozbierania jej i zadała przy tym tyle pytań, że po niedługiej chwili poznała prawdę i dowiedziała się wszystkiego. Surowo zgromiła Józję i zostawiwszy ją, żeby obmyła spłakaną twarzyczkę, poszła do łóżka, gdzie Joasia i Henryś zaczęli usypiać, chrapiąc jak mogli najgłośniej. Coś niezwykłego ją uderzyło, przyjrzała się więc bliżej, podniosła kołdrę i przekonała się, iż są na wpół ubrani i mają na sobie szkolne obuwie. Po tym odkryciu ciotka Iza tak mocno szarpnęła małych przestępców, że obudziłyby nawet parę koszątek<sup>30</sup>. Henryś i Joasia mimo woli musieli się też ocknąć, znieść klapsy, naganę i rozebrać się, a ciotka Iza przez ten cały czas stała nad nimi jak smok. Otuliwszy ich wreszcie, spostrzegła, że nie ma Elżbietki.

— Gdzie moja biedna Elżbietka? — wykrzyknęła.

— W łóżku — odparła Józia pokornie.

— W łóżku — powtórzyła ciotka bardzo zdziwiona, a pochyliwszy się, pociągnęła mocno łóżeczko na kółkach i okazało się, że Elżbietka w ubraniu i nawet w trzewiczkach, tak szybko usnęła, że szarpanie, szczypanie, wołanie ciotki Izę obudzić jej nie zdołało. Ciotka zdjęła z niej sukienkę, rozsznurowała buciki, ale dziewczynka cały czas spała i ona jedna uniknęła zasłużonej nagany za ów okropny wieczór.

<sup>30</sup>koszatki — gryzonie znane z tego, że od października do kwietnia zapadają w sen zimowy. [przypis edytorski]

Kasia nie udawała, że śpi, gdy ciotka Iza weszła do jej pokoju. Obudziło się w niej przygłuszone sumienie i leżała w łóżku bardzo zmartwiona, że nabawiła innych i siebie przykrości, i nie dotrzymała ostatniego postanowienia, iż będzie przykładem dla młodszego rodzeństwa. Tak się czuła nieszczęśliwa, że surowe słowa ciotki Izy sprawiły jej niejako ulgę i chociaż płakała, póki jej sen nie ogarnął, to raczej od ciężaru własnych myśli niż dlatego, że została połajana.

Nazajutrz płakała jeszcze bardziej, gdyż pan Carr przemówił do niej surowiej niż kiedykolwiek. Przypomniawszy, że matka rzekła, umierając: „Jak Kasia dorośnie, to będzie matką dla młodszych dzieci”. Biedna Kasia! Szlochała, jak gdyby jej serce miało pęknąć i chociaż nic nie przyrzekła, sądziła, że już nigdy nie była tak lekkomyślna jak owego dnia.

Co do innych dzieci, to ojciec przywołał je razem i dał im wyraźnie do zrozumienia, że mają się już więcej nie bawić w „kukuryku”. Tak rzadko zakazywał jakiegokolwiek gry, nawet hałaśliwej, że te słowa sprawiły prawdziwe wrażenie na strwożonej<sup>31</sup> gromadce i nigdy już nie bawili się w „kukuryku” aż do dziś dnia.

## ROZDZIAŁ PIĄTY. NA PODDASZU

— Doprawdy — rzekła panna Pettingill, odkładając robotę — te dzieci coś znowu zbroją! Po co one tam poszły?

Panna Pettingill siedziała w pokoiku na tyłach domu, jak zwykle gdy przychodziła raz w tydzień naprawiać i przerabiać garderobę u państwa Carr. Była to najlepsza i najzabawniejsza staruszka, jaka kiedykolwiek chodziła żyć dziennie. Jej okrągła twarz przypominała bardzo ładne jabłko pieczone, tak była pomarszczona i poorana tysiącnymi bruzdami. Była mała i żwawa, nosiła czepki na złą stronę, zupełnie w tym samym kolorze, co zakurzony grzbiet psa nowoflandzkiego. Oczy miała zamglone i nosiła okulary, ale mimo to była doskonałą robotnicą. Wszyscy lubili pannę Pettingill, chociaż ciotka Iza powiedziała raz, że „ma za długi język<sup>32</sup>”. Zrobiła tę uwagę, będąc w złym humorze, wcale się nie spodziewając, że Filipek pójdzie zaraz do panny Pettingill z prośbą, żeby pokazała język, co chętnie uczyniła. Reszta dzieci tłoczyła się, żeby także zobaczyć, nie spostrzegły wprawdzie, żeby różnił się czymś od innych języków, ale Filipek upierał się, że widzi coś ciekawego. „Musi w tym coś być, kiedy jest zawieszony w taki dziwny sposób”.

Panna Pettingill przynosiła z sobą rozmaite skarby i dzieci cieszyły się jej przybyciem, bo rozpakowanie jej rzeczy było czymś takim jak bajka czarodziejska albo cyrk. Panna Pettingill obawiała się bardzo złodziei i do połowy nocy leżała rozbudzona, nadsluchując, czy nie przychodzą. Za nic w świecie nie zostawiłaby, wychodząc z domu, swego „srebra”, tak imponująco zwykła bowiem nazywać sześć starych łyżeczek do herbaty, cienkich, błyszczących i spiczastych, i nóż do masła, którego rękojeść świadczyła, że jest on dowodem wdzięczności za ocalenie życia siedmioletniemu Hurielowi Jobson, gdy chorował na mocną anginę. Panna Pettingill dumna była ze swego noża, który wraz z łyżeczkami podróżował w koszyczku zawieszonym u niej na rękę i nigdy nie był spuszcany z oka, chociażby szła w najporządniejszym domu na świecie.

Oprócz koszyka ze srebrem, panna Pettingill brała z sobą Tomka, prądkowatego kota. Tom był bardzo piękny i znał swoją wartość. Panował nad swą opiekunką z żelazną siłą woli i zawsze siedział na kołyszącym się krześle, chociażby takie było tylko jedno w pokoju. Panna Pettingill zwykła mówić, że jej to obojętne, gdzie *sama* siedzi, ale Tom jest delikatny i potrzebuje wygód. Nosiła z sobą także rodzinną *Biblię*, jakąś szczególną poduszeczkę do szpilek z czerwonego merynosu<sup>33</sup>, parę fotografii starych państwa Pettingill: Piotra Pettingill, który zatonął w morzu, pani Porter, która nazywała się Maria Pettingill, męża pani Porter i wszystkich dzieci Porterów. Zabierała także dużo pudełek i słoików oraz cały szereg flaszek i butelek wypełnionych domowymi lekami oraz ziółkami. Nie mogłaby usnąć, nie mając ich przy sobie, „bo — zwykła mówić — trudno przewidzieć, czy mnie co nagle nie napadnie i czy nie umrę z braku odrobiny imbirowego balsamu albo mięty”.

<sup>31</sup>strwożonej — przestraszzonej. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>ma za długi język — w dosłownym tłumaczeniu „język wywieszony po środku” (po ang. hung in the middle), wyrażenie oznaczające, że ktoś za dużo mówi. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>merynos — tu: rodzaj tkaniny ze szlachetnej wełny. [przypis edytorski]

Dzieci pana Carr robiły zawsze tyle hałasu, że trzeba było czegoś nadzwyczajnego, żeby panna Pettingill rzuciła robotę jak obecnie i pobiegła do okna. Istotnie przerażający był zgiełk; Henryś wołał „Hurra!”, reszta tupiała nogami, strasznie krzyżąc rozradowanym głosem. Panna Pettingill wyrzawszy na dół, zobaczyła wszystkich sześcioro – nie, siedmioro — bo i Cesia była, wydobywających się z drewnianej budy, gdzie za drzwiami służył duży, rozwartny łuk, i z hałasem biegających po dziedzińcu. Kasia niosła na czele czarną butelkę bez korka, inni zaś trzymali w każdej ręce coś na kształt ciasteczka.

— Katarzyno Carr! Katarzyno! — krzyżała panna Pettingill, pukając głośno w szybę — Czy nie widzisz, że deszcz pada? Powinnaś się wstydić, że pozwalasz braciszkom i siostróm wychodzić i moknąć w taką niepogodę.

Ale jej nikt nie słyszał i dzieci znikły w drwalni, gdzie było tylko widać z daleka migające sukienki i spodenki na czymś, co się zdawało drabiną opartą o szepę. Pomrukując, panna Pettingill cofnęła głowę i zajęła się naprawą alpakowego<sup>34</sup> pledu Kasi, który się rozdarł na samym środku przedniego brytu<sup>35</sup>. Dziwna rzecz, że Kasia zawsze darła ubranie w tym miejscu!

Gdyby oczy panny Pettingill mogły sięgnąć trochę dalej, zobaczyłyby, że dzieci wspinają się nie na drabinę, tylko na drewniany słup z kołkami powbijanymi o stopę<sup>36</sup> jeden od drugiego. Tylko wielkim skokiem można było się dostać z jednego kołka na drugi. Młodsze dzieci nie mogłyby się tam wdrapać, gdyby Józia z Cesią nie podtrzymywały ich z dołu, a Kasia nie ciągnęła z góry, korzystając z długiej ręki. Nareszcie znaleźli się wszyscy na wierzchołku, a potem w rozkoszonym ustroniu<sup>37</sup>, które zaraz opiszę.

Wyobraźcie sobie niski, ciemny spichrz<sup>38</sup> bez okien i z maleńkim tylko światłem pochodzącym z dziury w podłodze, o którą był oparty koniec słupa. Unosiła się tam silna woń plew od zboża, chociaż zboża już nie było, za to dużo kurzu i pajęczyny po kątach, wilgotne plamy na ścianach, bo dach zawsze trochę ciekł, gdy deszcz padał.

Nie pojmuję, z jakiej przyczyny dzieci tak lubiły to miejsce w niedzielę, gdy nie mogły się bawić na dworze. Ciotka Iza nie mniej była zadowolona ich upodobaniem. Gdy sama była młoda (a sięgało to czasu tak mglistego i dawnego, że aż niewiarygodnego dla jej siostrzeńców), nie miewała tak dziwnych chęci, by włóczyć się po dziurach, kątach i kryjówkach. Chętnie zakazałyby dzieciom chodzić do spichrza, ale ponieważ doktor Carr nie miał nic przeciwko temu, ograniczała się tylko do opowiadania historii o dzieciach, które połamały nogi na różne okropne sposoby, wspinając się na słupy i drabiny. Nie robiło to jednak żadnego wrażenia na nikim, prócz małego Filipka, i samowolna gromadka wdrapywała się na słup, kiedy tylko przyszła jej ochota.

— Co tam jest w butelce? — zapytał Henryś, dostawszy się do spichrza.

— Nie bądź ciekawy — odrzekła surowo Kasia — dowiesz się w swoim czasie. Jest to coś *doskonałego*, możesz mi wierzyć.

Uspokoiwszy Henrysia, mówiła dalej:

— Najlepiej wszyscy zrobicie, oddając mi ciasteczka, bo inaczej z pewnością zostaną zjedzone przed ucztą, a w takim razie wicie dobrze, iż nie będzie z czego zrobić uczy.

Wszyscy oddali jej ciasteczka, tylko Henryś, który swoje napoczął, wszedłszy na drabinę, nie miał na to wielkiej ochoty. Był jednak zbyt przyzwyczajony słuchać Kasi, żeby się sprzeciwić. Postawiono w kącie dużą butelkę, a wokół niej ułożyli stos ciasteczek.

— Dobrze, już dobrze — odezwała się Kasia, która jako najstarsza i największa kierowała zawsze zabawą. — Jeżeli jesteśmy już gotowi, to może się rozpocząć uroczystość. Pierwszym dziełem będzie *Tragedia w Albambrze* panny Hall.

— Nie — zawołała Józia — najpierw przeczytajmy *Sinego Czarodzieja*, czyli *Edwitę z Hebrydów*, wiesz którą, Kasiu.

— A nie mówiłam, że się z tym zdarzył okropny wypadek?

— Cóż takiego? — wykrzyknęli wszyscy, gdyż *Edwita* była ulubioną historyjką w całej rodzinie. Zaliczała się do periodycznych<sup>39</sup> powieści, które Kasia zwykła pisać. Rzecz szła

<sup>34</sup>alpakowy — zrobiony z wełny alpaki, czyli ssaka z rodziny wielbłądowatych. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>bryt — szew. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>stopa — miara długości w krajach anglosaskich, równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>ustronie — miejsce oddalone, zaciszne, położone daleko od domostw. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>spichrz — pomieszczenie przeznaczone do przechowywania zboża. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>periodycznych — ukazujących się co jakiś czas, w częściach. [przypis edytorski]

o damie, o królu, o błękitnym czarodzieju i o pudlu zwanym Bob. Powieść ta ciągnęła się od tak dawna, że wszyscy zapomnieli początku i nie mieli nadziei dożyć końca, mimo to wiadomość o jej nieszczęśliwym losie była jak grom z jasnego nieba.

— Opowiem wam, jak to się stało — rzekła Kasia. — Stary sędzia Kirby odwiedził dziś rano ciotkę Izę. Ucząc się w małym pokoiku, widziałam, jak wszedł, wyciągnął duży fotel i usiadł, a ja wtedy o mało nie krzyknęłam: „Niech pan tam nie siada!”.

— Czemu? — zawołały dzieci.

— Nie domyślcie się? Wsunęłam *Edwitę* między oparcie a siedzenie, była to wyborna kryjówka, bo siedzenie jest głębokie, ale zrobiła się tak gruba paczka, a sędzia Kirby zajmuje tak wiele miejsca, że bałam się jakiejś biedy. Zaledwie usiadł, papier zaczął trzeszczeć, on zaś podskoczył, wołając: „Co to jest?”. Potem macał, macał, aż znalazł paczkę i włożył okulary, żeby się jej przyjrzeć, wtem weszła ciotka Iza.

— Cóż dalej? — wołały dzieci, cisząc się wokół Kasi.

— Ciotka Iza także włożyła okulary, przymrużyła po swojemu oczy i oboje z sędzią przeczytali kawalek: pamiętacie, kiedy Bob kradnie błękitne pigułki, a czarodziej próbuje wrzucić je do morza. Nie wyobrazicie sobie, jak to było zabawne słyszeć ciotkę Izę czytającą głośno *Edwitę*. — Kasia zanosila się od śmiechu na to wspomnienie. — Gdy przyszła do słów „Ach Bobie! Mój anielski Bobie!”, wsunęłam się pod stół i wpackowałam serwetę w usta, żeby się powstrzymać od głośnego wybuchu. Wkrótce usłyszałam, jak ciotka Iza przywołała Dorotę i rzekła, dając jej papiery: „Masz tę bazgraninę, wrzuc ją zaraz w ogień”. Mnie zaś powiedziała, że jej zdaniem z pewnością przed dwudziestym rokiem życia dostanę się do szpitala wariatów. Tego już za wiele! Nawet ostatni rozdział przepadł! — dodała Kasia, na wpół śmiejąc się i na wpół płacząc. — Mam przynajmniej tę pociechę, że nie znalazła czarodziejskiej bajki, gdyż była głębiej wsunięta.

— Teraz zaczynamy! Panna Hall będzie łaskawa podnieść się — rzekła mistrzyni ceremonii.

Panna Hall zmieszała się, posłyszawszy swe pełne nazwisko, i wstała z rumieńcem na twarzy.

— „Kiedyś, kiedyś dawno temu — czytała Cesia — światło księżycy spoczywało nad komnatami Alhambry, a król chodził niecierpliwie po korytarzu, myśląc, że już nigdy nie nadejdzie”.

— Kto, księżyc? — zapytała Józia.

— Ma się rozumieć, że nie, tylko dama, w której się kochał. Następny wiersz objaśniłby, kto to taki, ale przerwałam — odparła Cesia. — „Miała na sobie srebrny turban z diamentowym półksiężycem. Gdy się przesuwiała po korytarzu, promienie były jak gwiazdy. »Przyszłaś nareszcie, Zulejko« — »Tak, mój panie«. W tej chwili dał się słyszeć chrzęst stali. Wszedł ojciec Zulejki w pełnej zbroi i wyciągnął miecz, co również uczynił tamten. Po krótkim czasie obaj leżeli nieżywi i sztywni w blasku księżycy. Zulejka wydała głośny krzyk i rzuciła się na ich zwłoki. Ona także umarła! I tak się skończyła *Tragedia Alhambry*”.

— To ładne — powiedziała Kasia, oddychając głęboko — ale bardzo smutne! Jakie ty piękne historie piszesz, Cesi! Tylko wołałabym, żebyś nie zabijała zawsze ludzi. Czy król nie mógł zabić ojca? A prawda, Zulejka nie poszłaby wówczas za niego, ale ojciec mógł... cóż to za kłopot! Dlaczego musi ktoś koniecznie być zabity? Dlaczego wszyscy nie rzucili się sobie wzajemnie w ramiona i nie pogodzili się?

— Ależ Kasiu — wykrzyknęła Cesia — to nie byłaby tragedia. Wszakże wiesz, że tytuł był *Tragedia w Alhambrze*.

— Dobrze, dobrze — powiedziała co prędzej Kasia, bo Cesi usta zaczęły się nadymać, a ładna, różowa twarzyczka zaczerwieniła się, jak gdyby się jej na płacz zbierało. — Może to ładniej, że wszyscy pomarli, tylko twoi panowie i panie zawsze umierają, więc chciałam odmiany.

Następnie Kasia, przejrząwszy swoją notatkę, rzekła:

— Teraz kolej na *Pieska*, poemat Józii Carr.

Dzieci zachichotały, ale Józia wstała poważnie i wyrecytowała ten oto wiersz<sup>40</sup>:

<sup>40</sup>wiersz „*Piesek*” — to rozbudowana wersja wierszyka o psie o imieniu Yap; autorką tłumaczenia jest Maria Kamińska. [przypis edytorski]

Pepito, rozkoszne stworzenie  
 Spokojne, łagodne, milutkie,  
 Ma włosy kręcone w pierścieniu,  
 Ma uszki ruchliwe i krótkie;  
 Ma łapki i długi ogonek,  
 I głosik dźwięczący jak dzwonek.  
 Amator bułeczki i mleka,  
 Wróg dziadów, żab, ptaków i kotów,  
 Na starych znajomych nie szczeka,  
 Dla obcych zachrypnąć jest gotów.  
 Podziela igraszki dziecinne —  
 Pepito, stworzenie niewinne.  
 Dziś jednak do zabaw brak chęci;  
 Figielki Pepity ustały,  
 Ogonkiem zalotnie nie kręci,  
 Pochmurny i smutny dzień cały,  
 Porzucił przymileń tysiące,  
 Aż wreszcie... zdechł biedak na łące.  
 Pod dużym, cienistym jaworem  
 W grób cichy Pepitę złożono,  
 I co dzień tam chodzą wieczorem,  
 Łzę rosą darninę zieloną  
 I mówią z rozpaczą: «o! czemu!  
 Pepito się objadł spleśniałego kremu!»

Poemat przyjęto gromkimi oklaskami: dzieci śmiały się, krzyczały, klaskały, aż się echo rozchodziło po spichrzu. Józia zachowała jednak poważną minę i usiadła tak spokojnie jak przedtem, tylko z tą różnicą, że się jej tworzyły i znikwały dołki w kącikach ust. Dołki te były po części tylko naturalne, a po części — przykro mi to wyznać — sama je sobie co dzień robiła kredą, mając zwyczaj mazać się nią w trakcie lekcji.

Gdy wrzawa ucichła, odezwała się Kasia:

— Teraz następują wiersze z Pisma Świętego, deklamowane przez panny: Elżbietę i Joannę Carr. Podnieś główkę, Elżbietko, i mów wyraźnie. Joasiu, *nie możesz* przecież chichotać, gdy przyjdzie twoja kolej.

Ale Joasia po tym zaleceniu śmiała się jeszcze bardziej, zatykała sobie usta i patrzyła przez szpary palców. Elżbietka za to z wielką godnością i z uroczystą powagą sędziego zaczęła deklamować:

Za kary grzechu anioł promienisty  
 Adama z Ewą wygnał z rajskich wrót;  
 I gdy przez błękit przechodzili czysty,  
 Na świat, gdzie na nich czekał pracy trud,  
 Wzrok ich padł z żalem na te rajske drzewa,  
 Które liść z kwiatem różnobarwnym krył.  
 Zapłakał Adam, wtórowała Ewa —  
 Taki na ziemi pierwszy koncert był.

Henryś parsknął w tym miejscu, lecz poważna Józia wstrzymała go, mówiąc:

— Nie śmieję się, to przecież z *Biblii*. No Joasiu, teraz twoja kolej.

Ale Joasia zatykała sobie usta i trzęsła ramionkami ze śmiechu. Nareszcie, po wielkich usiłowaniach, uspokoiwszy twarzyczkę, wypowiedziała co następuje, ale z takim pośpiechem, jak gdyby się bała wybuchnąć.

Osioł Balaama, gdy Anioła zoczył<sup>41</sup>,  
 Z przestachu przemówił i na bok odskoczył;

<sup>41</sup>zoczyć (daw.) — zobaczyć. [przypis edytorski]

Lecz któż to zjawisko wytłumaczyć zdoła,  
Że prorok Balaam nie widział Anioła?

Potem znów zasłoniła twarz paluszkami, a Elżbietka deklamowała dalej:

Eliasz zagłęzion w wodne przestrzenie,  
Gdy go zagnęła potrzeba,  
Brał z kruczych dziobów na pożywienie,  
Kawały mięsa i chleba.

— Chodź, Joasiu — rzekła Kasia, lecz niepoprawna<sup>42</sup> Joasia znowu śmiała się i można z niej było wydobyć tylko następujący wiersz:

Niedźwiedzie z lasu wypadły  
I jadły.

Te wiersze stanowiły część wielkiego projektu, nad którym Józia z Elżbietką pracowały przeszło rok. Był to nowy układ Pisma Świętego dla dzieci, który chciały wydrukować, dać czerwoną okładkę z fotografiami obu autorek i z tytułem: *Poetyczna Biblia dla młodzieży*.

Gdy przyszła kolej na Henrysia, pozwolono mu wybrać utwór do wygłoszenia, co okazało się niefortunne: miał on bowiem dziwny, raczej ponury gust. Tym razem zadeklamował wesoły hymn, zaczynający się od tych słów:

Słuchajcie z grobów żałosnego głosu.

Wypowiedział to głosem grobowym i dramatycznym, cmokając przy tym ustami:

Książęta, ten proch *będzie* waszym lożem,  
Pomimo waszej wielkości.

Starsze dzieci słuchały z jakąś osłupiałą trwogą. Przyjemnie im było czuć zimne dreszcze na plecach, przysuwały się do siebie coraz bardziej, gdy głuche tony Henrysia odbijały echem w ciemnych kątach spichrza. Jednakże na Filipku zrobiło to zbyt silne wrażenie — przy końcu wiersza cały tonął we łzach.

— Ja tu nie chcę zostać dłużej i słuchać jęków! — wołał, szlochając.

— Ach ty niegodziwy<sup>43</sup> chłopcze! — rzekła Kasia, tym bardziej rozgniewana, że jej samej się to podobało. — Widzisz, co narobiły twoje straszne hymny, które nas wszystkich trwożą śmiertelnie, a Filipka pobudzają do płaczu! — dała Henrysiowi szturchańca, ten zaczął szlochać, a ponieważ Filippek jeszcze płakał, Joasia także rozpląnęła się we łzach przez współczucie: jednym słowem zdawało się, że smutny będzie koniec uczty w spichrze.

— Pójdę powiedzieć ciotce Izie, że was nie kocham — oznajmił Henryś, wsadzając już nogę w dziurę w podłodze.

— Nie pójdziesz — rzekła Kasia, chwytając go za rękę — zostaniesz, bo zaraz rozpocznie się uczta. Filipku, przestań płakać. Joasiu, nie bądź gąską, tylko podaj ciasteczka!

Słowo „uczta” zrobiło wrażenie na umysłach biesiadników. Filippek rozweselił się zaraz, a Henryś przestał się zbierać do wyjścia. Uroczyscie postawiono w środku czarną butelkę, a uśmiechnięta już Joasia podała ciasteczka z ząbkowanymi brzeżkami i z kminkiem w środku. Każde dziecko dostało dwie sztuki tych smacznych ciasteczek. Gdy ostatnie zostało zjedzone, Kasia włożyła rękę do kieszeni i wśród głośnych okłasków wyjęła, jako dodatek wieńczący ucztę, siedem długich, ciemnych lasek cynamonu.

<sup>42</sup>*niepoprawny* — nie poprawiający swojego zachowania. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*niegodziwy* — podły, złośliwy. [przypis edytorski]

— Czy to nie doskonały pomysł? Kucharka była dziś w bardzo dobrym humorze i pozwoliła mi sięgnąć samej do pudła, więc wybrałam najdłuższe laski, jakie tylko były. Ciesiu, napij się pierwsza z butelki, bo ty jesteś gościnią.

Okazało się, że tą „doskonałą” rzeczą był ocet rozrobiony wodą. Chociaż się nagrzał, smakował im bardzo, dlatego że pili prosto z butelki i w spichrzu. Zresztą nie nazywali tego napoju octem, ma się rozumieć, że nie! Każde nadało swojej porcji inną nazwę, jak gdyby ta butelka, jak u Signora Blitzza, mieściła w sobie dwanaście rzeczy naraz. Józia nazwała napój ten malinowym sokiem, Henryś imbirowym syropem, a romantyczna Cesia miodem — tłumacząc, że o ile jej się zdaje, jest to rzecz bardzo dobra, zrobiona z wosku pszczelego. Gdy ostatnia kropla została wypita i ostatni kawałek cynamonu schrupany, biesiadnicy znowu wrócili do porządku, aby wysłuchać deklamacji Filipka, zawierającej się w tym jednym wierszu:

Małeńkie kropelki wody.

Zajmujący ten poemat powtarzał co niedzielę, o ile mogli zapamiętać. Potem Kasia oznajmiła, że już koniec literackiej części uczty i że się będą bawić w jazdę dylizansami<sup>44</sup>. Chociaż z powodu ciasnoty nieraz uderzyli się o dach, tak im było wesoło, że na odgłos dzwonka wzywającego na herbatę, wszyscy wykrzyknęli „Ach Boże!” z największym żalem. Przypuszczam, że ciasteczka i ocet odebrały im apetyt, bo wcale nie byli głodni, a Henryś bardzo zadziwił ciotkę Izę, gdy spoglądając z niesmakiem na stół, rzekł: „Fe, tylko placek ze śliwkami, ciastka parzone i korzenne biszkopty! Nie chcę wcale kolacji”.

— Co temu dziecku? Musi być chore — rzekł pan Carr, ale Kasia mu wyjaśniła:

— O nie papo! Tylko wyprawiliśmy ucztę w spichrzu.

— Czy dobrze się bawiliście? — spytał ojciec. Ciotka Iza mruknęła coś niechętnie, ale dzieci wszystkie razem odpowiedziały:

— Doskonale.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY. SERDECZNE PRZYJACIÓŁKI

— Ciotko Izo, czy mogę poprosić Imogenę Clark, żeby spędziła u nas niedzielę? — zawołała Kasia, wpadając do domu pewnego popołudnia.

— Któż to jest Imogena Clark? Nigdy jeszcze nie słyszałam jej nazwiska — odpowiedziała ciotka.

— Ach, to *najmilsza* w świecie dziewczynka! Krótko chodziła do szkoły pani Knight, ale się bardzo przyjaźniłyśmy. To zupełna piękność, ciotko Izo. Ręce ma białe jak śnieg i nie większe jak *to*. Taka szczupła jest w pasie, jak żadna z uczennic, i przy tym tak prawdziwie dobra, i taka poświęcająca się, i niesamolubna. Wątpię, żeby miała choć odrobinę przyjemności w domu! Pozwól mi ją zaprosić!

— Skąd wiesz, że jest taka dobra i poświęcająca się, skoro ją krótko znałaś? — zapytała ciotka Iza niezbyt obiecującym tonem.

— Ona mi wszystko mówi! My teraz zawsze przechadzamy się z sobą w czasie przerw. Wszystko o niej wiem i taka jest miła! Jej ojciec był bardzo bogaty, ale teraz są biedni i Imogenie naprawiano dwa razy buciki tej zimy. Zdaje mi się, że ona jest kwiatkiem swej rodziny. Nie możesz sobie ciotko wyobrazić, jak ją kocham! — mówiła Kasia sentymentalnie.

— To prawda, nie mogę — odparła ciotka Iza — nigdy nie mogłam znieść twoich nagłych przyjaźni i wołałabym, żebyś nie zapraszała tej Imogeny czy jak się tam nazywa, dopóki nie znajdę sposobności zapytać kogoś o nią.

Kasia załamała ręce z rozpaczą.

— Ach ciotko Izo! — zawołała — Imogena wie, że przyszedłam prosić cię o to i stoi teraz w bramie, czekając na odpowiedź. Pozwól tylko ten jeden raz! Tak się strasznie będę wstydziała, jeśli nie pozwolisz!

<sup>44</sup>*dylizans* (z fr.) — kołowy pojazd konny używany od połowy XVI w. do połowy XIX wieku do przewozu pasażerów i przesyłek pocztowych. Dylizans jeździł po stałych trasach, według ustalonego rozkładu jazdy. Jako dylizanse używano dużych, zamkniętych pojazdów o wagonach mieszczących do kilkunastu osób. Z tyłu pojazdu i na dachu umieszczano przesyłki oraz bagaże, z przodu, na tzw. koźle siedział woźnica kierujący powozem oraz konduktor kontrolujący opłaty. [przypis edytorski]

Ciotka Iza, poruszona zasmuconą miną Kasi, odrzekła:

— Jeżeli już ją zaprosiłaś, to naturalnie nie mogę odmówić, ale pamiętaj, Kasiu, żeby się to więcej nie zdarzyło. Nie chcę, żebyś zapraszała dziewczęta, a potem dopiero pytała mnie o pozwolenie. Ojciec wcale nie będzie zadowolony, bo uważa bardzo na to, z kim się zaprzyjaźniasz. Przypomnij sobie, jak się skończyło z panią Spenser.

Biedna Kasia! Zawsze wpłatywała się w jakieś kłopoty przez swą skłonność do gwałtownego zakochiwania się w nowych osobach. Odkąd zaczęła chodzić i mówić, „serdeczne przyjaciółki Kasi” były przedmiotem żartów całego domu.

Ojciec zaczął utrzymywać spis tychże, ale ich liczba tak wzrastała, że zrozpaczony odstąpił od tego zamiaru. Pierwszą na liście była mała Irlandka Marynia O’Riley — mieszkała przy ulicy, którą Kasia chodziła do szkoły. Nie był to zakład pani Knight, tylko szkoła podstawowa, do której obecnie uczęszczali Henryś i Joasia. Marynia zwykle robiła babki z piasku przed domem matki, a pięcioletnia wówczas Kasia zatrzymywała się często, żeby jej pomagać. To wspólne wyrabianie pieczywa tak je zbliżyło z sobą, że Kasia postanowiła przyjąć to dziecko za swoje, porwać je i ukryć w bezpiecznym i tajnym kącie.

Zwierzyła się Józii z tym zamysłem, ale nikomu poza nią. Obie, uszczęśliwione rozkoszną tajemnicą, zaczęły codziennie wieczorem po kolacji odkładać kawałki chleba i ciastek. Powoli zebrał się wielki stos czerstwych skórek i innych przysmaków, które zanosily na poddasze. Schowały także jabłka podarowane im przed dwoma tygodniami, a z wotowanych piernatów<sup>45</sup> i poduszek wziętych z domku lalek usłały łóżko w dużym, pustym pudle. Gdy wszystko było gotowe, Kasia opowiedziała swój plan ukochanej Maryni i z łatwością namówiła ją, żeby uciekła do nowego mieszkania.

— Nie powiemy papie ani mamie, dopóki nie wyrosnie duża — powiedziała Kasia do Józii — wówczas sprowadzimy ją na dół i *jakież* będzie ich zadziwienie! Nie nazywaj jej już Marynią, bo to nieładnie, tylko Suskhanną, Suskhanną Carr! Pamiętaj Maryniu, żebyś nie odpowiadała, jak zawołam: „Maryniu”, tylko jak powiem: „Suskhanno!”.

— Dobrze — odparła bardzo pokornie Marynia.

Przez cały dzień wszystko szło cudownie. Suskhanna mieszkała w drewnianym pudle, zjadła wszystkie jabłka oraz świeższe skórki od chleba i była szczęśliwa. Obie dziewczynki wykradały się kolejno, żeby zabawić „bobo” — tak ją bowiem nazywały, chociaż była większa od Józii. Ale gdy wieczór nadszedł i niania, porwawszy Kasię i Józję, zaniósła je do łóżeczek, pannie O’Riley poddasze zaczęło się wydawać straszne. Wychyliwszy się z pudła, mogła widzieć stojące po kątach czarne przedmioty, których, jak jej się zdawało, nie widziała w dzień. Były to rzeczywiście skrzynie, miotły, szkandele<sup>46</sup> do wygrzewania pościeli, ale w ciemności przedstawiały się zupełnie inaczej, takie były wielkie i straszne! Biedna Marynia znosiła to, dokąd mogła, ale nareszcie, gdy coś zaczęło skrobać po ścianie blisko niej, straciła całkiem odwagę i krzyknęła pełnym głosem.

— Co to jest? — odezwał się pan Carr, który wracając właśnie do domu, szedł po schodach.

— Zdawałoby się, że ten głos wychodzi z facjatki — rzekła pani Carr, działo się to bowiem przed jej śmiercią — chyba ktoś z dzieci przez sen wyszło z łóżka i zakradło się na górę.

Nie, Kasia i Józia były bezpieczne w dzieciennym pokoju, pan Carr wziął zatem świecę i czym prędzej poszedł na facjatkę, skąd dochodziły coraz straszniejsze jęki. Gdy stanął na gorze, krzyki ustały. Zajrzał, ale nie było nic widać, wreszcie maleńka główka ukazała się nad brzegiem dużego drewnianego pudła i płaczliwy głosik wyjąkał:

— Ach panno Kasiu, doprawdy ja tu nie mogę zostać dłużej! Tu są szczury!

— *Któż* ty jesteś, u Boga? — zapytał zdumiony doktor.

— Bobo panny Kasi i panny Józii, ale już nie chcę być dłużej bobem. Chcę pójść do domu i zobaczyć mamę — i znowu biedne dziecko zapłakało.

Pewnie nigdy w życiu doktor Carr nie uśmieł się tak serdecznie, jak kiedy doszedł całej historii i odkrył, że Kasia z Józją „zaadoptowały” dziecko. Ale okazał się bardzo dobry dla biednej Suskhanny i zaniósł ją na rękach do dzieciennego pokoju. Leżąc w łóżeczku obok dzieci, szybko zapomniała o swym strapieniu i usnęła.

<sup>45</sup>piernat — cienki materac wypchany pierzem. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>szkandele — napełniane wodą pojemniki służące jako podgrzewacze do pościeli. [przypis edytorski]

Małe siostrzyczki były bardzo zadziwione, gdy obudziwszy się nazajutrz rano, spostrzegły swoje boby śpiące obok nich. Ale radość wkrótce ustąpiła łzom, po śniadaniu bowiem doktor Carr odniósł Marynię do matki, która bardzo się przestraszyła jej zniknięciem i zapowiedział dzieciom, że muszą się wyrzec swych planów związanych z poddaszem. Wielki żal panował w dzieciennym pokoju. Dopiero gdy pozwolono Maryni, aby przychodziła bawić się z nimi, powoli zapomniały o zmartwieniu, a w kilka miesięcy później państwo O'Riley wyjechali z Burnet i taki był koniec pierwszej przyjaźni Kasi.

Druga była jeszcze zabawniejsza. Jakaś dziwaczna, stara, ponura kobieta mieszkała samotnie w domku niedaleko szkoły. Miała bardzo zły charakter i sąsiedzi opowiadali straszne rzeczy o niej — tak, że dzieci, bojąc się przechodzić koło jej siedziby, miały zwyczaj zawracać, nie dochodząc tam, i przebiegać na drugą stronę ulicy. Tak regularnie to czyniły, że wydeptały ścieżkę w trawie, ale Kasia, nie wiadomo dlaczego, miała pociąg do tego domku. Lubiała tam zaglądać przez drzwi, zawsze jednak będąc gotowa do ucieczki, w razie gdyby baba przyskoczyła z miotłą.

Pewnego dnia uprosiła dużą główkę kapusty u Aleksandra i rzuciła ją pod drzwi. Starej podobało się to widocznie i odtąd Kasia zawsze się zatrzymywała na gawędę, przechodząc tamtędy. Siadała nawet potem na progu, żeby się przyglądać starej przy robocie. Była to niebezpieczna przyjemność: coś podobnego, jak gdyby ktoś siedział u wejścia lwiej klatki, z tą niepewnością, czy jego majestat lada chwila nie zechce skoczyć, żeby go pożreć.

Następnie upodobała sobie Kasia dwie siostry, córki pewnego jubilera, Niemca. Były już dorosłe i zawsze jednakowo ubrane, tak że mało kto mógł je rozróżnić. Mówiły bardzo mało po angielsku, a ponieważ Kasia nie umiała ani słowa po niemiecku, znajomość ta ograniczała się do uśmiechów i bukiecików, które Kasia zrywała i podawała im, gdy przechodziły koło bramy. Była zbyt nieśmiała, żeby zrobić coś więcej niż podać kwiatki i uciec, ale to widocznie sprawiło przyjemność bliźniaczkom, gdyż pewnego dnia Józia, wyglądając oknem, zobaczyła, że otwierają furtkę, przyczepiają coś do krzaka i odchodzą szybko. Ma się rozumieć, że zaraz przywołała Kasię i pobiegły zobaczyć, co zawiera paczka. Był to kapelusik dla lalki — śliczny, niebieski, jedwabny kapelusik, przybrany sztucznymi kwiatami. Przypięta była do niego karteczka, skreślona w obcym języku:

„Dla miłutkiej dziewczynki, która jest tak uprzejma, że nam daje kwiaty”.

Można sobie wyobrazić, czy Kasia i Józia były zadowolone.

Kasia kończyła wówczas szósty rok życia — ile zawarła przyjaźni od owej epoki, tego nie zdołałabym wam powiedzieć: to z węglarzem, to z kapitanem statku parowego, to z kucharką pani Sawyer, miłą staruszką, która ją uczyła gotować, robić ciastka śmietankowe i biszkopty, to z kapeluszniczką ładną i zręczną, którą Kasia uporczywie nazywała „kuzynką Estellą” ku wielkiemu oburzeniu ciotki Izy, to ze złodziejem zamkniętym w miejskim więzieniu, pod którego oknem zwykła stawać, mówiąc litościwie: „Tak mi cię żal, biedny człowieku” albo „Czy zostawiłeś tu taką dziewczynkę jak ja?”. Złodziej miał kawałek sznurka i spuszczał go oknem, a Kasia przywiązywała pączki róż i wiśnie, które podnosił w górę. Znajomość owa była tak zajmująca, że Kasia poczuła się okropnie, gdy poprowadzono tego człowieka do rządowego więzienia. Potem nastąpiła krótka chwila dla Kornelii Perham, milej i dobrej dziewczyny, której ojciec handlował owocami. Mam obawę, że upodobanie Kasi do śliwek i białych winogron grało istotną rolę w tej przyjaźni. Była to wyborna rozrywka pójść z Kornelią do dużego sklepu jej ojca, gdzie otwierano dla ich przyjemności całe pudła rodzynek i skrzynie z figami i pozwalano podnosić się w górę na windzie, ile tylko chcieli. Ale ze wszystkich dziwacznych znajomości Kasi najdziwniejsza była z panią Spenser, którą wspomniała ciotka Iza.

Pani Spenser była tajemniczą osobą, której nigdy nikt nie widział. Jej mąż, człowiek przystojny, ale o niemiłym usposobieniu, przybył z nieznanych stron i wynajął mały domek w Burnet. Wydawało się, że nie miał żadnego szczególnego zajęcia, a bardzo często wyjeżdżał z domu. O żonie mówiono, że jest chora i — wspominając o nim — potrząsano głowami z podziwem, jak biedaczka może radzić sobie sama jedna, kiedy męża nie ma w domu.

Ma się rozumieć, że Kasia była za młoda, żeby pojmwować te szepty i przyczynę złego zdania ludzi o panu Spenser. Romansowa historia o zamkniętych drzwiach i o tej pa-

ni, której nikt nie widywał, zajmowała ją bardzo. Zwykle zatrzymywała się pod oknami, zaglądając ciekawie, aż nareszcie powiedziała sobie, że *musi* się czegoś dowiedzieć. Pewnego dnia, wzięwszy z sobą trochę kwiatów i ulubioną lalkę Wiktosię, poszła śmiało na podwórze państwa Spenser.

Zapukała do frontowych drzwi, ale się nikt nie odezwał, zapukała drugi raz, znowu daremnie. Spróbowała otworzyć drzwi, zamknięte były na klucz, wzięwszy więc Wiktosię w rękę, posunęła się dalej. Przechodząc koło bocznych drzwi, spostrzegła, że są uchylone. Zapukała po raz trzeci, a ponieważ nikt się nie ukazał, weszła sama i, przebywszy małą sionkę<sup>47</sup>, zaczęła pukać do wszystkich wewnętrznych drzwi.

Cały dom zdawał się wyludniony. Kasia zajrzała najpierw do kuchni — pusta była i opuszczona, różne naczynia stały wokół, a na kominie nie było ognia. Dalej, w bawialnym pokoju buty pana Spensera leżały na podłodze, brudne szklanki stały na stole, a talerz z kośćmi od jakiegoś mięsa — na kominku. Na wszystkim leżała gruba warstwa kurzu i cały dom tak wyglądał, jak gdyby nie był zamieszkały co najmniej od roku.

Próbowała otworzyć kilka innych drzwi, ale wszystkie były zamknięte na klucz. Poszła więc na górę i stanęła na ostatnim schodku, ściskając mocno kwiaty, trochę niepewna co dalej robić — wtem słaby głos odezwał się z sypialnego pokoju.

— Kto tam?

Była to pani Spenser — leżała na łóżku tak bardzo pomiętym i poprzewracanym, jak gdyby nie było posłane z rana. W pokoju panował taki sam nieład i nieporządek jak w całym domu. Koszula i czepek na niej wcale nie były czyste, ale twarz miała miłą i piękne, kręcące się włosy, które spadały na poduszkę. Widocznie była bardzo chora i Kasia tak się jej żał zrobiło, jak jeszcze nikogo na świecie.

— Kto ty jesteś, dziecko? — zapytała.

— Córeczka doktora Carr — odrzekła Kasia, idąc prosto do łóżka. — Przyniosłam pani trochę kwiatów — i położyła bukiet na brudnej koldrze.

Pani Spenser widocznie lubiła kwiaty, wzięła je do ręki i wachała długi czas w milczeniu.

— Jakimże sposobem tu weszłaś? — rzekła na koniec.

— Drzwi były otwarte — bąknęła Kasia, zaczynając się dziwić swojej śmiałości. — Mówiono, że pani jest słaba, więc zdawało mi się, że dobrze zrobię, gdy przyjdę tu czasem.

— Dobra z ciebie dziewczynka — rzekła pani Spenser i pocałowała ją.

Odtąd co dzień Kasia tam bywała. Czasem chora wstała i przechadzała się powoli, ale częściej leżała w łóżku, a Kasia siedziała przy niej. Dom ten nigdy nie wyglądał lepiej niż pierwszego dnia, ale po jakimś czasie Kasia zaczęła przynajmniej czesać panią Spenser i obmywać jej twarz ręką rącznika.

Sądzę, że jej odwiedziny przynosiły pociechę biednej kobiecie, tak bardzo chorej i osamotnionej. Czasami, czując się zdrowsza, opowiadała Kasi swoje dzieje, o tym, jak będąc małą, mieszkała u rodziców, ale o panu Spenserze nie mówiła nigdy. Kasia widziała go raz tylko i taki ją strach ogarnął, że przez kilka dni nie miała odwagi wstąpić do ich domku. Nareszcie pewnego dnia Cesia oznajmiła, że widziała go odjeżdżającego dyliżansem z workiem podróżnym, ośmieliła się więc znowu odwiedzić panią Spenser, która wykrzyknęła, zobaczywszy ją:

— Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz!

Kasię ujęło<sup>48</sup> to i ucieszyło, że się stała potrzebna, i odtąd nie opuściła ani jednego dnia. Zanosila najpiękniejsze kwiaty, jakie mogła znaleźć, jeśli ktoś dał jej ładną brzoskwinie albo kilka winnych gron, to chowała je dla pani Spenser.

Ciotkę Izę niecierpliwiło to wszystko, ale doktor Carr nie chciał powstrzymać Kasi i mówił, że w takich okolicznościach dorosłe osoby nie mogą nic uczynić, lecz jeżeli Kasia przynosi pociechę tej chorej pani, bardzo go to cieszy. Kasia także była uradowana i nie mniejsze wyciągała korzyści z tych odwiedzin od pani Spenser, bo żywe współczucie dla tej chorej kobiety czyniło ją tak łagodną i cierpliwą, jak nigdy.

<sup>47</sup>sionka — wąskie przejście między pomieszczeniami, korytarz. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>ujęło ją to — sprawiło jej to przyjemność. [przypis edytorski]

Pewnego dnia wracając ze szkoły, zatrzymała się tam jak zwykle. Próbowała otworzyć boczne drzwi — zamknięte, tylne — również, nawet wszystkie żaluzje były pospuszczane, co ją bardzo zmieszało.

Gdy tak zakłopotana stała na podwórzu, jakaś kobieta wychyliła głowę z okna sąsiedniego domu, wołając:

— Na próżno<sup>49</sup> się panna dobija, bo ci państwo wyjechali.

— Dokąd? — spytała Kasia.

— Nikt tego nie wie: ten pan wrócił dziś w nocy, a rano przed wschodem słońca sprowadził powóz przed drzwi, ułożył kufry, wsadził chorą panią i puścił się w drogę. Już niejedni dobijali się tu przed panienką, ale pan Pudgett zabrał klucz i nikt nie może wejść, póki się z nim nie zobaczy.

Aż nadto wiele było w tym prawdy: pani Spenser odjechała i Kasia nie zobaczyła jej więcej. Po kilku dniach wyszło na jaw, że pan Spenser był bardzo złym człowiekiem i robił fałszywe pieniądze — był *falszerzem* — jak mówią dorosłe osoby. Policja poszukiwała go, żeby osadzić w więzieniu, i z tego powodu wrócił tak śpiesznie i zabrał swą biedną, chorą żonę. Ciotka Iza płakała ze wstydu, że Kasia bywała w domu fałszerza, ale pan Carr mówił ze śmiechem, że nie przypuszcza, żeby ten rodzaj zbrodni udzielał się, a co się tyczy pani Spenser, to była bardzo godna litości. Ciotka Iza nie mogła jednak dojść do siebie po tym upokorzeniu, a nawet w napadach złego humoru często wznawiała tę starą historię, o której już prawie wszyscy zapomnieli, i tylko Henryś z Joasią bawili się w „pana Spensera prowadzonego do więzienia”. Przez długi czas było to ich ulubioną rozrywką.

Kasia z zalem zawsze słuchała niechętnych słów ciotki o jej chorej przyjaciółce i dlatego ze łzami w oczach, z ponurą twarzą przyszła do Imogeny Clark, czekającej na nią w bramie.

— Ach, pewnie twoja arystokratyczna ciotka odmówiła? — zawołała Imogena, chwytając ją za rękę.

Panna Clark, która nazywała się tak naprawdę Elżbieta, była to dosyć ładna dziewczynka: miała przekrzywione ckwilnie usta, błyszczące, ciemne włosy i okrągłe dwa loczki na skroniach. Te loczki musiały być przylepione, bo się nigdy nie poruszały, chociaż się śmiała lub kręciła głową. Z natury była wesoła, ale czytanie romansów przewróciło jej zupełnie w głowie. Po części to właśnie czyniło ją tak ponętą dla Kasi, która przepadała za powieściami i Imogenę uważała za prawdziwą bohaterkę romansu.

— O nie, bynajmniej — odrzekła Kasia z trudnością, wstrzymując się od śmiechu na tę myśl, że ciotkę Izę nazwano arystokratyczną krewną.

— Powiedziała, że to będzie... — ale tu odezwało się w Kasi sumienie i zamiast dokończyć frazesu bąkała coś — Hm, hm, hm... Więc przyjdiesz do mnie, prawda, kochanie? Tak się na to cieszę!

— Ja także — powiedziała Imogena, teatralnie przewracając oczy.

Odtąd dzieci już o niczym innym nie mówiły, tylko o spodziewanych odwiedzinach Imogeny. W niedzielę rano przed śniadaniem Kasia z Józją zajęły się zbudowaniem pod drzewami pięknej altany ze szparagowych gałęzi i zaniosły tam wszystkie zabawki. Kucharka upiekła im cynamonowe ciastka, kotek miał różową wstążeczkę na szyi, a lalki — nie wyłączając „Karolka” — poubierane były w najładniejsze sukienki.

Około w pół do dziesiątej przyszła Imogena. Miała jasnoblękitną bareżową<sup>50</sup> suknię z wyciętym stanikiem i krótkimi rękawami, sznur koralu we włosach, białe atlasowe trzewiki i żółte rękawiczki. Rękawiczki i trzewiki były całkiem brudne, a bareż<sup>51</sup> stary i poplamiony, ale ogólne wrażenie było tak uderzające, że domowe dzieci, poubierane do zabawy w perkalowe<sup>52</sup> sukienki i białe fartuszki, były olśnione ukazaniem się gości.

— Imogeno, wyglądasz zupełnie jak panna z powieści — rzekła naiwnie Kasia.

Imogena skłoniła główkę i jeszcze bardziej zaszeleściła spódnicami.

Wraz z tym pięknym strojem przybrała pozę odmienną od codziennej. Wiadomo wam, że niektóre osoby tak robią, idąc w odwiedzinę. Można by prawie sądzić, że to inna Imogena, którą wyjmują z pudełka tylko w niedzielę i święta uroczyste. Kręciła się,

Pozory, Gra

<sup>49</sup>na próżno — na darmo, niepotrzebnie. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>bareżowa — zrobiona z lekkiego materiału. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>bareż — lekka tkanina z wełny, bawełny, jedwabiu lub mieszaniny tych materiałów; nazwa pochodzi od francuskiego miasta Barèges w Pirenejach, gdzie wyrabiano takie materiały. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>perkalowy — bawełniany. [przypis edytorski]

chichotała, szeptała, przeglądała się w zwierciadle i grała rolę dorosłej osoby i wielkiej damy. Gdy ciotka Iza przemówiła do niej, tak była zmieszana i nieswobodna, że się Józia o mało nie roześmiała. Nawet Kasia, która w ukochanych osobach nie dostrzegała nic złego, czym prędzej pociągnęła ją do dzieciennego pokoju.

— Chodź do altany — rzekła, obejmując ręką błękitny staniczek.

— Do altany! — wykrzyknęła Imogena. — Jak to będzie miło!

Ale gdy doszły do szparagowych gałęzi, jej twarz sposepniała:

— Ależ tu nie ma ani dachu, ani wieżyczki, ani fontanny! — rzekła.

— Ma się rozumieć, bo ją same robiłyśmy! — odezwała się Kasia, robiąc wielkie oczy.

— Tak! — powiedziała Imogena z widocznym zawodem. Kasia i Józia zasmuciły się i widząc, że się gościowi nie podoba altana, starały się obmyślić coś innego.

Idąc przez podwórze, Imogena stawiała ostrożne kroki w swych białych atlasowych trzewikach, a zobaczywszy słup z powbijanymi kolkami, wykrzyknęła:

— O, nie idźmy tam, moje drogie, nie idźmy! Nie, nie!

— Spróbuj, to takie łatwe! — namawiała Kasia, wspinając się ze dwanaście razy, żeby pokazać, że w tym nie ma nic trudnego.

Ale Imogena nie dała się przekonać.

— Nie proście mnie! — rzekła z przesadą. — Moje nerwy nie zniosłyby nic podobnego! Zresztą mój strój!

— Czemu się tak ubrałaś? — powiedział Filipek, który był prostoduszny i lubił zadawać pytania. Joasia zaś szepnęła do Henrysia: „To strasznie głupia dziewczyna, niech sobie idzie, gdzie chce, a my się bawmy osobno”.

Jedno po drugim wymknęły się wszystkie dzieci, zostawiając Kasi i Józii zabawianie gościni. Próbowaly one rozerwać ją lalkami, ale nie miała na to ochoty, chciały usiąść w cieniu i deklamować wiersze, w ten sposób, aby się każdy zaczynał od litery kończącej wiersz poprzedni — ta gra była bowiem ich ulubioną, ale powiedziała, że chociaż wielbi poezję, nie potrafi jej utrzymywać w pamięci. Skończyło się więc na tym, że poszły do sadu, gdzie zjadła dużo śliwek, wczesnych jabłek i zdawała się prawdziwie zadowolona. Gdy już nie mogła jeść więcej, opanowały ją straszne nudy, nareszcie Imogena rzekła:

— Czy nie przesiadujecie nigdy w salonie?

— W czym? — zapytała Józia.

— W salonie — powtórzyła Imogena.

— Ona chce zapewne powiedzieć w bawialnym pokoju! — wykrzyknęła Kasia. — Nie, nigdy, chyba że ciotka Iza ma gości na herbacie. Tam jest ciemno i sztywno, zresztą daleko przyjemniej jest bawić się na dworze. Czy sądzisz inaczej?

— Jak czasem — odrzekła Imogena dwuznacznie — ale zdaje mi się, że byłoby dobrze posiedzieć tam chwilę, bo mnie strasznie boli głowa od tego nieznośnego słońca.

Kasia łamała sobie głowę, jak postąpić, gdyż prawie nigdy nie wchodziły do bawialnego pokoju, który ciotka Iza szanowała jak świętość. Wszystkie krzesła były tam w pokrowcach, żeby się nie zakurzyły, a rolety zawsze trzymano spuszczone, chroniąc pokój od moli. Co za myśl, żeby dzieci siadały tam w zakurzonych bucikach! Z drugiej strony przez wrodzoną grzeczność przykro było Kasi nie ulec życzeniu gości, prócz tego bała się, żeby Imogena nie opowiadała, że Katarzynie Carr nie wolno siadać w najpiękniejszym pokoju, nawet gdy ma gości! Z bijącym sercem wskazała drogę do bawialni, nie śmiała podnieść rolet, więc było prawie zupełnie ciemno i mogła tylko widzieć jak przez mgłę, że Imogena siada na sofie, a Józia z przerażeniem zajmuje taboret od fortepianu. Ciągle się wsłuchiwała, czy nie idzie ciotka Iza i byłoby jej dwa razy przyjemniej w szparagowej altanie, gdzie panowała zupełna swoboda.

Imogena zaś dopiero tam doszła do siebie i zaczęła mówić, ciągle tylko o sobie. Jakież historie miały się jej niby to przydarzyć! Wszystkie panny z pisma „Młoda Angielka”, razem wzięte, nie doznały tak dziwnych przygód. Kasia i Józia, coraz bardziej zaciekawione, przysunęły się do sofy, słuchając z otwartymi ustami. Kasia zapomniała nadstawić ucha, czy nie idzie ciotka Iza i chociaż drzwi od bawialnego pokoju otworzyły się, nie spostrzegła tego. Nie słyszała nawet zamykającej się frontowej bramy, gdy ojciec przyszedł na obiad.

Pan Carr zatrzymał się w przedśionku, żeby przejrzeć gazety, usłyszał krzykliwy głos w bawialnym pokoju. Z początku nie zwracał prawie uwagi, lecz uderzyły go następujące słowa:

— Ach moje drogie, jakże to miło było, jak rozkosznie! Musiałam dobrze wyglądać w białej sukni, z rozpuszczonymi włosami i z jedną różą, tu na wierzchu głowy. On się nachylił do mnie i rzekł cichym, głębokim tonem: „Pani, jestem rozbójnikiem, ale czuję czarodziejską potęgę piękności. Jesteś pani wolną!”

Doktor Carr trochę bardziej uchylił drzwi, lecz nie widział nic, prócz niewyraźnych postaci. Po chwili usłyszał Kasię niecierpliwie wołającą:

— Ach *mów* dalej, co się potem stało?

— Po co dzieci poszły do bawialnego pokoju? — zapytał doktor Carr ciotkę Izę, którą zastał w jadalni.

— Do bawialnego pokoju! — gniewnie wykrzyknęła panna Iza. — Co one tam robią?

— Idąc do drzwi, wołała już z daleka:

— Dzieci, co robicie w bawialnym pokoju? Wyjdźcie zaraz! Myślałam, że się bawicie na dworze.

— Imogenę głowa boli — bąknęła Kasia.

Wszystkie trzy dziewczynki weszły do przedsionka, Kasia i Józia przerażone i nawet bogini, która oczarowała rozbójnika, była nieco zbита z tropu.

— Przykro mi z tego powodu — rzekła cierpko ciotka Iza — musisz być żółciowa<sup>53</sup>, może chcesz trochę kamfory lub czegoś innego?

— Nie, dziękuję pani — odpowiedziała pokornie Imogena i szepnęła do Kasi — zdaje mi się, że twoja ciotka jest nie bardzo miła, zupełnie podobna do tej starej Jakimy, o której wam opowiadałam, że mieszkała w jaskini rozbójników i zajmowała się kuchnią. Czy pamiętacie?

— Jesteś bardzo niegrzeczna — z gniewem odezwała się Kasia.

— O nie uoń się, moja droga, nie bierz tego tak bardzo do serca — rzekła słodko Imogena — wszak ci wiadomo, że nie od nas to zależy, czy mamy przyjemnych krewnych.

Wizyta Imogeny nie powiodła się wcale. Pan Carr był dla niej bardzo grzeczny przy obiedzie, ale przyglądał się jej bacznie i Kasia widziała komiczne mruganie jego oczu, które się jej nie podobało.

Miał on bardzo dziwne oczy: widział nimi wszystko i czasem mówił nimi więcej i wyraźniej niż językiem. Kasia zaczynała czuć zmęczenie i wyznała później, że nie wytrzymałaby tego popołudnia, gdyby nie to, że pobieгла dwa czy trzy razy pocieszyć się czytaniem Rozamundy.

— Czy nie cieszysz się, że już sobie poszła? — szepnęła Józia, gdy stały przed bramą, patrząc na Imogenę idącą do domu.

— Ach Józiu! Jak możesz tak mówić! — rzekła Kasia, ale dała jej dobrego szturchańca i sądziła, że w głębi serca *była* szczerze zadowolona.

Nazajutrz ojciec rzekł:

— Kasiu, weszłaś do pokoju zupełnie jak panna Clark, twoja nowa przyjaciółka.

— Jak to? Nie rozumiem, co papa chce powiedzieć — odezwała się Kasia mocno zarumieniona.

— Przypatrz się — rzekł pan Carr. Podniósł w górę ramiona, rozparł łokcie i drobił kroki. Kasia nie mogła wstrzymać się od śmiechu, tak to było zabawne, tak podobne do Imogeny. Potem usiadł i przyciągnął Kasię do siebie, mówiąc:

— Cieszy mnie to moja droga, że masz kochające serce, ale są rzeczy, które nie powinny wzbudzać uczucia. Ta dziewczynka wcale mi się nie podobała wczoraj. Cóż cię tak bardzo pociąga do niej?

— Ja jej nie lubiłam już tak bardzo wczoraj — przyznała Kasia pokornie — w szkole bywa czasem znacznie miłsza.

— Rad jestem<sup>54</sup>, że tak mówisz i byłoby mi przykro, gdyby ci się podobało jej niedorzeczne zachowanie. Cóż to za brednie opowiadała wam o rozbójnikach?

— To prawdziwe zdarzenie... — zaczęła Kasia, lecz spotkawszy się ze wzrokiem ojca, przygryzła usta, miał bowiem bardzo szyderczą minę. Mówiła więc dalej ze śmiechem. — Zapewne to wszystko było zmyślane, ale nas tak zabawiła, jak gdyby się to zdarzyło rzeczywiście. Imogena jest bardzo dobra i wszystkie dziewczęta ją lubią.

<sup>53</sup>żółciowa — tu: chorowita. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>rad jestem — jestem zadowolony. [przypis edytorski]

— Zmyślenie jest póty dobre, póki ktoś nie stara się wmówić ci, że jest ono prawdziwe, bo wtedy zbyt blisko graniczy to z fałszem, żeby mogło być bezpieczne albo nawet przyjemne. Gdybym był tobą, Kasiu, wstydziłbym się trochę przysięgać wieczną przyjaźnią pannie Clark. Może być dobra z natury, jak powiadasz, ale sądzę, że za dwa lub trzy lata nie wyda ci się już tak miła. Pocałuj mnie teraz, moja córko, i idź już, bo Aleksander zajechał właśnie po mnie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY. ODWIEDZINY KUZYNKI HELENY

Pewnego popołudnia mała gromadka uczennic wracała do domu w piękny lipcowy dzień. Gdy się zbliżały do mieszkania doktora Carr, Marynia Fiske wykrzyknęła na widok ślicznego bukietu, który leżał na środku drogi.

— Ach patrzcie! Patrzcie, co tu ktoś upuścił! Ja go sobie wezmę!

Gdy dotknęła lodygi, bukiet — jakby zaczarowany — zaczął się ruszać, Marynia odskoczyła z przestachu, on zaś ruszał się coraz szybciej, na koniec znikł pod bramą, a z drugiej strony płotu odezwało się chichotanie.

— Widziałyście? — wołała Marynia. — Te kwiaty same uciekły.

— Co za niedorzeczność! — rzekła Kasia. — To te głupie dzieci spletały jakiegoś figla. — Otworzywszy zaraz bramę, zawołała: — Joasiu, Henrysiu, pokażcie się! Ale nikt nie odpowiedział, ani się ukazał: bukiet leżał jednak na drodze i Kasia, podniósłszy go, pokazała dziewczętom długą, czarną nitkę przywiązaną do lodyg.

— To ulubiona psota Joasi — rzekła — zawsze z Henrysiem zrywają kwiaty i biorą je z sobą na przechadzkę, żeby dręczyć ludzi. Weź sobie ten bukiet Maryniu, jeżeli chcesz, ale zdaje mi się, że Joasia nie okazuje wiele dobrego smaku w układaniu kwiatów.

— Czy to nie rozkosz, że już nastały wakacje? — odezwała się jedna z większych dziewcząt. — Co wy będziecie robiły? Bo my pojedziemy nad morze.

— Papa powiada, że mnie i Zuzię weźmie nad Niagarę<sup>55</sup> — rzekła Marynia.

— Ja pojedę na wieś do ciotki, która mieszka w bardzo pięknej miejscowości. Jest tam staw i mój kuzyn Tomek nauczy mnie wiosłować — powiedziała Alicja Blair. — A ty Kasiu, co będziesz robiła?

— Nie wiem, będę się bawić i płatać znakomite figle — odrzekła, rzucając i chwytając w powietrze swą torbę z książkami. Dziewczętom widocznie te jej spodziewane przyjemności nie wydały się zadowalające, bo patrzyły na nią z żalem. Kasia także poczuła nagle, że dla niej wakacje nie będą tak wesołe jak dla koleżanek.

— Chciałabym, żeby i nasz papa zawiózł nas gdziekolwiek! — rzekła do Józii, idąc wyźwirowaną ścieżką.

— Papa jest zbyt zajęty — odparła Józia. — Zresztą nie przypuszczam, żeby wiele dziewcząt mogło spędzić wakacje tak przyjemnie jak my. Helenka Robbins powiada, że dałaby milion dolarów, żeby mieć do zabawy tak miłe rodzeństwo jak nasze. Co się tyczy Maryni i Zuzi, to wiesz, że u nich w domu dzieją się okropne rzeczy, chociaż jeżdżą w różne miejsca. Pani Fiske jest taką dziwaczką! Ciągłe tylko woła: „Nie róbcie tego!” Nie mają ani podwórza, ani zgoła nic. Nie chciałabym się z nimi zamienić.

— Ja także — powiedziała Kasia, pocieszona tymi rozsądnymi słowami. — Ach, czyż to nie miło pomyśleć, że jutro nie ma lekcji? Co za wspaniała rzecz: wakacje! — i znowu podrzuciła torbę, która spadła na ziemię z łoskotem.

— Patrz, stłukłaś tabliczkę!

— Mniejsza o to, nie będę jej potrzebowała przez osiem tygodni — odparła rozweselona Kasia, wbiegając na schody.

Otworzywszy frontowe drzwi, pobiegły na górę z okrzykiem: „Hurra! Hurra! Zaczęły się wakacje! Ciotko Izo, zaczęły się wakacje!”. Nagle zostały zmuszone zatrzymać się, bo górna sień była w nieładzie. Z pokoju szanowanego jak świętość dochodziło trzepanie i odkurzanie, stoły i krzesła były porostawiane wokoło, a łóżko na biegunach zdawało się, że samo przyszło i zatamowało drogę.

<sup>55</sup>Niagara — wielkie wodospady na rzece Niagara, położone w Stanach Zjednoczonych, przy granicy z Kanadą. [przypis edytorski]

— Jakież to dziwne — rzekła Kasia, próbując przejść. — Co się tu mogło stać? Ach, otóż i ciotka Iza! Ciotko Izo co się tu dzieje? *Dlaczego* wynosisz sprzęty z bawialnego pokoju?

— Ach Boże! Czy to już wy? — odrzekła ciotka, bardzo zaczerwieniona i zafrasowana. — No, dzieci, nie macie tu co stać i wypytywać się, bo nie mam czasu na odpowiedzi. Kasiu, nie ruszaj łóżka, bo je pchniesz na ścianę. Jakież z ciebie męczące dziecko! — Kasia trąciła bowiem niecierpliwie łóżko. — Idźcie na dół i nie wracajcie aż po herbacie. Będę miała dosyć zajęcia do tego czasu.

— Proszę nam powiedzieć, co się tu dzieje, to pójdziemy — wołały dzieci.

— Kuzynka Helena przyjedzie — odrzekła krótko panna Iza i znikła w błękitnym pokoju.

Była to ważna nowina. Kasia i Józia zbiegły na dół bardzo ożywione i naradziwszy się chwilę, poszły do spichrza, aby tam pogadać w spokoju i swobodzie.

Kuzynka Helena przyjedzie! Tak się to zdawało dziwne, jak gdyby królowa Wiktoria<sup>56</sup> w złotej koronie wprosiła się na herbatę albo jak gdyby jakaś osoba z książki, na przykład Robinson Crusoe<sup>57</sup> lub Amelia Herbert, przybyła z kuframi, oznajmiając, że zabawi cały tydzień. W wyobraźni dzieci kuzynka Helena była istotą tak zajmującą i nierzeczywiwą jak postać z czarodziejskiej bajki: Kopciuszek lub Sinobrody. Tylko z dodatkiem treści z książek szkoły niedzielnej, bo kuzynka Helena była bardzo, bardzo dobra.

Nie widzieli jej nigdy jeszcze: Filipek mówił, że musi być bez nóg, bo nie wychodzi z domu i ciągle leży na sofie, ale inne dzieci wiedziały, że powodem tego jest choroba Helenki. Ojciec jeździł do niej dwa razy w roku i lubił opowiadać, jaka jest słodka, cierpliwa i jak ładnie jest w jej pokoju. Kasia i Józia tak długo bawiły się w kuzynkę Helenę, że teraz same nie wiedziały, czy bać się czy cieszyć, że zobaczą ją prawdziwą.

— Jak ci się zdaje, może zechce, żebyśmy *bez ustanku* deklamowały hymny? — spytała Józia.

— Ależ nie — odrzekła Kasia — bo widzisz, ona się łatwo męczy i musi sypiać po południu. Zresztą sama często czyta *Biblię*. Ach jakże będzie u nas cicho! Ciekawe jak długo zabawi?

— Jak ją ty sobie wyobrażasz? — pytała dalej Józia.

— Trochę podobną do Łucji u pani Sherwood<sup>58</sup>: musi mieć niebieskie oczy, loki i długi, prosty nos. Pewnie *w ten sposób* trzyma złożone ręce, nosi garnirowane<sup>59</sup> szlafrocki i leży cicho na sofie, nigdy się nie uśmiecha, ale ma cierpliwą minę. Cały czas, który tu zabawi, będziemy musiały zdejmować buciki w przedśionku i wchodzić na górę w pończochach, żeby nie robić hałasu.

— Jakież to będzie zabawne! — zachichotała Józia, a jej poważna twarzyczka rozjaśniła się nadzieją, że będą przerwy w hymnach.

Czas zdawał się bardzo wolno płynąć owego popołudnia, gdy oczekiwano kuzynki Heleny. Ciotka Iza z wielkim ożywieniem przestrzegała ciągle dzieci, jak się mają zachować, co robić, czego nie robić. Henryś oznajmił, że wolałby, żeby kuzynka Helena została w domu, a Józia i Elżbietka, myśląc to samo, z radością usłyszały, że jest w drodze do wód i zabawi tylko cztery dni.

Gdy wybiła piąta, wszyscy usiedli przed domem, oczekując powozu, który nareszcie zajechał. Pan Carr siedzący na koźle dał znak dzieciom, żeby się cofnęły. Potem pomógł wysiąść młodej kobiecie, o której ciotka Iza powiedziała, że jest opiekunką chorej Helenki, następnie tę ostatnią wziął bardzo ostrożnie na ręce i wyniósł z powozu.

— Oto kurczątko! — odezwał się *taki* miły i wesoły głos. — Posadź mnie wuju, bo bardzo bym je chciała zobaczyć!

Pan Carr posadził Helenkę w przedśionku na sofie, opiekunka przyniosła poduszkę i gdy ją ułożono wygodnie, zawołał dzieci.

— Kuzynka Helena chce was zobaczyć.

<sup>56</sup>królowa Wiktoria (1819–1901) — królowa Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii – rządziła nim przez 63 lata. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Robinson Crusoe — główny bohater przygodowej powieści Daniela Defoe pt. *Przypadki Robinsona Kruzoa*. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>Sherwood, Mary Martha (1775–1851) — angielska pisarka. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>garnirowany — ozdobny. [przypis edytorski]

— O tak! — odezwał się czysty głosik. — Więc to jest Kasia? Jakaż to wysoka dziewczynka! A to Józia — rzekła, całując ją — to droga Elżbietka. Macie tak naturalne minki, że mi się zdaje, że was już widziałam! — Ścisnęła wszystkich nie przez grzeczność dla krewnych, ale jak gdyby ich kochała i tęskniła za nimi całe życie.

Kuzynka Helena miała coś takiego w twarzy i w obejściu, że dzieci od razu zachowywały się przy niej swobodnie, i Filipek, który na parę minut cofał się w kąt, trzymając rączki za sobą, podskoczył po swojej porcję pocałunków.

Jednakże Kasia doznała zawodu w pierwszej chwili, bo kuzynka Helena wcale nie była podobna do Łucji z powieści pani Sherwood. Nos miała cokolwiek zadarty, włosy ciemne, niekręjące się, cerę brązową, oczy błyszczące, ożywione, gdy śmiała się lub mówiła. Twarz miała szczupłą i z tego tylko można było dostrzec chorobę. Nie składała sztywno rąk i nie miała cierpkiej minki, tylko wesołą i zadowoloną. Zamiast garniowanego szlafrocza miała podrózną sukienkę z ładnej, szarej materii z różowymi kokardkami, bransoletki i okrągły kapelusz z szarym piórem. Wszystkie marzenia Kasi o „świętobliwej kalece” uleciały na skrzydłach, ale im dłużej przyglądała się kuzynce Helenie, tym bardziej ją lubiła i przekonywała się, że jest daleko miłsza od owej urojonej osoby, którą stworzyły z Józią.

— Ona zupełnie tak wygląda jak wszyscy ludzie, nieprawdaż? — szeptała Cesia, która przyszła zobaczyć nowo przybyłą.

— T-a-k — odrzekła Kasia niepewnym głosem — tylko jest daleko, daleko ładniejsza.

Po chwili pan Carr zaniósł kuzynkę Helenę na górę. Wszystkie dzieci chciały także pójść, ale powiedział im, że musi wypocząć, bo jest zmęczona. Poszły więc bawić się na dworze aż do herbaty.

— Proszę mi pozwolić zanieść tacę! — zawołała Kasia przy herbacie, widząc, że ciotka Iza przygotowuje kolację dla kuzynki Heleny, a jaką smaczną kolację! Kurczęta na zimno, maliny, śmietaną, herbatę w ładnej filiżance z biało-różowej porcelany i taką śnieżną serwetę rozłożyła na tacy!

— Nie pozwolę, bo wszystko zaraz pozrucasz — rzekła ciotka Iza, ale Kasia patrzyła tak błagalnie, że doktor Carr odezwał się:

— Pozwól Izo, bo lubię, kiedy dziewczęta są użyteczne.

Dumna z tego zlecenia Kasia wzięła tacę i niosła ją ostrożnie przez sień. Na stole stał tam wazon z kwiatami, wpadła więc na świetny pomysł: postawiła tacę, wyjęła jedną różę i położyła ją na serwecie przy spodku z malinami. Widząc, jak to ładnie wygląda, uśmiechnęła się z radości.

— Dlaczego zatrzymujesz się? — zawołała ciotka z jadalnego pokoju. — Bądź ostrożna Kasiu, doprawdy lepiej by to zrobiła Brygida!

— O nie, nie — broniła się Kasia — już prawie doszłam.

I pospieszyła na górę. Nieszczęsny ten pośpiech! Stanąwszy przed samymi drzwiami błękitnego pokoju, nastąpiła na sznurowadło od bucika, które jak zwykle było odwiązane. Poślizgnęła się, zachwiała, chwyciła drzwi, żeby się oprzeć, ale się otworzyły, a Kasia upadła na dywan, z tacą, ze śmietaną, z malinami, z różą i ze wszystkim tworząc wielki stos.

— Przepowiadałam! — wyrzekła ciotka z dołu.

Kasia nigdy nie zapomniała, jak kuzynka Helena okazała się wówczas dobra. Leżała w łóżku, więc łatwo zgadnąć, że ją bardzo przestraszył nagły krzyk i loskot, ale po krótkim zmieszaniu w najłodszy sposób pocieszała biedną, zgnębną Kasię i tak umiała obrócić w żart ten wypadek, że nawet ciotka Iza zapomniała o naganie. Potłuczone talerze zebrano, dywan oczyszczono, a ciotka Iza przygotowała drugą tacę, nie mniej ładną jak pierwsza.

— Proszę, żeby Kasia przyniosła mi jeść — odezwała się wesoło kuzynka Helena. — Jestem pewna, że będzie ostrożna tym razem. Kasiu, proszę o drugą różę na serwecie, zgaduję, że ty ją sama położyłaś, nieprawdaż?

Kasia zachowała się ostrożnie i wszystko dobrze poszło. Postawiła bezpiecznie tacę na stoliku przy łóżku i z ciepłym, serdecznym uczuciem przyglądała się, jak Helenka je kolację. Nikt nie budzi w nas takiej wdzięczności jak osoby, które nam dopomagają w odzyskaniu szacunku dla samych siebie.

Przyjaźń

Kuzynka Helena nie miała wielkiego apetytu, chociaż chwaliła, że wszystko jest doskonałe. Kasia widziała, że jest bardzo zmęczona.

Skończywszy jeść, powiedziała:

— Teraz, jeśli zechcesz wytrześć poduszkę, ot *tak*, a tę drugą posunąć, to zdaje mi się, że usnę. Dziękuję ci, tak mi jest zupełnie dobrze. Droga Kasiu, doskonale umiesz służyć chorym. Teraz pocałuj mnie, dobranoc. Jutro będziemy wybornie gawędzić.

Kasia zeszła na dół bardzo uszczęśliwiona.

— Kuzynka Helena jest wyjątkowo miła — powiedziała do Józki — ma na sobie *najpiękniejszą* w świecie koszulkę z koronkami i żabotami, zupełnie jakby z książki.

— Czy to nie jest źle zajmować się strojami, kiedy się jest słabą?

— Nie przypuszczam, żeby kuzynka Helenka *mogła* uczynić coś złego — rzekła Kasia.

— Jak powiedziałam mamie, że ma bransoletki, to mama się odezwała, że się boi, czy kuzynka Helena nie jest próżna — odparła Cesia, sznurując usta<sup>60</sup>.

Kasia i Józka bardzo się strapiły tym sądem i rozbierając się, rozmawiały o tym ze sobą.

— Zapytam się jutro rano Helenki — rzekła Kasia.

Nazajutrz dzieci wstały bardzo wcześnie, jakże cieszyły się z wakacji! Inaczej musiałyby iść do szkoły, nie zobaczywszy kuzynki Heleny, bo się późno obudziła. Tak się niecierpliwiły zwłoką i tak chodziły na górę słuchać pod drzwiami i zaglądać, czy się porusza, że nareszcie ciotka Iza kazała im się oddalić. Kasia buntowała się bardzo przeciw temu rozkazowi, ale na pociechę poszła do ogrodu zrywać najpiękniejsze kwiaty, żeby je dać kuzynce Helenie, jak tylko ją zobaczy.

Gdy ciotka Iza pozwoliła jej pójść na górę, Helenka leżała na sofie ubrana już na cały dzień w świeżą, niebieską, muslinową suknię z niebieskimi wstążkami i w zgrabne, brązowe pantofelki z rozetkami<sup>61</sup>. Sofę odwrócono do światła, położono poduszkę z pięknie wytłaczanym pokryciem, której nigdy Kasia nie widziała przedtem, i różne rzeczy ustawiono wokół, nadając pokojowi zupełnie nowy wygląd. W całym domu było zawsze czysto, ale pokoje ciotki Izy nigdy nie wyglądały bardzo *ładnie*. Dzieci szybko dostrzegają podobne rzeczy, więc Kasia zobaczyła też od razu, że błękitny pokój nigdy jeszcze taki nie był.

Kuzynka Helena była blada i zmęczona, ale patrzyła i uśmiechała się tak wesoło jak zwykle. Kasia ofiarowała jej nieśmiało kwiaty, które ona przyjęła z radością.

— Jakie ładne — rzekła — muszę je zaraz włożyć w wodę. Droga Kasiu, czy zechcesz mi podać ten wazonik z biurka i postawić go przy mnie na krześle? Proszę cię, nalej najpierw wody.

— Ach jaki śliczny wazonik! — wykrzyknęła Kasia, podając biały kubek na złoconej podstawie. — Czy to twój, kuzynko Heleno?

— Tak, bardzo go lubię i zawsze przy mnie stoi na stoliku, więc wzięłam go z sobą, żeby mi przypominał dom w czasie kuracji. Cóż się tak zdumiewa? Czy to takie dziwaczne, że wazonik podróżuje w kufrze?

— Nie — odrzekła Kasia z namysłem — tylko zdawało mi się kuzynko Heleno, że to próżność otaczać się pięknymi rzeczami, kiedy jest się chorą.

Helena roześmiała się serdecznie i spytała:

— Kto ci to wbił w głowę?

— Cesia tak powiedziała, gdy jej wspomniałam o twej ładnej koszulce.

Helena znowu się roześmiała.

— Powiem ci, Kasiu, co o tym myślę: piękne rzeczy nie czynią człowieka bardziej próżnym niż brzydkie, chyba że nas psują, budząc próżność lub obojętność na cudze problemy. Choroba zaś jest tak przykrą rzeczą sama przez się, że chore osoby muszą być niezmiernie ostrożne, żeby nie wzniecać odrazy. Chora osoba nie może być za bardzo zadbana. Gdy cierpimy na ból krzyża, ból głowy i różne inne bóle — dodała z uśmiechem — to nam nie grozi wielkie niebezpieczeństwo próżności, tylko dlatego że mamy żabot przy koszuli albo kawałek jasnej wstążki.

Helena zaczęła układać kwiaty, dotykając ich ostrożnie, jak gdyby je kochała.

— Jakie dziwne dźwięki! — wykrzyknęła nagle.

Strój, Choroba, Próżność

Próżność, Piękno

Choroba, Próżność

<sup>60</sup>*sznurować usta* — zaciskać usta. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*rozetki* — tu: wstążeczki. [przypis edytorski]

Istotnie były to dziwne dźwięki, jakby chrapanie i sapanie morsa przechadzającego się po sieni. Kasia otworzyła drzwi: cóż się tam działo? Oto Joasia i Henryś stali z noskami czerwonymi od przyciskania ich do dziurki od klucza, daremnie próbując zobaczyć, czy kuzynka Helena jest już gotowa do przyjęcia gości.

— Wpuść ich tu! — zawołała Helena z sofy.

Weszli więc, a niedługo po nich zjawily się Elżbietka i Józia. Jakiż wesoły mieli poranek! Kuzynka Helena dowiodła daru opowiadania historii i wymyślania gier, które można było urządzać przy sofie, unikając hałasu, którego źle znosiła. Gdy ciotka Iza przyszła do nich koło jedenastej, dzieci były tak rozweselone, jak nigdy wcześniej, więc *ona* także wzięła udział w zabawie, rzecz przedtem niesłyszana!

— Coś ty im zadała, Helenko? — zapytał pan Carr, gdy otworzywszy drzwi, zastał całe grono siedzące na ziemi. Pociągnięty ogólną wesołością sam usiadł także, swawoląc<sup>62</sup> wraz z innymi.

— Muszę temu położyć koniec! — zawołał nareszcie, widząc, że wszyscy są zmęczeni śmiechem. — Kuzynka Helena musi odpocząć. Odejdźcie stąd i nie wracajcie, póki zegar nie wybiję czwartej. Słyszycie pisklętą? Precz, precz! Sio, sio!

Jak stado ptaków pierchły wszystkie dzieci prócz Kasi, która rzekła błagalnie:

— Ach papo, ja się będę zachowywać tak spokojnie! Czy nie mogłabym zostać, póki dzwonek nie wezwie do obiadu?

— Pozwól, wuju — prosiła Helena, więc też pan Carr przystał na to.

Kasia usiadła na ziemi, trzymając rękę Helenki i przysłuchując się jej rozmowie z ojcem, chociaż mówili o osobach i rzeczach jej nieznanach.

— Jak się ma Aleksy? — zapytał nareszcie pan Carr.

— Teraz zupełnie dobrze — odpowiedziała Helena z najmiłszym swym spojrzeniem. — Bardzo był spracowany i zmęczony na wiosnę, niepokoił się nawet o niego, ale Anna namówiła go, żeby skorzystał z dwutygodniowych wakacji i wrócił zupełnie zdrow.

— Czy ich często widzujesz?

— Prawie co dzień: mała Helenka także przychodzi co dzień na lekcje, jak wujowi wiadomo.

— Czy tak ładna jak zawsze?

— O ładna, jeszcze ładniejsza w moich oczach. Taka miła istotka, że to moja największa przyjemność mieć ją przy sobie. Aleksy wmawia mi, że ja kiedyś taka byłam, ale to tak wielki komplement, że nie śmiem go przyjmować.

Doktor Carr pochylał się, żeby pocałować Helenę i widoczne było, że się nie może powstrzymać od tego. Rzekł tylko „Moje drogie dziecko”, ale w tonie było coś takiego, co zaciekało Kasię.

— Papo — zapytała po obiedzie — kto jest ten Aleksy, o którym mówiła kuzynka Helena?

— Dlaczego pytasz o to?

— Sama nie wiem, tylko kuzynka Helena taką miała minę, a papa ją pocałował i zdawało mi się, że w tym musi coś być zajmującego.

— Tak jest w istocie — rzekł doktor Carr, biorąc ją na kolana. — Mam ochotę ci to powiedzieć, bo już jesteś dosyć duża, by ocenić, że to piękne, i mam nadzieję, że także dosyć rozumna, żeby nie szczebiotać i nie wypytywać. Otóż, dawno temu kuzynka Helena kochała pewnego Aleksęgo i spodziewała się go poślubić, będąc jeszcze zdrowa i silna.

— Ach czemuż go nie poślubiła? — zawołała Kasia.

— Przydarzył jej się straszny wypadek — odpowiedział doktor Carr. — Długi czas myślano, że umrze, potem zrobiło jej się lepiej i doktorzy zawyrokowali, że może żyć długie lata, lecz będzie musiała leżeć ciągle na sofie i być niepełnosprawna. Aleksy strasznie się zmartwił, chciał się żenić z kuzynką Heleną mimo tego nieszczęścia, zawsze ją pielęgnować i doglądać, ale ona nie przystała to i zwolniła go z danego słowa, mówiąc, iż ma nadzieję, że kiedyś równie mocno pokocha inną i że ją poślubi. Tak się też stało po wielu latach: mieszka z żoną o drzwi od kuzynki Heleny i oboje są jej najlepszymi przyjaciółmi. Córeczkę swoją nazwali też Helenką, zwierzają się kuzynce Helenie ze wszystkich zamiarów i o nikim tyle nie myślą, co o niej.

<sup>62</sup>swawoląc — bawiąc się. [przypis edytorski]

— Czy kuzynka Helena nie zazdrości, widząc, że chodzą i ruszają się, a ona nie może?

— Nie — odrzekł doktor Carr — ona nie zazdrości, bo jest prawie aniołem i kocha innych bardziej niż siebie. Bardzo cieszę się, że mogła tu przyjechać, jest przykładem dla nas wszystkich, Kasiu, i nie mógłbym żądać nic lepszego, niż żeby moje dziewczątka brały z niej wzór.

„Choroba musi być *okropną* rzeczą — myślała sobie Kasia po odejściu ojca. — Gdybym musiała leżeć w łóżku cały tydzień, to bym *umarła*, wiem, że *umarłabym*”.

Biedna Kasia! Zdawało jej się, tak jak wszystkim młodym, że nic łatwiejszego jak umrzeć, gdy się w życiu nie powodzi!

Ta rozmowa z ojcem uczyniła kuzynkę Helenę jeszcze bardziej interesującą w oczach Kasi. Było to jakby znajdować się w jednym domu z bohaterką „z książki”, tyleż smutnej, co i pięknej historii.

Owego popołudnia zabawa była często przerywana, bo co kilka minut któreś z dzieci biegło patrzeć, czy jeszcze nie ma czwartej. Gdy wybiła, wszyscy sześcioro pogalopowali na górę.

— Pewnie będziemy teraz opowiadać historie — rzekła kuzynka Helena.

Opowiadali więc historie, a opowieści kuzynki Heleny okazały się najlepsze. Jedna była o złodzieju i wywołała rozkoszne dreszcze we wszystkich prócz Filipka, który się tak rozgorączkował, że poczuł w sobie ducha wojownika.

— Ja się nie boję złodziei — wygłaszał, chodząc wzdłuż pokoju. — Gdyby przyszli, przeciąłbym ich na dwoje, tym mieczem, co mi dał papa. Oni raz przyszli i przeciąłem ich na dwoje, na troje, na pięcioro, na dziesięcioro! Trzeba było to widzieć!

Ale jeszcze tego wieczoru, gdy młodsze dzieci poszły spać, a Kasia i Józia siedziały w błękitnym pokoju, dał się słyszeć przeraźliwy krzyk u najmłodszych. Józia pobiegła i przekonała się, że to Filippek, siedząc na łóżeczku, woła o ratunek.

— Tu są złodzieje pod łóżkiem — mówił, szlochając — nawet dużo złodziei!

— Ależ Filipku, nie ma tu nikogo — rzekła Józia, zaglądając pod frędzlę, żeby go zadowolić.

— Jest ktoś, mówię ci — utrzymywał Filippek, trzymając się jej mocno. — Słyszałem jednego, *gryźli moje skórkowe trzewiczki*.

— Biedny chłopczyk! — powiedziała kuzynka Helena, gdy Józia po uspokojeniu Filipka wróciła zdać sprawę z tego, co się wydarzyło. — To jest przestroga, żeby nie opowiadać o złodziejach, ale dzisiejsza historia skończyła się tak dobrze, że nie myślałam, żeby się ktoś przestraszył.

Na nic się zdały odtąd zalecenia ciotki Izy, kiedy można chodzić do błękitnego pokoju. Tak samo mogłaby muchom nakazywać, aby odeszły od słoja z cukrem, bądź co bądź dzieci chciały chodzić na górę. Ile razy ciotka Iza weszła, mogła być pewna, że je tam zastanie, o ile się da najbliższej Heleny, tym bardziej, że ona prosiła, żeby im tego nie zabraniać.

— Tylko trzy lub cztery dni będziemy z sobą — mówiła. — Niech przychodzą, ile chcą, mnie to wcale nie męczy.

Elżbietka uczepiła się z namiętnym uczuciem tej nowej przyjaciółki. Kuzynka Helena miała bystre oko i od razu spostrzegła tęskny wyraz jej twarzyczki, dlatego starała się być dla niej słodka i czuła. Te względy budziły zazdrość w Kasi, bo się nie chciała z nikim dzielić kuzynką Heleną.

Ostatniego wieczoru po herbacie wszyscy udali się do błękitnego pokoju, a Helena otworzyła pudło nadesłane właśnie pośpiesznym pociągiem.

— To jest pożegnalne pudełko — rzekła. — Usiądźcie rzędem, ja będę chowała za siebie ręce i po kolei będę oddawać, co komu przypadnie. Z której ręki wolisz: z prawej czy z lewej? — i z miną mądrej wieszczki wyciągała spod poduszki coś bardzo pięknego. Najpierw ukazał się taki sam wazon, jaki się podobał Kasi. Kasia wykrzyknęła więc z radości, otrzymawszy go w darze.

— Ach jakiż ładny! Jaki ładny! — wołała. — Zachowam go, póki będę żyć i oddychać!

— To by się zdarzyło pierwszy raz, gdybyś czegoś nie stłukła w niecały tydzień — odezwała się ciotka Iza.

Potem wystąpił fioletowy portfelik dla Józii, właśnie jej był potrzebny, bo zgubiła portmionetkę. Potem kuzynka Helena zawiesiła na szyi Elżbietce zgrabniutki medalionik na czarnej aksamitce.

— Są w nim moje włosy — rzekła. — Elżbietko droga, co ci jest? Nie płacz tak.

— Ach jesteś ta-ka piękna, ta-ka miła, i od-je-dziesz! — rzekła Elżbietka, szlochając.

Henryś dostał pudełko z dominem, Joasia tabliczkę do pisania, a Filipek powieść o kotku-złodzieju.

— To ci przypominać będzie ten wieczór, kiedy złodzieje gryzli twoje trzewiki — rzekła Helena z figlarnym uśmiechem. Wszyscy się roześmiali, a Filipek najgłośniej.

Kuzynka Helena o nikim nie zapomniała: był notatnik dla pana Carr, tabliczki z kości słoniowej dla ciotki Izy, *Złote czyny* dla Cesi: książka ta zawierała rozmaite historie o chłopcach i dziewczętach, którzy dokonali zacnych i dobrych rzeczy — Cesia tak była uradowana, że prawie nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Ach dziękuję ci, kuzynko Heleno! — rzekła na koniec. Nie była wprawdzie jej krewną, ale tak ona, jak dzieci pana Carr, dzieliły się z sobą ciotkami, wujami i całą rodziną, zarówno jak każdą dobrą rzeczą.

Nazajutrz nastąpiło smutne rozstanie. Wszystkie dzieci stały przy bramie, powiewając chustkami, gdy powóz odjeżdżał. Kiedy zupełnie znikł z oczu, Kasia uciekła, żeby choć trochę popłakać w samotności.

„Papa powiada, że pragnie, abyśmy wszyscy byli podobni do kuzynki Heleny — pomyślała i otarła oczy. — Chciałabym spróbować, ale gdybym nawet tysiąc lat próbowała, to nie przypuszczam, żebym kiedyś była w połowie tak dobra. Będę się uczyć i utrzymywać rzeczy w porządku, i tak będę łagodna dla młodszych dzieci! Mój Boże! Gdyby tylko ciotka Iza była kuzynką Heleną, jakby to łatwo było! Mniejsza oto: będę o niej ciągle myśleć i zacznę od jutra!”.

## ROZDZIAŁ ÓSMY. JUTRO

„Zacznę od jutra” — myślała Kasia, zasypiając tego wieczora. Jakże często wszyscy tak robimy! I jaka szkoda, że gdy rano nastaje i *jutro* staje się *dziś*, tak często budzimy się zupełnie inaczej usposobieni — jesteśmy obojętni lub niecierpliwi, ale bynajmniej nieskłonni do uskutecznienia pięknych rzeczy, które układaliśmy wieczorem.

Czasami zdaje się, że muszą istnieć złośliwe szatanki, które są skrępowane, póki słońce świeci, ale gdy usypiamy, wsuwają się, żeby nas dręczyć i drażnić. Dlaczego bowiem kładziemy się nieraz w dobrym i łagodnym usposobieniu, a budzimy się w cierpkim? Tak było z Kasią — przed usnięciem postanowiła być odtąd aniołem i ze wszystkich sił kochać kuzynkę Helenę, a gdy otworzyła oczy, była zła i mrukliwa jak niedźwiedź! Stara Marianna mówiła, że pewno wstała ze złej strony, chciałabym wiedzieć, która to strona, żeby wybierać tę drugą. Jakby dobrze byłoby, gdyby się dało tak zrobić!

Wiadomą jest rzeczą, że gdy zaczynamy dzień w kwaśnym usposobieniu, różne nieszczęśliwe wypadki powiększają nasze rozdrażnienie. Zaraz z rana stłukła Kasia swój drogocenny wazonik podarowany przez kuzynkę Helenę.

Stał on z bukicikiem pąsowych róż na stoliku z ruchomym zwierciadłem. Gdy Kasia chesała się, zwierciadło błysnęło trochę, nie mogła się więc przegłądać. W dobrej chwili obesłoby ją to bardzo mało, ale ponieważ była skwaszona, opanował ją taki gniew, że pchnęła gwałtownie zwierciadło, które podniosło się w górę. Zrobił się wielki łoskot i Kasia spostrzegła pąsowe róże leżące na ziemi, a piękny podarek od kuzynki Heleny — stłuczony.

Usiadłszy na dywanie, płakała jak mały Filipek — a ciotka Iza, usłyszawszy jej lament, przybiegła zaraz.

— Bardzo mi przykro — rzekła, podnosząc zwierciadło — ale spodziewałam się tego, jesteś bowiem nieuważna. Nie siedźże tak niedorzecznie! Idź się ubrać, bo się spóźnisz na śniadanie.

— Cóż to się stało? — spytał pan Carr, widząc, że Kasia usiadła do stołu z czerwonymi oczami.

— Stłukłam mój wazonik — odrzekła smutno.

— Byłaś bardzo nierozważna, stawiając go w tak niebezpiecznym miejscu — odezwała się ciotka. — Mogłaś z góry wiedzieć, że gdy pchniesz lustro, to pójdzie w górę i stłucze wazonik — widząc, że wielka łza Kasi spadła na talerz, dodała: — Doprawdy, jesteś za

duża, żeby się zachowywać jak niemowlę, nawet Henryś wstydziłby się tego. Proszę cię, opanuj się.

Ta nagana wcale nie poprawiła usposobienia Kasi i przez całe śniadanie siedziała nadasana i milcząca.

— Co będziecie robić dzisiaj? — zapytał pan Carr, chcąc dać weselszy obrót rzeczom.

— Będziemy się huścić! — wykrzyknęli razem Henryś i Joasia. — Aleksander urządził nam doskonałą huśćawkę w drwalni!

— Nie pójdziecie tam! — odezwała się ciotka bardzo stanowczo. — Nie będziecie się huścić do jutra! Pamiętajcie dzieci: jutro! I dopiero wtedy, gdy pozwolę.

Nierozsądnie postąpiła ciotka Iza: lepiej było wytłumaczyć dzieciom, że Aleksander, zaczepiając huśćawkę, złamał hak przytwierdzający ją do dachu, miał wbić inny w ciągu dnia, a tymczasem ostrzegł pannę Carr, żeby nie używać huśćawki, bo to niebezpieczne. Gdyby powiedziała to dzieciom, wszystko poszłoby dobrze, ale ciotka Iza miała tę zasadę, że młodzież powinna słuchać bez wyjaśnień.

Joasia, Elżbietka i Henryś nadąsali się, usłyszawszy ten zakaz, ale Elżbietka najpierwsza odzyskała dobry humor.

— Mniejsza o to — rzekła — i tak będę miała zajęcie, bo napiszę list do kuzynki Heleny o *czymś*.

— O czym? — spytała Józia.

— O *czymś* — odpowiedziała Elżbietka, tajemniczo potrząsając głową. — Żadne z was nie dowie się, tak postanowiła kuzynka Helena. Jest to sekret między nami.

— Nie wierzę — odezwała się cierpko Kasia — kuzynka Helena nie zwierzałaby sekretu takiej głupiej dziewczynce.

— Owszem — odparła gniewnie Elżbietka. — Powiedziała, że tak samo można mi się zwierzyć jak dorosłej osobie i nazwała mnie swoją pieszczotką, tak, moja Kasiu!

— Przestańcie się sprzeczać — rzekła ciotka Iza. — Kasiu, w twojej górnej szufladzie jest okropny nieporządek: nigdy w życiu nie widziałam takiego nieładu. Idź zaraz na górę i ulóż wszystko, zanim się weźmiesz do innej roboty. Dzieci, nie siedźcie dziś na słońcu, bo jest gorąco, poszukajcie sobie cienia. Elżbietko idź do kuchni i powiedz Dorocie, że mam do niej interes.

— Dobrze — odrzekła Elżbietka z powagą — a potem wrócę pisać list do kuzynki Heleny.

Kasia poszła powoli na górę, wlokąc się nogą za nogą. Był to upalny, nużący dzień, głowa ją trochę bolała, oczy paliły i opadały ciężko od płaczu, wszystko wydawało się nudne i przykre. Mówiła sobie, że ciotka Iza jest bardzo niedobra, kiedy ją zniewala do pracy podczas wakacji i nareszcie niechętnie i mrukliwie otworzyła szufladę.

Trzeba przyznać, iż ciotka Iza miała rację: żadna w świecie szuflada nie mogła się gorzej przedstawiać. Wszystko tam było: bibuła, lak do pieczętowania i proch do strzelania. Zdawałoby się, że ktoś poprzewracał te rzeczy wielkim kijem. Były książki, pudełka z farbami, kawałki zagryzłonego papieru, ołówki i szczotki. Niezwinięte pończochy leżały między chustkami do nosa, wstążkami i kołnierzykami. Najcięższe przedmioty przygniatały pomiętoszone mankietki, puste pudełka od papieru leżały na samym wierzchu, a skarby, które się w nich kiedyś mieściły, spoczywały rozrzucone na dnie szuflady i nikły w ogólnej masie.

Trzeba było wiele czasu i cierpliwości, żeby doprowadzić ten chaos do porządku, ale Kasia wiedziała, że ciotka Iza przyjdzie lada chwila na górę, nie śmiała więc przerwać zajęcia, póki go nie skończy. Gdy dokonała dzieła, była bardzo zmęczona. Schodząc na dół, spotkała Elżbietkę trzymającą w ręku z tabliczkę, którą zaraz schowała za siebie.

— Nie zaglądam — rzekła — bo to mój list do kuzynki Heleny. Tylko ja jedna znam ten sekret. Wszystko tu jest napisane i pošlę zaraz na pocztę. Patrz, nawet pieczątki nie brakuje — i wskazała róg tabliczki, gdyż istotnie była pieczęć na ramie.

— Ty mała gąsko! — rzekła Kasia niecierpliwie — nie możesz posłać *tego* na pocztę. Dajże mi tabliczkę, przepiszę na papierze, a papa ci da kopertę.

— Nie, nie! — krzyczała Elżbietka, wyrrywając się. — Nie ruszaj, zobaczyłabyś, co napisałam, a kuzynka Helena mówiła, żeby tego nie powtarzać nikomu. To tajemnica. Puść tabliczkę, mówię ci! Jak powiem kuzynce Helenie, jaka z ciebie niegrzeczna dziewczynka, to cię nie będzie kochała ani trochę.

Zabawa,  
Niebezpieczeństwo,  
Dziecko, Obyczaj

— Weź, weź sobie tę starą tablicę — rzekła Kasia, popychając ją gniewnie. Elżbietka poślizgnęła się, krzyknęła, chciała uchwycić za poręcz od schodów, ale nie mogła, i stając się coraz niżej, niżej, padła z łoskotem na podłogę w sieni.

Chociaż nie było to wysoko, bo tylko dwanaście stopni, jednak uderzyła się mocno i krzyczała, jak gdyby ją obdzierano ze skóry. Ciotka Iza i Marianna przybiegły natychmiast.

— Kasia... mnie... popchnęła... — wołała, szlochając Elżbietka. — Żądała, żeby jej powiedzieć sekret, a ja nie chciałam. To niedobra, niegrzeczna dziewczyna!

— Spodziewam się, panno Katarzyno, że ci wstyd, iż wywarłaś swój zły humor na biednej siostrzyczce — powiedziała ciotka Iza. — Sądzę, że kuzynka Helena dowie się o tym z wielkim zdziwieniem. Elżbietko, nie płacz, moja droga. Chodź ze mną na górę, przyłożę ci trochę kopalniku, a Kasia już cię więcej nie popchnie.

Poszły na górę, a Kasia, zostawszy sama, bardzo była zgnębiona. Wszystko się w niej pomieszało: skrucha, złość, niezadowolenie i rozdrażnienie. W głębi serca czuła, że nie chciała zrobić krzywdy Elżbietce i strasznie się wstydziła tego postępku, ale gdy ciotka zagroziła, że doniesie o tym kuzynce Helenie, tak się rozgniewała, że nie przyznałaby się do prawdy ani sobie, ani innym.

— Mniejsza o to — mruzczała, powstrzymując łzy — Elżbietka jest po prostu mądrym, a ciotka Iza staje zawsze po jej stronie. Cała rzecz poszła o to, że powiedziałam tej głupiutkiej, żeby nie posyłała pocztę ciężkiej tablicy.

Wyszła potem bocznymi drzwiami na podwórze i gdy przechodziła koło drwalni, nowa huśtawka wpadła jej w oko.

„Jakie to typowe dla ciotki Izy — pomyślała — zakazuje huśtać się, póki sama nie da pozwolenia; pewno wydaje się jej, że jest za gorąco albo coś podobnego. W każdym razie, nie będę na to zwracała uwagi”.

Huśtawka była doskonała, z szerokim, wygodnym siedzeniem, zawieszona na gruby, nowych powrozech. Krzeselko umieszczono w najlepszym oddaleniu od ziemi, Aleksander miał wyborną rękę do bujania, a drwalnia przedstawiała najpyszniejsze w świecie miejsce do tej zabawy.

Było tam obszernie, wysoko i nawet drewno nie zawadzało, gdyż było starannie ułożone wzdłuż szopy, by nie przeszkadzać. Ciemno było i chłodno, gdyż ruch huśtawki powodował silny wiatr i poruszał włosy Kasi jakby wielki wachlarz. To wszystko czyniło ją coraz bardziej marzącą i uspokojoną: różne senne myśli snuły jej się po głowie. Bujając się w tę i w ową stronę jak wahadło wielkiego zegara, wznosiła się coraz wyżej ruchem własnej osoby i z lekka dotykała ziemi za każdym mignięciem. To się znajdowała na wierzchołku wysoko sklepionych drzwi, to prawie dotykała poprzecznej belki i przez kwadratowe okienko mogła widzieć gołębie trzepoczące na dachu od stodoły i białe chmury na błękitnym niebie. Nigdy jeszcze nie huśtała się tak wysoko, zdawało jej się, że fruwa, przechylała się i przeginała mocno na krzeselku, żeby się wznosić coraz wyżej i dotykać dachu nogami.

Nagle, gdy się znajdowała najwyżej, dał się słyszeć silny trzask, huśtawka odcepiała się i zawirowała, rzucając ją w powietrze. Kasia chwyciła za sznur, ale poczuła, że się jej wymyka z ręki. Była coraz niżej, niżej — wreszcie upadła. Wszystko wokół niej pociemniało, potem już o niczym nie wiedziała.

Gdy otworzyła oczy, leżała na sofie w jadalnym pokoju. Józia klęczała przy niej z bladą, zmieszaną twarzą, a ciotka Iza przykładła jej coś zimnego i wilgotnego do czoła.

— Co się stało? — zapytała Kasia słabym głosem.

— Ona żyje, żyje! — wykrzyknęła pocziwa Józia, objąwszy ją za szyję.

— Uspokój się, moja droga! — rzekła ciotka Iza niezwykle łagodnym głosem. — W okropny sposób upadłaś Kasiu, czy nie pamiętasz?

— Upadłam? Ach prawda! Spadłam z huśtawki — rzekła i powoli odgrzebała w pamięci wszystko. — Czy się sznur zerwał, ciotko Izo? Nie mogę sobie przypomnieć.

— Nie, tylko się hak przerwał, był już nadpęknięty i niepewny. Czy nie pamiętałaś, że zakazałam się dziś huśtać? Czy zapomniałaś?

— Nie ciotko Izo, nie zapomniałam. Ja.... — ale tu umilkła, przymknęła oczy i wielkie łzy spłynęły jej spod powiek.

— Nie płacz! — szeptała Józia sama zalana łzami. — Proszę cię, przestań! Ciotka Iza nie będzie cię łajać.

Ale Kasia była zbyt osłabiona i wstrząśnięta, żeby się powstrzymać.

— Pójdę lepiej na górę i położę się do łóżka — rzekła, lecz gdy spróbowała wstać z sofy, wszystko się wokół niej zakręciło i padła znowu na poduszkę.

— Ależ ja się nie mogę podnieść! — wykrzyknęła z przestraczem.

— Boję się, że sobie coś zwichnęłaś — rzekła ciotka Iza, również przelękniona. — Poleż chwilę spokojnie, moja droga, zanim znów spróbujesz wstać. Ach, otóż i doktor! Jakże jestem rada<sup>63</sup>! — I wyszła go przywitać; nie był to pan Carr, tylko doktor Alsopp mieszkający w bliskim sąsiedztwie.

— Tak mnie to uspakaja, że pan przyszedł — rzekła ciotka Iza — mój brat wyjechał z miasta i nie wróci do jutra, a jedna z dziewczynek nieszczęśliwie upadła.

Doktor Alsopp usiadł przy sofie i mierzył puls Kasi, potem zaczął ją opukiwać.

— Czy możesz poruszyć tą nogą? — zapytał.

Kasia zrobiła słaby ruch.

— A tą?

Poruszenie było jeszcze słabsze.

— Czy cię boli? — zapytał doktor Alsopp, widząc cierpienie na jej twarzy.

— Trochę — odpowiedziała, z trudnością powstrzymując się od płaczu.

— W krzyżu? Czy ból jest wysoko czy nisko? — przez kilka minut opukiwał kręgosłup, obracając ją niewygodnie.

— Boję się, że sobie coś uszkodziła — rzekł na koniec — ale nie mogę ocenić, w jaki sposób. Może to tylko lekkie skręcenie albo zwichnięcie — dodał, widząc smutek Kasi. — Lepiej wziąć ją jak najszybciej na górę i rozebrać, panno Carr. Zostawię receptę na lek do wcierania. — Wziąwszy kawałek papieru, zaczął pisać.

— Czy mam pójść do łóżka? Jak długo będę leżeć, doktorze? — zapytała Kasia.

— Będzie to zależało od tego, jak szybko wyzdrowiejesz — odparł doktor. — Mam nadzieję, że nie będziesz długo leżeć, może tylko kilka dni.

— Kilka dni! — powtórzyła rozpaczliwym głosem.

Gdy doktor odszedł, ciotka Iza i Dorota podniosły Kasię i powoli poszły z nią na górę. Było to niełatwe, bo każde poruszenie urażało ją, a najdotkliwsze było uczucie, że jest niebezpiecznie potłuczona. Nie mogła się wstrzymać od płaczu, gdy ją rozebrano i położono w łóżku. Wszystko jej się wydawało takie dziwne i straszne. „Gdyby choć papa był” — myślała, ale doktor Carr pojechał na wieś odwiedzić bardzo chorą osobę i mógł wrócić dopiero jutro.

Jakież to długie, długie było popołudnie! Ciotka Iza przysłała na górę obiad, ale Kasia nie mogła jeść. Miała spalone usta, a głowa bolała ją intensywnie. Słońce zaczynało dogrzewać, więc w pokoju było gorąco, muchy brzęczały przy oknie i dręczyły ją, siadając na twarzy. Lekkie klucie przechodziło ją po krzyżu, leżała z zamkniętymi oczami, bo ją raziło światło i różne smutne myśli cisnęły się jej do głowy.

„Jeżeli naprawdę zwichnęłam krzyż, to będę może leżała cały tydzień” — mówiła sobie. — Ach Boże, mój Boże! Nie *wytrzymałabym!* Wakacje trwają tylko osiem tygodni i miałam robić takie ładne rzeczy! Jak można być tak cierpliwą jak kuzynka Helena, leżąc bez ustanku? Jakże się ona zmartwi, gdy się dowie! Czy rzeczywiście dopiero niedawno odjechała? Zdaje się, jak gdyby to już było przed rokiem. Ach, gdybym nie była usiadła na tę wstrętą, starą huśtawkę!” I zaczęła sobie wyobrażać, co by to było, gdyby tego *nie uczyniła*. Miały pójść z Józią po południu do Raju i mogłyby teraz siedzieć pod cienistymi drzewami! Gdy te myśli przesuwaly jej się po mózgu, głowa jej się rozgrzała i leżenie na sofie stawało się coraz bardziej niewygodne.

Nagle poczuła, że rażące światło od okna przyćmiewa się i że owiewa ją wietrzyk. Otworzyła ociężałe oczy: rolety były spuszczone, a przy łóżeczku siedziała Elżbietka, chłodząc ją wachlarzem z liścia palmowego.

— Czy obudziłam cię? — zapytała nieśmiało. Kasia spojrzała na nią z przestraczem i zadziwieniem.

<sup>63</sup>*jestem rada* — jestem zadowolona. [przypis edytorski]

— Nie lękaj się — rzekła Elżbietka — nie będę ci przeszkadzała. Joasi i mnie tak jest przykro, że jesteś słaba! — Gdy to mówiła, usteczka jej zadrgały: — Ale będziemy bardzo spokojnie zachowywać się, nie będziemy trzaskać drzwiami od dzieciennego pokoju ani hałasować na schodach, dopóki nie wyzdrowiejesz. Przyniosłam ci bardzo ładne rzeczy, niektóre od Joasi, a inne ode mnie, a to dlatego, że spadłaś z huśtawki. Patrz! — rzekła, wskazując z tryumfem na krzesło, które przysunęła blisko łóżka, ustawivszy na nim uroczyście: serwis do herbaty, pudełko ze szklaną przykrywką malowaną w kwiaty, lalkę składaną, przejrzystą tabliczkę i dwa nowe ołówki.

— To wszystko twoje, weź sobie wszystko! — rzekła wspaniałomyślna Elżbietka. — Jeżeli chcesz, to ci dam także mego Karolka, tylko że on jest bardzo duży i boję się, że tęskniłby za mną. Czy ci się nie podobają Kasiu te wszystkie rzeczy? Może są nieładne?

Kasi zdawało się, że ma rozpalony węgiel na wierzchu głowy, gdy spoglądała na te skarby, a potem na twarzyczkę Elżbietki rozpromienioną wyrzeczeniem się siebie.

Chciała przemówić, ale się rozplakała, co bardzo przestraszyło siostrzyczkę.

— Czy cię tak bardzo boli? — zapytała z współczuciem.

— Nie o to mi chodzi — mówiła ze łkaniem Kasia — ale byłam dziś taka przykra dla ciebie, Elżbietko, i popchnęłam cię! Ach, przebac mi!

— Już się zagoiło — odrzekła zadziwiona Elżbietka. — Ciotka Iza naląła coś z butelki i guz zaraz się schował. Czy mam poprosić, żeby i tobie przyłożyła? Zaraz pójde — i biegnę ku drzwiom.

— O nie! — zawołała Kasia. — Nie odchodź! Przyjdź tu lepiej i pocałuj mnie!

Elżbietka obróciła się, jak gdyby wąpiąc, że to wezwanie jej dotyczy. Kasia wyciągnęła do niej ręce, a Elżbietka rzuciła się w jej objęcia i obie siostrzyczki, duża i mała, zamieniły uścisk, który zdawał się zbliżać jeszcze bardziej ich serca.

— Ach jakaś ty słodka! — wykrzyknęła Elżbietka, podskakując z radości. — Zdaje mi się, że niedługo będę cię więcej kochała od kuzynki Heleny i papy!

Ciotka Iza przespała tę noc w pokoju Kasi, która miała gorączkę. Gdy rano powrócił doktor Carr, zastał ją bardzo cierpiącą, rozpaloną i niespokojną. Oczy miała szeroko rozwarte i zgorączkowane.

— Papo, czy ja mam leżeć cały tydzień? — spytała go zaraz.

— Tak sędzę, moja droga — odparł ojciec z jakąś znużoną i bardzo posępną twarzą.

— Boże, mój Boże! — szlochała Kasia. — Jak ja to zniosę!

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. PONURE DNI

Gdyby ktoś powiedział Kasi owego dnia, że tydzień upłynie, a ona będzie jeszcze leżała w łóżku, cierpiąca i nie wiedząc, kiedy wstanie, to by ją chyba zabiło. Była tak energiczna i gwałtowna, że samo leżenie wydawało jej się najcięższą rzeczą na świecie. Ale leżeć nieruchomo i ciągle cierpieć ból w krzyżu<sup>64</sup>, było jeszcze gorzej. Dzień po dniu pytała ojca drżącymi ustami:

— Czy mogę dziś zejść na dół? — a gdy potrząsnął głową, usta jeszcze bardziej drgały i oczy zachodziły łzami. Ale gdy próbowała podnieść się, ból tak się wzmagał, że mimowolnie padała znowu na miękkie pościelenie i materace, tak wygodne dla jej biednych członków<sup>65</sup>.

Nadszedł potem czas, kiedy Kasia nie prosiła o to pozwolenie, bo doznawała takich cierpień, o jakich przedtem nie miała pojęcia. Dni nie różniły się od nocy, zdawało się, że ciotka Iza nie kładzie się nigdy do łóżka, pan Carr był nieustannie w Kasi pokoju, inni doktorzy przychodzili, stawali nad nią, opukiwali kręgosłup i szeptali między sobą. Był to niby długi, straszny sen, z którego pomimo usiłowań nie mogła się obudzić. Od czasu do czasu chciała podnieść się trochę, przysłuchiwać się głosom, zdać sobie sprawę, że Józia lub Elżbietka stoją pod drzwiami i płaczą po cichu albo że ciotka Iza w skrzypiących pantoflach chodzi na palcach po pokoju, ale po chwili wszystkie te rzeczy znikaly, wpadała w jakieś ciemne miejsce, gdzie był tylko ból i sen dający zapomnienie o bólu, i to jej się zdawało najlepszą rzeczą na świecie.

<sup>64</sup>ból w krzyżu — ból w dolnej części pleców (kręgosłupa i miednicy). [przypis edytorski]

<sup>65</sup>członków — tu: części ciała. [przypis edytorski]

Pominiemy ten czas, bo przykro wyobrażać sobie naszą wesołą Kasię w tak smutnym położeniu. Stopniowo ból zmniejszał się, a sen był spokojniejszy, gdy cierpienie już ustępowało, Kasia rozbudziła się niejako, zaczęła zwracać uwagę na to, co się wokół niej dzieje i zadawać pytania.

— Jak długo chorowałam? — zapytała pewnego ranka.

— Wczoraj minęło cztery tygodnie — odrzekł ojciec.

— Cztery tygodnie! Nie wiedziałam, że to już tak dawno! Czy bardzo byłam chora, papo?

— Bardzo, moja droga! Ale już jesteś o wiele zdrowsza.

— Co sobie uszkodziłam, spadając z huśtawki? — zapytała, będąc w niezwykle rozbudzonym usposobieniu.

— Nie sądzę, żebym mógł ci to wytłumaczyć, moja droga.

— Spróbuj, papo.

— Dobrze. Czy wiesz, że masz długą kość w krzyżu zwaną kręgosłupem?

— Myślałam, że to kalectwo, bo Józia mówiła, że kuzynka Helena ma kręgosłup.

— Nie, kręgosłup jest kością złożoną z szeregu mniejszych kości albo węzłów, a w środku jest lina nerwowa nazwana mleczem pacierzowym. Nerwy, jak ci wiadomo, są to rzeczy, którymi czujemy. Otóż ten mlecz pacierzowy jest obwinięty dla zabezpieczenia delikatną oponą. Gdy spadłaś z huśtawki, uderzyłaś się w jeden z tych węzłów i zgniotłaś wewnętrzną oponę, wówczas nerwy zaogniły się i sprawiły dreszcze w krzyżu. Czy pojmujesz?

— Trochę — rzekła Kasia, niezupełnie rozumiejąc, ale zbyt zmęczona była, żeby się dłużej dopytywać. Odpocząwszy chwilę, odezwała się znowu: — Czy gorączka minęła, papo? Czy mogę już wstać i zejść na dół?

— Boję się, że nie mogłabyś jeszcze — odrzekł doktor Carr, udając wesoły ton.

Kasia już więcej nie pytała: minął jeden tydzień, potem drugi, ból prawie ustał, wracając tylko niekiedy na kilka minut. Mogła już spać, jeść i podnosić się na łóżku bez zawrotu głowy, ale te ruchliwe dawniej członki opadały ciężkie i martwe, nie mogła chodzić ani nawet stanąć o własnych siłach.

— Jakie moje nogi są dziwne, zdają się być zamienione w czarny marmur jak u tego księcia z arabskich powieści. Papo, co może być przyczyną tego? Czy już nigdy nie będą normalnie czuły? — zapytała pewnego ranka.

— Nieprędko! — odpowiedział doktor Carr, a potem pomyślał: „Biedne dziecko! Niech się lepiej dowie prawdy”, dodał więc głośno: — Boję się, moja droga, że wypadnie ci długo leżeć.

— Jak długo? Więcej jak miesiąc?? — spytała z przestraszaniem.

— Nie mogę dokładnie tego powiedzieć — odparł ojciec. — Doktorzy myślą, podobnie jak ja, że to uszkodzenie kości pacierzowej stopniowo da się wyleczyć, dlatego że jesteś taka młoda i silna. Ale to może potrwać długo, może będziesz musiała leżeć całe miesiące albo i dłużej. Jedynym lekarstwem na takie stłuczenie jest czas i cierpliwość. Przykro mi, moja droga — tu Kasia zaczęła gwałtownie łkać — ale ciebie może podtrzymywać nadzieja. Pomyśl o biednej kuzynce Helenie, która żyje od tylu lat bez nadziei.

— Ach, papo — jękała Kasia wśród łkań. — Czy to nie straszne, żeby tyle złego narobiło huśtanie się przez kilka minut? Taka mała rzecz!

— Prawda, taka mała rzecz! — powtórzył doktor Carr ze smutkiem. — To także była mała rzecz, że zapomniałaś o zakazie ciotki Izy, żeby się nie huścić. Przepadł gwóźdź od końskiej podkowsy w posłuszeństwie Kasi.

Po wielu latach Kasia opowiadała komuś, że najdłuższe sześć tygodni w jej życiu to były te, które nastąpiły po owej rozmowie z ojcem. Odkąd się dowiedziała, że nie ma dla niej nadziei na szybkie wyzdrowienie, dni wlokły się strasznie, każdy zdawał się nudniejszy i przykrejszy od poprzedniego. Zniechęciła się do siebie i nic ją nie zajmowało. Ciotka Iza przynosiła jej książki, ale nie chciała czytać ani szyć. Nic jej nie bawiło. Józia i Cesia przychodziły siedzieć z nią, lecz gdy opowiadały, jak się bawią i co robią, tak smutno płakała, że ciotka Iza nie pozwalała im przychodzić często. Bardzo było im żal Kasi, ale jej pokój był taki ponury, a ona taka kwaśna, że nie bardzo przeszkadzał im ten zakaz. Bywały dni, że Kasia prosiła ciotkę Izę, żeby pospuszczała szczelnie rolety, i leżała po ciemku,

Cierpienie, Choroba

myśląc o tym, jak jest nieszczęśliwa i jak smutne będzie jej życie. Wszyscy okazywali jej dobroć i cierpliwość, ale była zbyt samolubnie strapiona<sup>66</sup>, żeby zwracać na to uwagę. Ciotka Iza biegła ciągle z dołu na górę i była na nogach przez cały dzień, starając się sprawić czymś Kasi przyjemność, która odpowiadała jej tylko „Dziękuję”, a nigdy nie spostrzegła, że ciotka Iza wydaje się zmęczona.

Dopóki leżała w łóżku, nie zdołała być wdzięczna za to wszystko, co dla niej czyniono.

Ale te smutne dni były niczym w porównaniu z nocami, gdy po usnięciu ciotki Izy, Kasia leżała rozbudzona i miewała długie, rozpaczliwe napady płaczu. Przez cały ten czas zwykła myśleć, że miała spełniać takie piękne rzeczy, gdy dorośnie. „A teraz już nic nie dokonam — mówiła sobie. — Ciągłe będę leżeć. Papa powiada, że może stopniowo wyzdrowieję, ale ja wiem, wiem, że to nigdy nie nastąpi. Nawet gdybym wyzdrowiała, to zmarnuję te wszystkie lata: inne dzieci mnie przerosną i wyprzedzą, a ja nie będę mogła być pomocą dla nich ani dla nikogo. O Boże, o Boże mój! Jakież to straszne!”

Smutny ten stan został przerwany listem od kuzynki Heleny, który doktor Carr przywiózł pewnego ranka i oddał ciotce Izie.

— Helenka donosi, że powraca do domu w tym tygodniu — odezwała się ciotka Iza przy oknie, gdzie poszła przeczytać list. — Przykro mi, ale uważam, że słusznie robi, nie wstępując tutaj. Dobrze powiada, że jednej chorej dosyć w domu na jeden raz. Niemam roboty z Kasią.

— Ach ciotko Izo! — wykrzyknęła Kasia — kuzynka Helena będzie tędy przejeżdżała, wracając do domu? O, zatrzymaj ją! Poproś choćby na jeden dzień! Ja tak bardzo pragnę ją zobaczyć, nie umiem wypowiedzieć jak bardzo! Czy nie zechcesz? Proszę cię, proszę, drogi papo!

Prawie płakała z gwałtownego uniesienia.

— Dobrze, moja droga, kiedy tak bardzo tego pragniesz — rzekł doktor Carr. — Będzie to kosztowało ciotkę Izę trochę kłopotu, ale tak jest dobra, iż pewien jestem, że ci sprawi tę przyjemność. Czy zechcesz, Izo? — i spojrział pytająco na siostrę.

— Ma się rozumieć, że zechcę — odrzekła serdecznie panna Iza. Kasia była tak uradowana, że pierwszy raz w życiu z własnego popędu objęła ją za szyję i ucałowała, mówiąc:

— Dziękuję ci, droga ciociu!

Ciotka Iza wydawała się w najwyższym stopniu ucieszona — kryła ona gorące serce pod niecierpliwym obejściem, tylko Kasia nie dostrzegła tego, dopóki była zdrowa.

Przez następny tydzień Kasia była rozgorączkowana oczekiwaniem, nareszcie przybyła kuzynka Helena. Tym razem Kasia nie przyjęła jej na progu, ale po krótkiej chwili ojciec przyniósł Helenkę na ręku i posadził w wielkim fotelu obok łóżka.

— Jak tu ciemno! — rzekła, gdy się ucałowały i pogadały chwilę. — Nie mogę dojrzeć twojej twarzy. Czy większe światło raziłoby ci oczy?

— O nie! — odpowiedziała Kasia. — Światło mi nie razi oczu, tylko nie lubię, żeby tu słońce zaglądało. Jakoś mi się zaraz gorzej robi.

— Podnieśże trochę rolety, Józiu — rzekła, co też ona zaraz uczyniła.

— Teraz widzę — powiedziała kuzynka Helena i ujrzała przed sobą bardzo zgnębione dziecko, z twarzą wychudzoną, z oczami czerwonymi od ciągłego płaczu. Ciotka Iza cesała ją dwa razy tego ranka, ale Kasia targała włosy niecierpliwie palcami, dopóki nie stanęły na głowie jak najeżony krzak. Miała na sobie perkalowy szlafroczek, wprawdzie czysty, ale dziwnie niezgrabny, w pokoju panował porządek, ale krzesła ustawione pod ścianą i szereg flaszek od lekarstw na kominku nadawały mu ponury wygląd.

— Czy tu nie okropnie? — westchnęła Kasia, gdy się kuzynka Helena rozglądała wokoło. — Wszystko tu okropne! Nie będę zbyt na to zwracać uwagi, dopóki ty jesteś. Ach kuzynko Heleno, przeżyłam tak straszny, *straszny* czas!

— Wiem! — odrzekła Helena z politowaniem. — Słyszałam o tym i bardzo mi cię żal. To ciężka próba, moja droga biedaczko!

— Ale jak ty sobie *radzisz*? Jakim sposobem jesteś taka słodka, piękna i cierpliwa, kiedy ciągle ci smutno i nie możesz zajmować się niczym, ani chodzić, ani stać? — pytała Kasia ze łkaniem.

Helena nic nie odrzekła przez krótką chwilę, tylko pieściła jej rękę.

<sup>66</sup>strapiona — zmartwiona. [przypis edytorski]

— Kasiu — odezwała się nareszcie — czy ci ojciec powiedział, że sądzi, iż stopniowo powrócisz do zdrowia?

— Powiedział, ale to nie nastąpi jeszcze długo, długo! Chciałam zrobić tyle rzeczy, a teraz nic nie mogę!

— Jakież to rzeczy?

— Uczyc się, być pomocą ludziom i stać się sławna. Chciałam dawać lekcje dzieciom, bo mama powiedziała, żebym troszczyła się o nie, pragnęłam to spełnić, ale jakże mogę chodzić do szkoły i uczyć się czegoś sama? Jeżeli kiedyś wyzdrowieję, to dzieci już wyrosną i nie będą mnie potrzebowały.

— Dlaczego miałabyś z tym czekać aż wyzdrowiejesz? — zapytała Helena z uśmiechem.

— Ależ kuzynko Heleno, cóż ja mogę zrobić, leżąc tu w łóżku?

— Bardzo wiele. Czy mam ci powiedzieć to, co, jak mi się zdaje, mówiłabym sobie, będąc na twoim miejscu?

— Proszę, proszę! — zawołała Kasia ciekawie.

— Powiedziałabym sobie tak: „Kasiu Carr, chciałaś chodzić do szkoły i uczyć się, jak się stać mądra i pożyteczna drugim, masz zatem sposobność. Bóg powołał cię do *swojej* szkoły, gdzie sam uczy różnych pięknych rzeczy. Może zechce cię zatrzymać tylko przez jeden rok szkolny, a może przez dwa, trzy lub cztery — bądź co bądź musisz jak największą wagę przywiązywać do tej sposobności, bo On sam ci ją daje”.

— Cóż to za szkoła? — spytała Kasia. — Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

— Jest to szkoła cierpienia — odrzekła Helena ze swym najśladszym uśmiechem. — Miejscem, gdzie będziesz pobierała lekcje, jest ten pokój. Przepisy szkolne są bardzo twarde, ale dobre uczennice po krótkim czasie widzą, jak trafne i pożyteczne. Lekcje takie są niełatwe, ale im więcej będziesz nad nimi pracowała, tym bardziej wydadzą ci się zajmujące.

— Cóż to za lekcje? — spytała Kasia ze wzrastającą ciekawością i z takim wrażeniem, jak gdyby kuzynka Helena opowiadała historię.

— Najpierw lekcja cierpliwości: jedno z najcięższych zadań. Nie można nauczyć się jej wiele od razu, ale każda odrobina wyuczona na pamięć, ułatwi następną odrobinę. Dalej, lekcja wesołości, lekcja brania rzeczy z dobrej strony.

— Czasami nie ma dobrej strony — zauważyła żałośnie Kasia.

— Owszem, zawsze jest, każda rzecz na świecie ma swoją rękoność<sup>67</sup>. Czy nie wiedziałaś tego? Z jednej strony, jeżeli ją weźmiesz w rękę, jest ona gładka: rzecz staje się jasna i łatwa. Ale gdy uchwycisz za ostrą stronę, skaleczy cię, a rzecz będzie trudna do podniesienia. Niektóre osoby mają zwyczaj brać zawsze za ostrą część.

— Czy ciotka Iza jest rzeczą? — spytała Kasia, a kuzynka Helena cieszyła się, że słyszy ją śmiejącą się.

— Tak, ciotka Iza jest *rzeczą* i ma gładką, przyjemną stronę, tylko spróbuj ją znaleźć. Dzieci są także rzeczami w pewnym znaczeniu. Wszystkie ich części różnią się między sobą. Wiadomo ci, że ludzie nie są tak jednakowi jak czerwone doniczki do kwiatów. Musimy odczuwać i zgadywać, jaki ktoś jest, zanim go poznamy i zrozumiemy, czym go ująć i jak można go poprowadzić. To bardzo zajmujące i radzę ci spróbować: próbując, nauczysz się różnych rzeczy, które ci pomogą dopomagać innym.

— Gdybym tylko mogła! — westchnęła Kasia. — Czy są jeszcze inne lekcje w tej szkole, kuzynko Heleno?

— Jest jeszcze lekcja nadziei: ta klasa ma nawet wielu nauczycieli. Jednym z nich jest słońce. Cały dzień siedzi za oknem, czekając sposobności, żeby się wsunąć i ogarnąć swego ucznia. To znakomity nauczyciel, gdybym była tobą, nie chciałabym go wyganiać. Co rano, budząc się, mówiłabym sobie: „Skoro tak powiada papa, to odzyskam zdrowie, może to nastąpi jutro? A jeżeliby dzisiejszy dzień *miał być* ostatnim mojej choroby, niechaj go spędzę *pięknie* i niech uczynię mój pokój tak przyjemnym, żeby go wszyscy wspominali chętnie”. Jest jeszcze lekcja porządku. Wiesz, że szkolne pokoje muszą być utrzymywane w ładzie: chora osoba powinna być świeża i powabna jak róża.

Szkoła, Cierpienie

Nadzieja, Szkoła

<sup>67</sup>rękoność — uchwyt narzędzia zakończonego ostrą częścią, np. miecza. [przypis edytorski]

— Ale to taki kłopot! — wymawiała się Kasia. — Ty z pewnością nie wiesz, co to za nudy zawsze być czystą i porządną, bo nigdy nie byłaś niedbała jak ja, kuzynko Heleno, ty się urodziłaś porządna.

— Doprawdy? — rzekła Helena. — Dobrze, moja Kasiu, nie będziemy się spierać, tylko ci opowiem historię o znanej mi kiedyś dziewczynce, która *nie urodziła się* porządna.

— Opowiedz! — zawołała Kasia radośnie. Helena już wywarła na nią dobry wpływ, stała się bowiem weselsza i mniej obojętna.

Kuzynka Helena mówiła więc dalej:

— Ta dziewczynka, gdy była młoda, lubiła skakać, biegać, jeździć konno i bawić się wesoło. Pewnego dnia przytrafiło jej się coś smutnego, jakiś wypadek i powiedziano jej, że będzie musiała do końca życia leżeć i cierpieć na bóle w krzyżu, że nigdy już nie będzie chodzić ani robić tego wszystkiego, co ją tak bawiło.

— Zupełnie tak samo jak my obie — szepnęła Kasia, chwytając Helenę za rękę.

— Ze mną jest podobieństwo, ale z tobą nie tak bardzo, bo jak ci wiadomo, papa ma nadzieję że *ty* będziesz zdrowa lada dzień. Owa dziewczynka niewiele sobie z tego robiła, gdy jej pierwszy raz to powiedziano, bo czuła się tak chora, że była pewna, iż umrze. Ale gdy się jej stan polepszył i zaczęła myśleć o długim życiu, jakie ją czeka, było jej jeszcze gorzej niż wówczas, kiedy bardzo cierpiała. Taki ją ogarnął smutek, że nie dbała o to, co się wokół niej dzieje ani jak co wygląda. Nie miała ciotki Izy, żeby wszystkiego doglądała, więc jej pokój był w okropnym stanie — pełno tam było kurzu, nieładu, brudnych łyżek i flaszek od lekarstw. Rolety trzymała spuszczone, włosy jej się jeżyły na głowie i w ogóle przedstawiała bardzo ponury obraz. Ta dziewczynka miała ukochanego, starego ojca, który przychodził co dzień i przesiadywał przy jej łóżku. Pewnego ranka rzekł:

„Moja córko, mam obawę, że będziesz musiała długi czas żyć w tym pokoju, otóż chciałbym, żebyś coś zrobiła ze względu na mnie”.

„Co takiego?” — spytała, dziwiąc się, że może coś jeszcze *uczynić* dla kogoś.

„Chciałbym, żebyś wyrzuciła wszystkie flaszki z lekarstwami i uczyniła ten pokój ładnym i przyjemnym *dla mnie*, żebym tu mógł przychodzić i siedzieć. Widzisz, ja tu będę spędzał dużo czasu, a nie cierpię kurzu ani ciemności. Lubię widzieć kwiaty na stole i promienie słoneczne w oknie. Czy zrobisz to dla mojej przyjemności?”

„Dobrze” — odparła dziewczyna, ale z westchnieniem i boję się, że pomyślała, iż jej to sprawi okropny kłopot.

„Chciałbym jeszcze jedną rzecz — żebyś ładnie wyglądała. Czy kaftaniki i szlafrociki nie mogą być tak zgrabnie zrobione jak suknie? Gdy chora kobieta nie jest schludna, przedstawia niemiły obraz. Dla mojej przyjemności pošlij po coś eleganckiego i niech cię znowu widzę pięknie wyglądającą. Nie mogę tego znieść, żeby moja Helenka była zaniedbana”.

— Helenka! — wykrzyknęła Kasia, robiąc wielkie oczy. — Czy to *ty* byłaś?

— Tak — odrzekła kuzynka ze śmiechem — to byłam ja, ale nie miałam zamiaru tak szybko wymówić swojego imienia. Gdy ojciec odszedł, kazałam sobie podać lustro: cóż za widok, Kasiu! Włosy wyglądały jak mysie gniazdo, czoło było całe poorane bruzdami, bo z bólu często się marszczyłam, wyglądałam więc jak stara baba.

Kasia spojrzała na gładkie czoło i błyszczące włosy kuzynki Heleny i rzekła:

— Nie mogę w to uwierzyć, twoje włosy nie mogły być nigdy potargane.

— Owszem, były bardziej potargane niż twoje teraz, ale to przejrzenie się w lustrze wyszło mi na dobre, zaczęłam się zastanawiać, jak samolubnie postępuję i zapragnęłam być lepsza. Odtąd, gdy mnie ogarnął ból, gładziłam palcami czoło, żeby się nie marszczyło i starałam się nie zdradzać twarzą cierpienia. Tym sposobem, chociaż teraz jestem o wiele starsza, nie mam zmarszczek, bo jak wtenczas znikły, to już więcej nie wróciły. Z początku sprawiało mi wiele kłopotu starannie utrzymywać pokój i siebie samą, ale po krótkim czasie stało się to nałogiem i przychodziło z łatwością. Zadowolenie drogiego ojca wynagradzało mi wszystko: dawniej dumny był ze swojej ruchliwej, zdrowej córki, ale zdaje mi się, że mu nigdy nie sprawiała tyle pociechy, co ta chora, leżąca w łóżku. Mój pokój był jego ulubionym miejscem i tak dużo spędzał w nim czasu, że wszystko, co mnie tam otacza, jest pamiątką.

Kuzynka Helena miała łzy w oczach, gdy skończyła mówić, ale Kasia była ożywiona i pogodna. Zdawało się, że czuje ulgę, a zarazem wielkie zdziwienie, że był czas, kiedy Helenka była mniej doskonała niż teraz.

— Czy doprawdy myślisz, że ja także mogłabym to robić? — zapytała.

— Co robić? Czesać włosy? — i uśmiechnęła się Helena.

— O nie! Być porządna, słodka, cierpliwa i dopomagać ludziom. Ty wiesz, co bym chciała powiedzieć.

— Jestem pewna, że będziesz mogła, jak spróbujesz.

— Ale co ty byś najpierw zrobiła? — spytała Kasia, której pilno było zacząć, kiedy się jej uczepliła nowa myśl.

— Najpierw podniosłabym rolety i tak bym urządziła pokój, żeby był mniej był posępny. Czy zażywasz lekarstwa z tych wszystkich flaszek?

— Nie, tylko z tej dużej z niebieską kartką.

— Możesz więc poprosić ciotkę Izę, by zabrała resztę. Powiedziałabym też Józii, żeby co dzień przynosiła wiązki świeżych kwiatów na stół... ale nie widzę białego wazonika.

— Stłukł się tego samego dnia, kiedy wyjechałaś, tego dnia, kiedy spadłam z huśtawki — rzekła Kasia smutno.

— Nie martw się tym, moja droga pieśczoćko, nie miej tak rozżalonej minki, wiem, gdzie rośnie drzewo owocujące tymi wazonikami i będziesz miała taki sam. Po uporządkowaniu pokoju kazałabym sobie przynieść szkolne książki, gdybym była na twoim miejscu, i uczyłabym się parę godzin co rano.

— Ach! — wykrzyknęła Kasia, krzywiąc się na tę myśl.

Kuzynka Helena uśmiechnęła się i rzekła:

— Wiem, że się wydaje nudną pracą uczyć się geografii i działań arytmetycznych o własnych siłach, sędzę jednak, że gdybyś się przymusiła, byłabyś wkrótce zadowolona. Widzisz, nie straciłabyś tak wiele materiału, nie byłabyś tak bardzo zapóźniona w nauce. Przy tym w nauce jak w ogrodnictwie: plony niełatwo wyrastają, każdy kwiat, jaki zerwiesz, będzie rodzajem zwycięstwa i będziesz go cenila dwa razy więcej od tego, który cię nie kosztował tyle trudów.

— Dobrze — powiedziała smutno Kasia — spróbuję, ale to wcale nie będzie przyjemnie uczyć się samej. Czy jeszcze coś więcej, kuzynko Heleno?

W tej chwili drzwi skrzypnęły i Elżbietka nieśmiało wsunęła główkę do pokoju.

— Ach, Elżbietko, idź sobie! — wykrzyknęła Kasia. — Rozmawiamy tu z kuzynką Heleną, nie przychodź teraz.

Kasia nie przemówiła wprawdzie niegrzecznie, ale Elżbietce wydłużyła się twarzyczka i zdradziła doznany zawód, jednakże nic nie mówiąc, cofnęła się i zamknęła drzwi.

Kuzynka Helena przyglądała się tej scenie w milczeniu i przez kilka minut była zamysłona. Na koniec rzekła:

— Kasiu, mówiłaś przed chwilą, że jedną z trapiących cię rzeczy w chorobie jest to, że nie możesz być pożyteczna dzieciom. Ja jednak nie widzę przyczyny, żebyś się tym martwiła.

— Dlaczego? — spytała zdumiona Kasia.

— Dlatego że *możesz* być pożyteczna i zdaje mi się, że masz więcej sposobności niż dawniej, kiedy byłaś zdrowa i biegałaś tu i tam, jak to było twoim zwyczajem. Mogłabyś zrobić z nimi teraz prawie wszystko, co byś tylko chciała.

— Nie rozumiem cię — rzekła Kasia posępnie.

— Możesz zrobić ze swego pokoju takie rozkoszne miejsce, żeby pragnęły tu przychodzić. Czy nie zastanawiałaś się nad tym nigdy, że chora osoba jest zawsze pod ręką, kto jej tylko potrzebuje, wie, gdzie ją znaleźć i jeżeli jest kochana, to się staje duszą całego domu. Jak tylko dzieci poczną, że twój pokój jest miejscem, dokąd wszyscy dążą, czy są znużeni, czy szczęśliwi, czy strapieni, czy smutni i że Kasia, która go zamieszkuje, z pewnością przyjmie ich serdecznie, bitwa będzie wygrana. Wiesz bowiem, że się nie ujmuje ludzi, prawiąc im morały, tylko dzieląc z nimi wszystko, pomagając w tym i w owym. A gdy czyjeś życie jest odłożone chwilowo na bok, jak twoje teraz, powinno się to uważać za stosowną chwilę, żeby cudze życie przyjmować na siebie, co jest niemożliwe, gdy się kłopotujemy i zajmujemy własnymi sprawami. Ale nie miałam zamiaru prawić kazania, boję się, że jesteś zmęczona.

Przyjaźń

— Ani trochę! — rzekła Kasia, ściskając mocno rękę Heleny w swoich dłoniach. — Nie możesz sobie wyobrazić, o ile lepiej się teraz czuję. Ach, kuzynko Heleno, ja *chcę* spróbować!

— Nie przyjdzie to łatwo, zdarzą się dni, kiedy cię będzie głowa bolała, będziesz kwaśna, rozdrażniona i nie zechcesz myśleć o niczym, tylko o sobie. Zdarzą się znów inne, kiedy Józia i reszta dzieci zechcą tu wejść, jak teraz Elżbietka, i poczują, że ich obecność jest ciężarem. Ale musisz mieć to w pamięci, że ile razy zapomnisz się, będziesz niecierpliwa albo samolubna, oziębisz je i odstręczysz od siebie. To są kochające istotki i tak się martwią teraz o ciebie, że niczym nie zdołasz ich rozgniewać, ale powoli oswoją się z twoją chorobą i jeżeli nie zdobędziesz ich przyjaźni, odsuną się, gdy będą starsze.

W tej chwili wszedł doktor Carr.

— Ach, papo, wszak nie przyszedłeś po kuzynkę Helenę, prawda? — zawołała Kasia.

— Owszem, sądzę, że duża chora i mała chora dosyć długo rozmawiały z sobą. Kuzynka Helena zdaje się zmęczona — rzekł ojciec.

Przez chwilę Kasia zabierała się do płaczu, ale przelknęła łzy: „To moja pierwsza lekcja cierpliwości” — powiedziała sobie i przymusiła się do bladego, wodnistego uśmiechu, gdy ojciec na nią spojrział.

— Dobrze moja droga — szepnęła Helena, pochyliwszy się, żeby ją pocałować. — Jeszcze ostatnie słówko, Kasiu. W tej szkole, do której obie należymy, jest jedna wielka pociecha, mianowicie że nauczyciel zawsze jest blisko. On nigdy nie odchodzi, jeżeli rzeczy wydają nam się zawikłane, jest nieodstępny, żeby nas oświecać i ułatwiać wszystko. Spróbuj myśleć o tym, moja droga, i nie bój się prosić go o pomoc, gdy lekcja wyda się zbyt trudna.

Kasia miała dziwny sen tej nocy: zdawało jej się, że próbuje uczyć się lekcji z książki, która nie daje się otworzyć całkowicie. Mogła widzieć tylko trochę tego, co jest wewnątrz, ale był to niezrozumiały dla niej język. Daremnie próbowała — nie mogła przeczytać ani słowa, a pomimo to, książka ta zdawała się tak zajmująca, że pragnęła ją koniecznie zgłębić.

„Ach, gdyby ktoś chciał mi pomóc!” — wykrzyknęła niecierpliwie.

Nagle jakaś ręka wydobyla się spod jej ramienia i wzięła książkę, która otworzyła się od razu i ukazała stronicę. Potem ręka ta zaczęła palcem wskazywać wiersz po wierszu, a słowa stawały się zrozumiałe i Kasia mogła je czytać z łatwością. Spojrzawszy w górę, zobaczyła nad sobą wielką, piękną twarz, oczy na nią spojrzały, usta uśmiechnęły się.

„Czemu wcześniej nie poprosiłaś mnie, mała uczennico?” — odezwał się jakiś głos.

„Jak to! Czyż to o *tobie* mówiła mi kuzynka Helena?” — wykrzyknęła Kasia.

Musiała to wypowiedzieć przez sen, bo ciotka, na wpuł obudzona, rzekła:

— Co to jest? Czy potrzebujesz czego?

Kasia obudziła się i spostrzegła, że jest w łóżku i że pierwsze promienie słońca dostają się do okna, a ciotka Iza, wsparta na łokciu, patrzy na nią z jakimś sennym zadziwieniem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. ŚWIĘTY MIKOŁAJ I ŚWIĘTY WALENTY

— Co dzieci dzisiaj robią? — spytała Kasia, kładąc książkę pod tytułem *Norwegowie*. — Nie widziałam ich od śniadania.

Ciotka Iza, zajęta po drugiej stronie pokoju szyciem, oderwała wzrok od roboty i rzekła:

— Nie wiem, może są u Cesi albo gdzieś indziej, pewnie wrócą niedługo.

Jakoś dziwnie i tajemniczo brzmiał jej głos, ale Kasia nie zauważyła tego.

— Obmyślałam wczoraj taki ładny plan — mówiła dalej — żeby dzieci zawiesiły jutro w wieczór swoje pończochy tutaj, nie w dzieciennym pokoju, bym mogła zobaczyć ich podarki. Czy się to da zrobić, ciotko Izo? Tak by mnie to zabawiło!

— Nie widzę żadnej przeszkody — odparła ciotka z taką miną, jak gdyby powstrzymywała śmiech. Kasia była zaciekawiona, *co* jej jest.

Już upłynęły przeszło dwa miesiące od wyjazdu kuzynki Heleny i nastala zupełna zima — śnieg padał na dworze, Kasia widziała gęste płatki snujące się za oknem, ale jej ten widok nie zasmucał, gdyż pokój zdawał się jeszcze cieplejszy i miłszy. Był to teraz ładny pokoik: na kominku palił się wesoły ogień, wszystko było czyste i porządne, kwiaty

stojące na stoliku odświeżały powietrze i leżąca w łóżku Kasia zupełnie inaczej wyglądała niż owa zgnębiona dziewczyna z poprzedniego rozdziału.

Jakkolwiek odwiedziny Heleny trwały tylko jeden dzień, przyniosły wiele dobrego. Wprawdzie Kasia nie stała się doskonałą od razu, bo się to nikomu z nas nie zdarza, nawet w książkach, ale już i to dobre, gdy się wejdzie na dobrą drogę. Noga jej dochodziła do siebie i chociaż chwiała się biedna Kasia, ślizgała się i często siadała zrozpaczona — trzymała się jednak bardzo dobrze, pomimo że w złe dni mówiła sobie, iż nie robi żadnych postępów.

Wiele łez kosztowały Kasię te złe dni, kiedy wszystko zdawało jej się ciężkie i ona sama była kwaśna, drażliwa i wypędzała dzieci z pokoju, ale potem jeszcze pilniej usiłowała podnieść się na nowo i sądzę, że choć czasem cofała się, na ogół dobrze wyuczała się swych lekcji.

Kuzynka Helena była wielką pociechą przez ten cały czas, pamiętała ciągle o Kasi i prawie co tydzień przysyłała jakąś drobnostkę: notatki pisane ołówkiem, kiedy sama leżała na sofie, zajmującą książkę, nowy dziennik albo jakiś ładny przedmiot ze swego pokoju. Pąsowy szlafroczek, który Kasia nosiła, pochodził od niej, jak również pulpit na książkę i rozmaite inne rzeczy. Lubiła też rozglądać się wokół siebie, bo cały pokój przypominał jej kuzynkę Helenę i jej dobroć.

— Chciałabym mieć coś ładnego do włożenia każdemu w pończochę — odezwała się z zamyśleniem — ale mam tylko ciasteczka do herbaty dla papy i lejce dla Filipka.

Mówiąc to, wyjęła spod poduszki lejce z jaskrawej wełny z dzwoneczkami przyszytymi gdzieś. Sama je zrobiła w bardzo krótkim czasie.

— Ach prawda! Mam różową wstążkę — rzekła nagle. — Mogłabym ją dać Józi. Wiesz, ciociu, że miałam ją na sobie tylko jeden raz i na pewno nie jest poplamiona. Czy będziesz łaskawa przynieść mi ją, ciotko Izo? Jest w górnej szufladzie.

Wstążka okazała się zupełnie świeża, uradziły więc, że będzie dobra dla Józi.

— Nie za prędko będę potrzebować wstążki — rzekła Kasia nieco smutnym tonem, lecz dokończyła weselej — a ta jest śliczna. Chciałabym też mieć coś prawdziwie ładnego dla Elżbietki. Wiesz, ciotko Izo, że ona mi się wydaje najmilszą dziewczynką w świecie.

— Cieszę się, że to spostrzegłaś — powiedziała ciotka, bo szczególnie kochała Elżbietkę.

— Ona sobie najbardziej życzy teczki, a Joasia sanek. Ale mój Boże! To są takie duże rzeczy, a ja mam tylko dwa i ćwierć dolara.

Ciotka wyszła z pokoju, a powróciwszy, trzymała w ręku jakiś zwitek.

— Nie wiedziałam Kasiu, co by ci dać na Boże Narodzenie, bo Helenka przysłała ci takie mnóstwo rzeczy, że chyba już wszystko masz — postanowiłam więc sobie, że ci to ofiaruję, żebyś sama wybrała, co zechcesz. Ale jeżeli masz ochotę obdarować dzieci, to może wolisz teraz dostać? — mówiąc to, ciotka Iza położyła na łóżku szeleszczący pięciodolarowy banknot.

— Jakaś ty dobra, ciociu! — wykrzyknęła Kasia zarumieniona z radości. Istotnie ciotka Iza stała się dziwnie dobra w ostatnich czasach. Może ją Kasia uchwyciła od dobrej strony.

Posiadając siedem i ćwierć dolara Kasia mogła być szczodra — dała więc ciotce Izie dokładny opis teczki:

— Nie idzie o to, żeby była duża, ale koniecznie z niebieskim aksamitem w środku, a do tego proszę kupić kałamarz ze srebrnym wierzchem, papier, koperty i obsadkę do pióra, najładniejszą, jaka się znajdzie. Musi być także zamek i klucz! Nie zapomnij o tym, ciotko Izo!

— Nie zapomnę. Cóż więcej?

— Chciałabym, żeby sanki były zielone i żeby się ładnie nazywały, może „Kakatoe”, bo to byłoby ślicznie. Joasia widziała kiedyś sanki tak nazwane i mówiła, że były bardzo ładne. Jeżeli zostanie jeszcze dosyć pieniędzy, cioteczko, to kup mi prawdziwie piękną książkę dla Henrysia, drugą dla Cesi i srebrny napastrzek dla Marianny, bo w jej starym jest pełno dziur. Ach, i trochę miętówek. I coś dla Doroty i Brygidy, jakąś drobnostkę, naturalnie. Zdaje mi się, że to już wszystko!

Czy można się było spodziewać tak wielu rzeczy nawet za siedem i ćwierć dolara? Ciotka Iza musiałaby uciec się do czarów, żeby to wszystko zdobyć, ale dokazała swego

i nazajutrz wszystkie te drogie paczki nadeszły do domu. Jakże się Kasia cieszyła, rozwiązując sznurki!

Wszystko odpowiadało jej żądaniu.

— Nie było sanek „Kakatoe”, więc kupiłam takie.

— Ładne są i mi też się podobają. Ach schowaj je! Schowaj! — wykrzyknęła z nagłym przestraszaniem. — Ktoś idzie!

Ale tym ktosiem był tylko ojciec, który wsunął głowę do pokoju, gdy ciotka Iza obładowana paczkami skradała się przez sieni.

Kasia ucieszyła się, że go schwyci dla siebie. Chciała bowiem narodzić się, co ofiarować ciotce.

— Może byś kupił, papo, taką książkę, jak ma kuzynka Helenka, bo się ciotce Izie bardzo podobała. Nie pamiętam dokładnie tytułu, było to coś o cieniu. Ale wydałam wszystkie pieniądze!

— Nie troszcz się o to, poradzimy sobie. *Cień Krzyża*, czy tak? Kupię po południu — powiedział doktor Carr.

— Dziękuję ci, papo, proszę, jeżeli można, o brązową okładkę, bo taka była u kuzynki Heleny. Ale niech ciotka Iza o tym nie wie, dobrze? Bądź ostrożny, papo!

— W razie czego połknę książkę wraz z brązową okładką i ze wszystkim — rzekł ojciec, robiąc zabawną minę, bo cieszył się, że Kasię coś zajmuje.

Te rozkoszne tajemnice tak pochłaniały jej myśli, że ledwo miała czas spostrzec, że dzieci nie przychodzą w porze, kiedy zazwyczaj często nawiedzały jej pokój. Od trzech dni prawie się nie pokazywały, ale owego dnia przyszły gromadnie po kolacji, z bardzo wesołymi twarzami, jak gdyby się gdzieś doskonale zabawiły.

— Ty nie wiesz, cośmy robili — odezwał się Filipek.

— Cicho, Filipku — rzekła Józia surowo, potem rozdała pończochy trzymane dotąd w rękę i wszyscy przystąpili do rozwieszania.

Henryś powiesił swoją z jednej strony kominka, a Joasia z drugiej, naprzeciwko. Józia i Filipek umieścili swoje na dwóch lichtarzach na biurku — jedną obok drugiej.

— Ja swoją powieszę tuż przy Kasi, żeby ją mogła najpierw zobaczyć z rana — rzekła Elżbietka, zawieszając pończochy na słupku od łóżka.

Następnie wszyscy usiedli wokół ognia, żeby napisać swe życzenia na kawałkach papieru i zobaczyć, który się spali, a który wyleci przez komin. Jeżeli frunie w górę, będzie to znakiem, że święty Mikołaj otrzymał go i przyśle żądane rzeczy.

Joasia pragnęła sanek i serwisu do herbaty dla lalek, i dalszego ciągu szwajcarskiego Robinsona<sup>68</sup>.

Lista Henrysia brzmiała tak:

Ciastko ze śliwkami.

Nowa *Biblia*.

Henryś i Łucja

Kalejdoskop.

Wszystko, co się podoba świętemu Mikołajowi.

Napisawszy te listy, wrzucili je w ogień, który właśnie w tej chwili zamigotał i papiery znikły, ale nikt nie widział, jak się to stało. Joasia utrzymywała, że poleciały w komin, lecz Henryś zaprzeczał.

Filipek wrzucił swoją kartkę bardzo uroczyście: paliła się chwilę, a potem obróciła się w popiół.

— Widzisz, nic nie dostaniesz — powiedział Henryś. — Cóżes ty napisał Filipku?

— Tylko: „Filipek Carr”.

Dzieci roześmiały się na cały głos.

— Ja napisałam teczkę, ale kartka spaliła się! — smutno rzekła Elżbietka.

Kasia wybuchnęła śmiechem, usłyszawszy to.

Następnie Józia odczytała:

<sup>68</sup>szwajcarski Robinson — książka z serii pt. *Szwajcarska rodzina Robinsonów* autorstwa Johanna Davida Wyssa. [przypis edytorski]

*Walka i zwycięstwo.*  
Para kozłowych rękawiczek.  
Mufka.  
Dobry temperament...

Gdy wrzuciła swą kartkę w ogień, poleciała prosto w górę.

— Jakie to dziwne! — rzekła Kasia. — Żadnemu z dzieci nie udało się to tak dobrze.

Rzecz się tak miała, że Józia, sprytna istotka, wysunęła się z pokoju i otworzyła drzwi przed wrzuceniem życzeń, stąd naturalnie powstał przeciąg i pchnął papier w górę.

Po chwili nadeszła ciotka Iza i wszystkich wyprawiła do łóżka, mówiąc:

— Wiem, co będzie z rana, wstaniecie ze świtem i zaczniecie biegać, dlatego teraz trzeba pójść spać.

Gdy się rozeszli, Kasia przypomniała sobie, że nikt się nie odezwał, żeby dla niej powiesić pończochę. Zrobiło jej się trochę przykro, ale pomyślała: „musieli zapomnieć”.

Trochę później ojciec i ciotka Iza przyszedli napełniać pończochy. Było to bardzo zabawne, bo każdą przynosili Kasi leżącej w łóżku, żeby mogła wkładać, jak się jej podobało.

Przez palce przewijały się jej: suszone owoce i pomarańcze, a potem paczki różnych kształtów i wielkości, obwiązane wstążeczkami, zawinięte w papier i opatrzone napisem.

— Co to jest? — spytał doktor Carr, gdy ciotka Iza wsunęła długą wąską paczkę do pończochy Józii.

— Szczotka do paznokci, Józia potrzebuje nową.

Jakże się uśmieśli ojciec i Kasia!

— Nie przypuszczam, żeby święty Mikołaj miał kiedyś coś podobnego — rzekł doktor Carr.

— Jeżeli tak, musiał to być bardzo nieporządny staruszek — cierpko odparła ciotka Iza.

Teczka i sanki były za duże, by się pomieścić w pończosze, więc zawinawszy je w papier, postawiono je między innymi rzeczami. Zanim to wszystko zostało zrobione i ojciec z ciotką Izą odeszli, wybiła dziesiąta. Kasia długi czas przyglądała się dziwnym kształtom pończoch, kołyszących się przed ogniem kominkowym, nareszcie usnęła.

Zdawało jej się, że dopiero co przymknęła oczy, kiedy ktoś ją dotknął i obudził. Już był dzień i Filipek w koszulce wskakiwał na łóżko i ją całował! Inne dzieci, na wpół ubrane, tańczyły wokół z pończochami w rękach.

— Wesołego Bożego Narodzenia! Wesołego Bożego Narodzenia! — wołały. — Ach, Kasiu, jakie to piękne, jakie piękne rzeczy!

— Ach! — wykrzyknęła Elżbietka, wyszpiegowała bowiem swoją teczkę. — Święty Mikołaj *przysłał* mi to jednak! Ależ tu napisano: „od Kasi”! Ach, Kasiu, jak to miło! Taka jestem szczęśliwa! — i ścisnęła siostrę, płacząc z radości.

Ale cóż to za dziwny przedmiot stoi przy łóżku?

Kasia spojrzała i zrobiła wielkie oczy. Z pewnością nie było tego wieczorem. Jak się tam dostało? Była to choinka, wsadzona w czerwoną donicę zdobioną w paski, gwiazdki i krzyżyki ze złoczonego papieru, co razem wyglądało bardzo wesoło. Na gałęziach wisały pomarańcze, orzechy, błyszczące, czerwone jabłka, piłki nadziane otrębami i wianki świecących się gruszek, były także paczki obwiązane czerwoną i niebieską wstążeczką. To drzewko tak ładnie wyglądało, że Kasia wydała okrzyk podziwu.

— To dla ciebie drzewko, dlatego że jesteś chora — wołały dzieci, chcąc ją wszystkie razem ścisnąć.

— Samiśmy to zrobili — rzekł Henryś, skacząc wokół na jednej nodze. — Ja przyklepałem czarne gwiazdy do donicy!

— A ja wsypywałem otręby do piłek — wołał Filipek.

— Czy ci się to podoba? — spytała Józia, tuląc się do Kasi. — To ode mnie podarek — ten związany zieloną wstążeczką. Chciałabym, żeby był ładniejszy. Czy chcesz, żebym odwinęła?

Gdy Kasia o to poprosiła, rozmaite rzeczy wysypały się z paczek. Dzieci wkładały własnoręcznie wszystkie drobnostki i nie pozwoliły pomagać dorosłym osobom.

Od Elżbietki była ściereczka do atramentu z szarym, flanelowym kotkiem na wierzchu. Od Joasi tacka z czerwonej cyny z serwisem do herbaty dla lalki.

— Czy to nie piękne? — rzekła z uwielbieniem.

Przykro mi wyznać, że Henryś ofiarował czerwono-żółtego pająka, który kręcił się szybko za poruszeniem sznurka.

— Nie chcieli, żebym to kupił, ale kupiłem, bo mi się zdawało, że cię zabawi! Czy cię to nie bawi, Kasiu? — zapytał.

— O, i bardzo! — rzekła, śmiejąc się i mrugając oczami, gdyż Henryś ciągle przed nią obracał pająka.

— Możesz się nim bawić, jak nas tu nie ma i jak jesteś sama jedna — odezwał się Henryś wysoce zadowolony.

— Ale nie zauważyłaś, na czym stoi drzewko — odezwała się Józia.

Był to fotel bardzo duży i niezwykły, z długim wyścielonym grzbietem, kończący się stołeczkiem pod nogi.

— To podarek od papy — rzekła Józia. — Patrz, przegina się w tył, żeby tworzyć łóżko, i papa powiada, że niedługo będziesz mogła na nim leżeć przy oknie, skąd będziesz widziała, jak się bawimy.

— Doprawdy? — spytała Kasia z niedowierzaniem.

Każde wzruszenie i każdy ruch wiele jeszcze ją kosztowały.

— Przypatrz się, co ci przywiązano do poręczy fotela — rzekła Elżbietka.

Był to srebrny dzwonek z imieniem „Kasia” na rękojeści.

— Kuzynka Helena przysłała to, żebyś dzwoniła, jeśli kogoś potrzebujesz — objaśniła Elżbietka.

Było tam jeszcze więcej niespodzianek: do drugiej poręczy przywiązano piękną książkę pod tytułem: *Szeroki świat* — z napisem: „dla Kasi od kochającej ją Cesi”. Na fotelu leżała wielka paka suszonych gruszek od pani Hall, a dzieci wiedziały, że te od niej są najdoskonalsze w świecie.

— Jakże wszyscy są dobrzy! — rzekła Kasia ze łzami wdzięczności.

Było to przyjemne Boże Narodzenie, dzieci mówiły, że takiego jeszcze nigdy w życiu nie miały, a Kasia, chociaż nie mogła tego potwierdzić, cieszyła się także i była ożywiona.

Wiele tygodni upłynęło, zanim zdołała usiąść w tym fotelu, ale gdy się przyzwyczaiła, okazał się bardzo wygodny. Ciotka Iza, chcąc ją ubierać rano, przechylała go tak, żeby był na równi z łóżkiem, potem bardzo ostrożnie i powoli przesuwiała Kasię na niego. Przewożenie przez pokój zawsze było bolesne, ale jaką rozkosz sprawiało patrzenie przez okno na dzieci bawiące się w śniegu, na przechodzących ludzi, na obłoki snujące się na niebie! Ile w tym było rozkoszy, wiedzą tylko ci, co jak Kasia leżeli sześć miesięcy w łóżku, nie wyjrzawszy ani razu na świat. Z każdym dniem stawała się weselsza i pogodniejsza.

— Jaki miły był święty Mikołaj tego roku! — odezwała się jednego dnia, rozmawiając z Cesią. — Chciałabym, żeby nas jeszcze nawiedziła jakaś święta osoba, ale nie znam żadnej prócz kuzynki Heleny, która nie może przybyć.

— Nadchodzi święty Walenty — napomknęła Cesia.

— Prawda! Co za świetna myśl — zawołała Kasia, klaszcząc w ręce. — Ach, Cesiu, zróbmy coś zabawnego na ten dzień: taka dobra myśl przysła mi teraz do głowy!

Dziewczęta przysunęły się do siebie główkami i nastąpiła długa, tajemnicza narada. Jaki był jej skutek, dowiemy się później.

Walentynki przypadały w następny piątek. Gdy dzieci wróciły ze szkoły w czwartek po południu, ciotka Iza przywitała je poleceniem, żeby poszły na górę ogarnąć się trochę, gdyż Cesia przyjdzie na herbatę.

— Ależ Cesia przychodzi prawie co dzień! — zauważył Henryś, nie widząc związku między tym faktem a umyciem sobie twarzy.

— Prawda, ale dziś będziecie pić herbatę w Kasi pokoju — rzekła ciotka Iza — oto są zaproszenia, dla każdego osobne.

Istotnie, na ładniutkich karteczkach napisano, aby laskawi byli udać się do pałacu królowej Katarzyny o szóstej popołudniu. To nadało inny pozór całej sprawie. Dzieci pobiegły na górę i po krótkiej chwili, uczesane i umyte, urzędownie zapukały do drzwi „pałacu”. Jak to pięknie brzmiało!

Pokój wyglądał jasno i zachęcająco, Kasia siedziała w swoim fotelu przy ogniu, Cesia obok, a przed nimi, na okrągłym stoliku przykrytym białym obrusem stały dzbanki z mlekiem, biszkopty, konfitury z poziomek i ciastka przekładane orzechami. W środku

znajdowała się forma mrożonych ciastek w kształcie różowych literek i Józia nachyliwszy się, przeczytała głośno „Walentynki”.

— Co to znaczy? — spytał Henryś.

— Wiesz przecież, że dziś świętego Walentego, widać, że Dorota pamiętała i dlatego umieściła ten napis! — odparła Kasia.

W owej chwili nie mówiono już więcej o Walentynkach, ale skoro ostatnia różowa litera została zjedzona i uprzątnięto kolację, gdy się dzieci rozsiadły wokół ognia, zapukał ktoś głośno do drzwi.

— Kto to może być? — odezwała się Kasia. — Proszę cię, zobacz Józiu.

Gdy się otworzyły drzwi, Brygida, powstrzymując się od śmiechu, weszła z kopertą w ręku.

— List przyszedł do panny Józefy.

— *Do mnie?* — zawołała Józia z wielkim zadziwieniem. Zamknęła drzwi i położyła list na stole.

— Jakże to zabawne! — wykrzyknęła, spojrzawszy na biało-zieloną kopertę. Było w niej coś twardego. Gdy złamała pieczętkę, wypadła zielona, aksamitna poduszeczka do szpilek w kształcie liścia koniczyny z ogonkiem z drutu okręconego zielonym jedwabiem. Do poduszeczki przypięty był papier z tym wierszem:

Jedni róży zazdroszczą szkarłatów,  
Inni lubią lili prątki<sup>69</sup> wiotkie,  
Ja zaś wolę od tych świetnych kwiatów  
Skrytą w cieniu drobnutką stokrotkę.

Jednych — kruków zachwycają szpony,  
Inni lubią śnieżyste łabędzie,  
Dla mnie zawsze ulubiony  
Szaropióry, skromny wróbel będzie.

Jednym — rozkosz sprawia szmer kaskady,  
Inni lubią fontanny szemrzące,  
Mnie najmiłsze zdroju serenady,  
Co jak wstęga wiję się po łące.

Jednym miła uczona muzyka,  
Inni wolą pieśni brzmiące świetnie,  
Ja przekładam rzewny śpiew słowika,  
Smętną piosnkę lub pastuszą fletnię.

Bo nad sztukę głębiej w serce wnika  
Czar natury i jej piękność dzika.

Taki był pierwszy podarek od świętego Walentego. Józia była zupełnie oczarowana.

— Ach któż to mógł przysłać? — wykrzyknęła.

Ale zanim ktoś zdołał odpowiedzieć, znowu głośno zapukano do drzwi i wszyscy aż podskoczyli. Któż to? Znowu Brygida z listem w ręku!

— Teraz do panny Elżbiety — rzekła, wyszczerzając zęby.

Powstało ogólne zamieszanie między dziećmi i rozdarły kopertę w mgnieniu oka. W środku była pieczętka z kości słoniowej, na niej wryte imię „Elżbieta” staroświeckim angielskim pismem. Były także następujące wiersze:

Znam wesołą dziewczynkę  
Bardzo drogą mi,  
Figlarną ma minkę,  
W oczkach dobroć łśni.

<sup>69</sup>prątek — mały pręcik. [przypis edytorski]

Buzia jak makówka  
W sam rozkwitu czas,  
Mała, śliczna główka  
Dźwiga włosów las.  
Włosy złotopłowe,  
Niby zżęty kłos,  
Ustka jej różowe  
Pieszczotliwy głos.  
Sklonna do dobrego  
Myśli nie zna złej,  
Powiedzcież dlaczego  
Nie mam kochać jej!

— To zupełnie czarodziejska bajka — rzekła Elżbietka, robiąc z zadziwienia oczy wielkie jak spodki, podczas gdy Cesia czytała głośno te wiersze.

Znowu zapukano. Tym razem była pełna garść listów, dla każdego po jednym, a dla Kasi *dwa* co ją mocno zdziwiło.

— Cóż to być może? — powiedziała, ale zajrawszy do drugiego, spostrzegła pismo kuzynki Heleny i włożyła je do kieszeni, czekając, żeby *Walentynki* przeczytano najpierw.

Henrysia list otworzono najpierw: u góry znajdowało się wymalowane ciasteczko — muszę objaśnić, że Henryś był niedawno u dentysty.

Siedząc w kątku Janek mały  
Jadł ciasteczka i migdały;  
Nagle chłopcu twarz pobladła,  
Krzyknął i zaprzestał jada. —  
Matka Jasia — dobra, tkliwa,  
Krzyk słyszała, więc przybywa.  
«Co ci synku, co ci Janku,  
Że tak płaczesz bez przestanku?  
Co ci złotko? Co, kochanie?» —  
Na tak czule zapytanie,  
Wśród łez chłopiec rzekł powoli:  
«Mamo, ząb mnie bardzo boli,  
Czuję straszne klucie, rwanie,  
Ciastka zjeść nie jestem w stanie».  
Mama rzecze: «Trudna rada,  
Boleść mężnie zniesć wypada».  
Janek słuchał rad, z uporem  
Płacząc ciągle — aż wieczorem  
Ustał potok łez rzęsisty  
Na fotelu u dentysty.

Dzieci długi czas śmiały się z tego wiersza.

W kopercie Joasi była papierowa lalka, zwana Czerwonym Kapturkiem i następujący wiersz:

Piszę do ciebie tych słów kilka  
Joasiu miła,  
Byś nie sądziła  
Że mnie rozdarła paszcza wilka.  
Gdym zobaczyła straszne zwierzę,  
Krzyknęłam z trwogi.  
Wtedy wilk w nogi,  
A ja zmówiłam trzy pacierze;  
Gdyż jeśli mam się przyznać szczerze,  
Samo wspomnienie

Sprawia mi drzenie,  
Na myśl o wilku — strach mnie bierze.  
Dziś robią w domu masło świeże,  
Nie mam więc czasu  
Pobiec do lasu;  
Przy tym i babcia wciąż mnie strzeże.  
Przyjdź do nas, proszę, na wieczerzę,  
Będziesz widziała  
Żem dotąd cała,  
I że cię zawsze kocham szczerze.

Joasia była niezmiernie uradowana, bo lubiła Czerwonego Kapturka.  
Filipek otrzymał kawałek skóry w swym liście, napisanym bardzo czarnym atramentem na wielkim arkuszu niebieskiego papieru:

Raz w życiu spełniłem grzech wielki,  
Gdyś bowiem spał spokojnym snem,  
Wziąłem skórzane pantofelki  
Stojące przy łóżeczku twym.  
Dzisiaj żałując przewinienia,  
Gdy krótkotrwały minął czas,  
Pokornie błagam przebaczenia  
Za to żem ciebie okraść śmiał.  
Żeby zaś dowieść prawdziwości  
Którą mój każdy wyraz tchnie,  
Nie przetrzymuję twej własności,  
Pantofle razem z listem ślę.

— Teraz mego listu wysłuchajcie — rzekła Cesia, która cały czas udawała, że tak jest zdumiona jak inni i że jej trudno doczekać się, by Filipek dokończył. Przeczytała wreszcie głośno:

*Do Cesi*  
Powiedz mi, Cesi miła,  
Gdybyś ty ptaszkiem była,  
Co byś robiła?  
Gdybym ja była ptaszkiem  
Nie znalazłbym uwięzi,  
Siedząc w gniazdku pod daszkiem,  
Lub na wiotkiej gałęzi.  
Całowałabym różę  
I bujała w lazurze.

Powiedz mi, Cesi miła,  
Gdybyś ty rybką była,  
Co byś robiła?  
Gdy słońko żarem pali  
Żyłabym w głębi wody,  
A na powierzchni fali  
Gdy nocne przyjdą chłody,  
I kąpałabym w dzionek  
Srebrne skrzelki, ogonek.

Powiedz mi, Cesi miła,  
Gdybyś ty pszczołką była,  
Co byś robiła?

Gdybym ja była pszczołką,  
Wtedy w leśnej ustroni,  
Siałabym każde ziółko  
Pięknej barwy i woni,  
Zdobywając bez troski  
Słodki miodek i woski.

— Według mnie ten wiersz jest najładniejszy ze wszystkich — powiedziała Józia.

— Mój jest najpiękniejszy, zresztą Cesia nie dostała pieczętka — rzekła Elżbietka, bawiąc się swym podarkiem, który ciągle trzymała w rączce.

— Kasiu, ty powinnaś najpierw przeczytać swój list, ponieważ jesteś najstarsza — odezwała się Józia.

— Niewiele w nim jest, tylko to co następuje:

Biała jest konwalia, różowa stokrotka,  
Słodki jest cukierek, a ty jak on słodka.

— Jaki lichy wiersz — wykrzyknęła Elżbietka z płomiennym wzrokiem — to wstyd doprawdy, Kasiu! Tobie należał się najładniejszy.

Kasi trudno było wstrzymać się od śmiechu, tak się bowiem rzecz miała, że wiersze dla innych dzieci tyle jej czasu zabrały, iż nie zdążyła już napisać dla siebie, a bojąc się wzbudzić podejrzenie, gdyby jej nic nie przypadło, w ostatniej chwili nagryzmoła ten stary rym.

Udając zamyślenie powiedziała:

— Prawda, że nieładny, ale mniejsza o to.

— To wstyd — powtórzyła Elżbietka, pieszcząc ją dla wynagrodzenia tej niesprawiedliwości.

— Czy nie wesoły dzisiaj wieczór? — rzekła Joasia, a Henryś odpowiedział:

— Bardzo wesoły. Póki Kasia była zdrowa, nie miewaliśmy takich rozrywek, nieprawda?

Kasia usłyszała te słowa z przykrym, a zarazem rozkosznym uczuciem i pomyślała: „Zdaje mi się, że mnie dzieci trochę więcej pokochały w ostatnich czasach, ale czemuż nie umiałam być dobra dla nich, gdy mi siły i zdrowie służyły!”

Skoro wszyscy poszli spać, otworzyła kopertę od kuzynki Heleny, której musiał ktoś donieść o zamierzonej zabawie na Świętego Walentego, bo zamiast listu znalazła Kasia wiersze, kreślone jej wyraźnym, pięknym pismem, i nazajutrz objaśniła Józii, że nie pochodzą od Świętego Walentego, bo zbyt są poważne, ale tak piękne, jakich ten święty nigdy nie napisał. Józia była tego samego zdania.

Oto jakie były te wiersze:

Jak sen minęły dziecinne lata  
W pochyłym dworku, gdzie dobra matka  
Ogadywała moje życzenia.  
Wtedy mi smutek nie chmurzył czoła,  
Byłam szczęśliwa, byłam wesoła,  
Nie znając, co to gorycz cierpienia.

Odkąd zaczęłam chodzić do szkoły,  
Już mi nie obce troski, mozoły,  
Z szczęścia zostały tylko wspomnienia.  
W szkole jest ładnych panienek wiele,  
I dwaj poważni nauczyciele.  
Jeden z nich nosi nazwę cierpienia,  
A drugi słodkie miano miłości;  
Na jego twarzy wciąż uśmiech gości,  
Oko łagodnym świeci płomieniem. —

Chciałam go poznać, lecz za grymasy  
Zostałam wzięta do niższej klasy;  
Tu się musimy uczyć z cierpieniem.

Dziś za pomocą pracy, pilności  
Staram się zyskać względy miłości;  
A gdy się z czasem zupełnie zmienię,  
Mej wytrwałości wszystkim dowiodę  
I otrzymawszy pierwszą nagrodę,  
Na zawsze rzucę — brzydkie cierpienie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY. NOWA LEKCJA DO NAUCZENIA SIĘ

Długi czas upłynął, zanim dzieci przestały wspominać ze śmiechem ów wesoły wieczór. Henryś oznajmił życzenie, aby co tydzień powtarzać Walentynki.

— Czy nie przypuszczasz, że zmęczylby się święty Walenty pisaniem wierszy? — zapytała Kasia. Ale ona sama bawiła się tym żartem i wesołe wspomnienia podtrzymywały ją w długie zimowe wieczory.

Wiosna była późna tego roku, ale potem nastąpiło gorące lato. Kasi bardzo dokuczał upał, nie mogła zmieniać miejsca i od okna do okna gonić za chłodnym wietrzykiem, jak to robili inni. Długie, palące dni osłabiały ją i przegrzewały. Zwieszała głowę i zdawała się więdnąć jak kwiaty na grządkach. Gorzej jej było nawet niż kwiatkom, bo Aleksander co wieczór polewał je wodą, a jej nikt nie mógł przynieść chłodnego powietrza.

Nielatwo było zachować humor wśród tych okoliczności i nikt nie mógł potępić Kasi, że zapominając czasem o swych postanowieniach, była cierpka i grymasna. Trzeba przyznać, że nieczęsto się zapominała, ale zdarzały się dni zniechęcenia i zgnębienia. Długi rok szkolny nauczył ją panować nad sobą i w ogóle cierpliwie znosiła dolegliwości, ale nie było to w jej mocy, żeby nie chudnąć, nie blednąć. Ojciec zauważył z niepokojem, że gdy lato nastąpiło, owładnęła nią taka ociężałość, że nie mogła czytać, uczyć się ani szyc i długie godziny siedziała z założonymi rękami, z zadumą patrząc przez okno.

Ojciec próbował ją przewozić, ale ruch powozu, przenoszenie z domu i na powrót sprawiały tyle bólu, że zrezygnowała z tego. Nie było więc innej rady tylko czekać chłodniejszej pory i gdy lato minęło, cieszyli się wszyscy, którzy kochali Kasię.

Kiedy nastał wrzesień, chłodne poranki i wieczory, świeży wietrzyk, zapach sosnowych lasów i wierzchołków wzgórz, wszystko zdawało się odżywione, nawet i Kasia. Zaczęła na nowo szydełkowe robótki i czytanie, po jakimś czasie zebrała swe książki i próbowała uczyć się według rady kuzynki Heleny, ale po tylu złych tygodniach wydawało się to cięższą pracą niż przedtem. Pewnego dnia poprosiła ojca, żeby mogła brać lekcje języka francuskiego.

— Zapomnę wszystkiego, co umiałam, Józia zacznie nowy kurs, a ja nie chcę, żeby mnie tak bardzo prześcignęła. Czy myślisz papo, że pan Berger przychodziłby tu? On daje czasem lekcje po domach.

— Sądzę, że nie odmówi, gdy poprosimy — odparł doktor Carr, ciesząc się, że jakieś życie rozbudza się w Kasi.

Zawarto więc taki układ, że pan Berger przychodził dwa razy tygodniowo i siedząc przy fotelu Kasi, poprawiał jej ćwiczenia, uczył koniugacji i wymowy. Żywy ten staruszek umiał uprzyjemnić lekcję.

Pewnego dnia rzekł:

— Starsz się jeszcze bardziej niż przedtem. Jeśli tak będzie dalej, to zostaniesz moją najlepszą uczennicą. A jeżeli to stłuczenie krzyża tak cię motywuje do nauki, zdałby się taki wypadek kilku innym panienkom.

Kasia roześmiała się, ale pomimo lekcji i pana Bergera, pomimo wysiłku, żeby być wesoła i zajęta, ta druga zima cięższa była od pierwszej. Często tak bywa u chorych osób; na początku podtrzymuje je jakieś podniecenie, ale gdy miesiące miną i wszystko stanie się starą historią, gdy jeden dzień następuje po drugim, a wszystkie do siebie podobne

i wszystkie męczące — odwaga łatwo upada i ogarnia nuda. Wioska wydawała się Kasi tak daleka, daleka! Często mówiła w duchu: „Chciałabym, żeby się coś przydarzyło” i coś miało się przydarzyć, ale nie zgadywała co.

— Kasiu — rzekła Józia, wchodząc pewnego dnia w listopadzie do jej pokoju. — Czy nie wiesz, gdzie jest kamfora? Ciotkę Izę głowa *tak* boli.

— Nie wiem, ale poczekaj, Józiu, zdaje mi się, że Dorota przychodziła po nią w tym tygodniu, poszukaj w jej pokoju, to może znajdziesz.

„Jakie to dziwne! — myślała po odejściu Józii. — Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby ciotkę Izę bolała głowa”.

— Jak się ma ciotka? — zapytała ojca, gdy przyszedł w południe.

— Sam nie wiem, ma trochę gorączki i przykry ból głowy. Powiedziałem jej, żeby leżała spokojnie i nie próbowała podnieść się wieczorem. Stara Marianna przyjdzie cię rozebrać, Kasiu. Nie zależy ci na tym, prawda, moja droga?

— Nie — odrzekła Kasia z przymusem, ale zależało jej, bo ciotka Iza tak dobrze знаła jej potrzeby i wymagania, iż nikt jej nie umiał tak dogodzić.

— Tak dziwnie jest uczyć się każdego drobiazgu — odezwała się do Józii dosyć szorstko.

Jeszcze się dziwniej było, gdy minął drugi i trzeci dzień, i kolejne, a ciotka Iza nie przychodziła. Dobre rzeczy zyskują na wartości, gdy ustają, a Kasia po raz pierwszy zaczęła rozumieć, jak bardzo nauczyła się polegać na ciotce Izie, dlatego też strasznie tęskniła.

— Kiedyż ciotka Iza wyzdrowieje? — zapytywała ojca. — Tak mi jej brak.

— Wszystkim nam jej brak — odrzekł doktor Carr z niepokojem i pomieszaniami na twarzy.

— Czy bardzo jest chora? — spytała Kasia, bo uderzył ją smutek na twarzy ojca.

— Tak mi się zdaje — odparł — i zatrudnię pielęgniarkę, żeby się nią opiekowała.

Okazało się, że ciotka Iza ma tyfus<sup>70</sup>. Doktorzy powiedzieli, że w domu powinno być cicho, odesłano więc Joasię, Henrysia i Filipka do pani Hall; Elżbietka i Józia miały się także tam przenieść, ale tak usilnie prosiły, tak obiecywały sprawować się dobrze, iż wreszcie ojciec pozwolił im pozostać. Drogie te istotki chodziły po domu na palcach, cicho jak myszki, szepcząc między sobą i pielęgnując Kasię, która czułaby się dosyć osamotniona, gdyby nie one, bo wszyscy byli zajęci ciotką Izą.

Był to czas pomieszania i smutku. Dziewczęta niewiele wiedziały o chorobie, ale posępna twarz ojca, cisza panująca w domu, gnębiły je, a przy tym bardzo tęskniły do dzieci.

— Ach, Boże! — wzdychała Elżbietka. — Jakże bym chciała, żeby ciotka Iza szybko wróciła do zdrowia!

— Będziemy dla niej bardzo dobre, jak wyzdrowieje, nieprawdaż? — rzekła Józia. — Już nigdy nie wstawię zabrudzonych bucików w pudło od kapeluszy, bo nie lubi tego, i co wieczór będę chowała wszystkie nasze zabawki.

— Ja także, jak tylko wyzdrowieje — dodała Elżbietka.

Żadnej z nich nie przyszło na myśl, że ciotka Iza może nigdy nie wyzdrowieje. Dzieci skłonne są myśleć, że dorosłe osoby są tak silne, że nie może im się nic przytrafić.

Kasia była bardziej niespokojna, lecz nie rozumiała jeszcze niebezpieczeństwa, było to więc dla niej nagłym i gwałtownym ciosem, gdy obudziwszy się pewnego ranka, spostrzegła, że stara Marianna płacze po cichu przy jej łóżku, zakrywając oczy fartuszkciem. Ciotka Iza umarła w nocy!

Daremne były wszystkie ich dobre, pełne skruchy, myśli o niej — zamiary przypodobania się, słuchania jej życzeń i oszczędzania trosk. Po raz pierwszy te trzy dziewczynki, szlochając w swoich objęciach, zrozumiały, jak życzliwa im była ciotka Iza. Jej męczące obejście poszło w zapomnienie, pamiętały tylko, ile dobrego im świadczyła od samego ich dzieciństwa. Jakże im było żal, że ją dręczyły i w ostrych słowach mówiły o niej między sobą. Ale na nic się zdało to ubolewanie!

„Cóż my będziemy robić bez ciotki Izy?” — myślała Kasia, płacząc wieczorem przed usnięciem. To pytanie ciągle ją prześladowało, gdy odbył się pogrzeb, a dzieci wróciły od pani Hall i zaczęły żyć po swojemu.

<sup>70</sup>*tyfus* — zakaźna choroba układu pokarmowego, na którą dawniej nie było lekarstwa. [przypis edytorski]

Przez kilka dni prawie wcale nie widywała ojca. Józia mówiła jej, że się wydaje bardzo zmęczony i rzadko się odzywa.

— Czy papa jadł coś na obiad? — spytała Kasia pewnego popołudnia.

— Niewiele: mówił, że nie głodny, a chłopiec pani Jackson przyszedł po niego, zanim skończyliśmy jeść.

— O mój Boże! — westchnęła Kasia. — Mam nadzieję, że *on* przynajmniej nie zachoruje. Jaki deszcz pada! Józiu, chciałabym, żebyś zbiegła na dół i przyniosła pantofle papy do wygrzania przy ogniu. Poproś także Dorotę o grzanki z masłem do herbaty, papa lubi grzanki z masłem.

Po herbacie doktor Carr poszedł na górę, żeby posiedzieć trochę w pokoju Kasi. Często mu się to zdarzało, ale po śmierci ciotki Izy dopiero pierwszy raz.

Kasia spoglądała na niego niespokojnie. Zdawało jej się, że postarzał się w ostatnich czasach i miał tak smutną twarz, że aż ją serce bolało. Pragnęła uczynić coś dla niego, a nie mogąc nic innego, roznieciła przynajmniej ogień, żeby się jaśniej palił, potem wzięła rękę ojca i uściśnęła mile. Nie było to wiele zapewne, ale sprawiła mu przyjemność.

— Co robiłaś cały dzień? — zapytał.

— Nic wielkiego: uczyłam się rano francuskiego, a po szkole Elżbietka i Joasia przyszły tu z robotą, oto wszystko.

— Myślałem nad tym, jak sobie poradzimy z prowadzeniem domu — rzekł doktor Carr. — Ma się rozumieć, że trzeba zatrudnić kogoś, ale niełatwo znaleźć odpowiednią osobę. Pani Hall wie o jakiejś, która mogłaby się nadać, lecz wyjechała właśnie na zachód i dopiero za tydzień lub dwa możemy mieć od niej wiadomość. Czy sądzisz, że możecie tak pozostać kilkanaście dni?

— Ach, papo! — wykrzyknęła Kasia ze smutkiem. — Czy koniecznie musimy mieć kogoś obcego?

— Jakże byś chciała inaczej? Józia jest za młoda na gospodynię, zresztą cały dzień jest w szkole.

— Nie wiem, bo nigdy o tym nie myślałam — rzekła Kasia z zakłopotaniem.

Ale odtąd zajmowało to jej umysł cały wieczór i rano, gdy się tylko przebudziła.

— Papo! — odezwała się, będąc z nim sam na sam. — Myślałam o tym, co mówiłeś wczoraj wieczorem, wiesz, o przyjęciu kogoś do prowadzenia domu i chciałabym, żebyś tego nie robił. Pozwól, żebym ja spróbowała: doprawdy zdaje mi się, że poradzę sobie.

— Ale jakże? — zapytał doktor Carr bardzo zadziwiony. — Nie widzę sposobu. Gdybyś miała zdrowie i siły, może, ale nawet wówczas byłabyś za młoda na takie obowiązki.

— Za dwa tygodnie skończę czternaście lat — rzekła, prostując się, o ile tylko mogła w fotelu. — Zresztą gdybym *była* zdrowa, chodziłabym do szkoły, a tym samym nie mogłabym się tego podjąć. Po całodziennym rozmyślaniu ułożyłam sobie taki plan: Dorota i Brygida są u nas od tak dawna, że doskonale poznały sposób gospodarowania ciotki Izy, a tak dobre z nich kobiety, że tylko niekiedy trzeba powiedzieć im słówko. Dlaczego więc nie mogłyby do mnie przychodzić w razie potrzeby, żebym ja nie schodziła na dół? Józia i stara Marianna będą doglądać i pilnować, czy wszystko dobrze idzie, a papa wybaczy, jeżeli z początku pójdzie trochę krzywo, nieprawda? Bo wszakże ja się będę ciągle przyuczała. Pozwól mi spróbować! Doprawdy będzie mi tak miło mieć się czym zająć, gdy siedzę tu sama. I okaże się to daleko lepsze niż wprowadzanie obcej osoby nieznającej naszych dzieci ani całego domu. Jestem pewna, że mnie to uczyni szczęśliwszą. Proszę cię, papo, powiedz: „dobrze”, proszę cię!

— To za wiele dla ciebie, za wiele! — odparł doktor Carr, ale niełatwo było oprzeć się prośbom Kasi. Po chwili rzekł zatem:

— Możesz spróbować, moja droga, chociaż wątpię o skutku tej próby. Powiem pani Hall, żeby poczekała miesiąc z napisaniem do tej osoby, a potem zobaczymy.

— Biedne dziecko! Niech cokolwiek robi, aby się tylko oderwała od myśli o sobie — szeptał, schodząc ze schodów — za miesiąc chętnie się tego wyrzeknie.

Ale pomylił się, gdyż po upływie miesiąca Kasia pragnęła próbować dalej; powiedział więc:

— Bardzo dobrze, możemy próbować do wiosny.

Było to mniej trudne dzieło, niż sobie wyobrażał: Kasia miała dużo wolnego czasu do myślenia nad każdą rzeczą, a dzieci siedziały w szkole cały dzień — mogła więc urządzać sobie godziny według planu i trzymać się ich stale, a to jest wielką pomocą dla gospodyni.

Przy tym służące tak się wciągnęły w regularne i punktualne rządy panny Izy, że się zdawało, iż gospodarstwo samo idzie. Kasia słusznie mówiła, że dosyć im powiedzieć niekiedy słówko.

Zaraz po śniadaniu, po umyciu i wyniesieniu naczyń, Dorota przywiązywała czysty fartuszek i szła na górę po rozkazy. Z początku bardzo to bawiło Kasię, ale gdy już zadysonowała niejednym obiadem, zaczęło ją to męczyć. Dotąd widywała potrawy już gotowe, nie mając zatem doświadczenia, nie umiała ich urozmaicać.

— Niech no sobie przypomnę: pieczeń wołowa, udo baranie, potrawa z kurcząt. Doroto, może lepiej, żebyś upiekła kurczęta. Ach Boże! Żeby też ktoś wymyślił nowe zwierzę! Nie mogę pojąć, gdzie się podziały wszystkie rzeczy do jedzenia!

Posyłała po książki z przepisami, jakie tylko były w domu i przerzucała je godzinami, w końcu tak straciła apetyt, jakby po przełknięciu dwudziestu obiadów. Biedna Dorota nauczyła się lękać tych książek. Stała przy drzwiach, wykrzywiając swą pocziwą, czerwoną twarz, podczas gdy Kasia czytała głośno kolejny niepraktyczny przepis.

— To się zdaje doskonale, Doroto, chciałabym, żebyś spróbowała. Weź garniec ostryg, kwartę siekanej wołowiny, sok z dwóch cytryn, cztery cebule, szklankę wina białego, garstkę macierzanki, garstkę szczypiorku, garstkę suszonych jagód, pokrajaną szalotkę...

— Proszę panny Katarzyny, i cóż z tego będzie?

— Jak to, nie wiesz? Musi to być zupełnie zwyczajna potrawa, bo się znajduje we wszystkich prawie przepisach.

— Nie, panno Katarzyno, nigdy jeszcze o tym nie słyszałam. Panna Carr nie dysponowała mi ślimaków, wcale a wcale!

— Boże mój! Jakież to drażniące! — Kasi zbierało się na płacz i szarpała kartkami w książce. — A więc musimy spróbować czegoś innego.

Biedna Dorota! Gdyby nie kochała tak serdecznie Kasi, sądziłaby wszelką cierpliwość, ale znosiła te próby łagodnie i czasem tylko pomrukiwała przed Brygidą. Doktor Carr był zmuszony jadać różne dziwaczne rzeczy, ale nie zważał na to, a dla dzieci pora obiadowa stała się ciekawa, bo nigdy nie mogły odgadnąć, co jest na stole. Henryś grał tam rolę doktora Livingstona<sup>71</sup> w dżunglii dziwacznych artykułów żywieniowych i zazwyczaj robił pierwszą próbę, a gdy pochwalili, inni szli za jego przykładem.

Po jakimś czasie Kasia nabrała doświadczenia i przestała dręczyć Dorotę próbami nowych dań. Wrócili do prostych potraw pieczonych i gotowanych, i wszystkim lepiej z tym było. Niebawem zaczął się jednak inny szereg doświadczeń, wpadła jej bowiem w rękę książka „o żołądku” — skutkiem czego ogarnął ją szal zdrowych pokarmów. Prosiła Józię i inne dzieci, żeby zarzuciły cukier, masło, sos do budyniu, ciastka, paszteciki i prawie wszystko, co lubiły. Ryż gotowany wydawał jej się najrozsądniejszą leguminą i raczyła ich nią tak długo, że na koniec Joasia i Henryś uknuli spisek, a doktor Carr był zmuszony wdać się w tę rzecz.

— Moja droga, przesadasz nieznośnie — rzekł, gdy Kasia otworzyła książkę, by się wytłumaczyć ze swych poglądów. — Ciesz mi to, że dzieci jadają zdrowe pokarmy, ale doprawdy lykac gotowany ryż pięć razy na tydzień, to za często.

Kasia poddała się z westchnieniem. Gdy nastala wiosna, ogarnęła ją znów przesadna troskliwość i ciągle posyłała Józię na dół, żeby zapytać Dorotę, czy się chleb nie przypalił albo czy marynaty nie fermentują w słojach. Męczyła też dzieci, żeby nosiły grube obuwie i ciepłe odzienie, i miała zupełnie taką minę, jak gdyby troski całego świata spoczywały na jej ramionach.

Były to naturalne błędy osoby początkującej. Kasia miała zbyt wiele gorliwości, żeby się nie poprawić. Z każdym miesiącem gospodarowała lepiej i lepiej, zajęcia szły gładziej i przestały ją gorączkować. Doktor Carr, widząc, że się jej twarz i ruchy coraz bardziej ożywiają, poznał, że próba się powiodła. Już nie wspomniano o „kimś innym” — a Kasia, siedząc na górze w swym wielkim fotelu, mocno trzymała w rękach rządy w całym domu.

<sup>71</sup>doktor Livingstone — David Livingstone, znany dziewiętnastowieczny lekarz, misjonarz i podróżnik, odkrywca wielu niezbadanych terenów Afryki. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ DWUNASTY. DWA LATA PÓŹNIEJ

Był to przyjemny, czerwcowy poranek: ciepły wietrzyk poruszał gęsto pokryte na wpeł rozwiniętym liściem drzewa, które wyglądały jak zielone fontanny rzucone wysoko w powietrze. U doktora Carr frontowe drzwi były na oścież otwarte, z okna bawialnego pokoju dochodziły ćwiczenia fortepianowe, a na progu, pod rozwijającymi się różami siedziała niewielka osóbką gorliwie zajęta szyciem.

Była to Józia, ciągle mała, chociaż minęły dwa lata, odkąd widzieliśmy ją ostatni raz, i miała teraz lat czternaście. Nigdy nie zapowiadało się, że Józia będzie wysoka. Oczy jej były tak niebieskie i słodkie jak przedtem, a okrągłe jak jabłuszka policzki nie straciły różowej barwy, ale ciemne warkocze upinała już w okrągły węzeł i dziecinna twarzyczka przybrała prawie kobiecy wyraz. Stara Marianna utrzymywała, że panna Józefa wyszła na dorosłą pannę, a „panna Józefa” dobrze o tym wiedząc, szczerze się cieszyła. Radowało ją zaczesywanie włosów w górę i pilnowała, żeby suknie sięgały aż do samych bucików. Nosiała wąskie kołnierzyki zamiast frędzli, a mankietki spinała na ładne guziczki, nade wszystko ulubione, jako dar od kuzynki Heleny. Ojciec mówił, iż jest pewien, że je bierze z sobą do łóżka; był to żart, ma się rozumieć, chociaż w dzień nie można jej było widzieć bez nich. Często spoglądała na te ukochane guziki, szyjąc, a nawet od czasu do czasu kładła robotę, żeby je posunąć w lepsze miejsce albo z upodobaniem pogłaskać je palcem.

Wkrótce otworzyła się boczna furtka i spoza domu wyszedł Filipek. Wyrósł on na dużego chłopca: jego ładne, dziecinne loczki były obcięte i zamiast sukienek<sup>72</sup> nosił kurtkę i spodniki. Trzymał coś w ręku, ale Józia nie mogła dojrzeć, co to za przedmiot.

— Co to jest? — zapytała, gdy się zbliżył.

— Idę na górę spytać się Kasi, czy to już dojrzałe — odpowiedział, pokazując kilka gron, trochę zarumienionych.

— Naturalnie, że niedojrzałe — odezwała się Józia, biorąc jedną jagodę do ust. — Czy nie poznajesz po smaku? Są zupełnie zielone.

— Mniejsza o to, jeżeli Kasia powie, że dojrzałe, to je zjem — odrzekł stanowczo i wszedł do domu.

— Czego chciał Filipek? — spytała Elżbietka, otwierając drzwi od bawialnego pokoju, gdy brat szedł na górę.

— Pytał się o winogrona, czy są dojrzałe do zjedzenia.

— Jaki on dziwny teraz z tym zapytywaniem, boi się drugiej dozy soli — rzekła Elżbietka.

— Tak mi się zdaje — odparła Józia ze śmiechem.

— Joasia mówi, że jeszcze nigdy w życiu nie była tak przestraszona, jak wówczas, gdy papa ich zawołał i zobaczyli, że stoi z flaszką w jednej ręce, a z łyżką w drugiej.

— Tak — mówiła dalej Elżbietka — i wiesz, że Henryś trzymał długo lekarstwo w ustach, a potem poszedł za róg domu i wypluł je! Papa powiedział, że miał wielką ochotę, żeby dać mu drugą łyżkę, ale sobie przypomniał, że on daleko dłużej miał zły smak od innych dzieci, więc dał mu spokój. Mnie się zdaje, że to była *straszna* kara, a ty jak myślisz?

— Prawda, ale zarazem pożyteczna, bo żadne nie tknęło już zielonych porzeczek. Czy skończyłaś już swoje ćwiczenia? Ale jeszcze chyba nie upłynęła godzina?

— O, jeszcze nie, tylko dwadzieścia pięć minut, ale Kasia mówiła, żeby nie siedzieć dłużej niż pół godziny, a potem przelecieć się i znów wrócić. Poszłam dwa razy do bramy i dwa razy na powrót, bo jej obiecałam, że tak zrobię. — I znowu pobiegła, przerzucając żywo rękę to przed siebie, to w tył.

— Cóż to robi Brygida w pokoju papy? — zapytała, wróciwszy po raz drugi.

— Wytrzępuje rzeczy przez okno. Czy tam są służące? Zdawało mi się, że czyszczą jadalny pokój.

— Jeden i drugi razem porządkują, bo Kasia mówi, że dobrze się stało, iż papa wyszedł i będzie można zdjąć oba dywany. Dziś nie będzie obiadu, tylko chleb z masłem, mleko i szynka; podadzą nam to w Kasi pokoju, dlatego że Dorota także pomaga w robocie,

<sup>72</sup>zamiast sukienek — dawniej małe dzieci, niezależnie od płci, nosiły sukienki. [przypis edytorski]

żeby wszystko skończyć i uwolnić papę od zamętu. Kasia robi papie nowy wierzch na poduszeczkę od szpilek, a ja obrębiam do niego falbankę — rzekła, pokazując robótkę.

— Jak ładnie obrębiasz! — powiedziała Elżbietka. — Ja także chciałabym coś zrobić do papy pokoju. Mam patarałki<sup>73</sup> do umywalni, ale jedna, od talerzyka z mydłem, nie-skończona. Czy myślisz, że zrobiłabym ją, gdyby mnie Kasia uwolniła już od ćwiczeń? Mam wielką ochotę poprosić ją o to.

— Kasia woła! — rzekła Józia, gdy się dzwonek odezwał na górze. — Jeżeli chcesz, to do niej pójde.

— Nie, sama pójde i zobaczę zaraz, czego jej trzeba. — Ale Józia już była w połowie sieni, więc obie pobiegły. Często bywały małe starcia między nimi, bo każda chciała śpieszyć na głos dzwonka. Tak lubiły służyć siostrze!

Kasia spotkała je przy drzwiach: nie stała na nogach, bo to niestety było jeszcze zupełnie niemożliwe, ale siedziała w fotelu na kółkach, w którym jeździła po pokoju. Była to dla niej wielka wygoda, mogła się bowiem krzątać i otwierać szuflady, nie trudząc nikogo. Od niedawna dopiero mogła korzystać z tego fotela i doktor Carr uważał to za dobry znak, ale nie mówił Kasi, przyzwyczaiła się już do niepełnosprawności i była wesoła, zdawało się więc nierozsądkiem karmić ją niepewną nadzieją.

Przyjęła dziewczęta pogodnym uśmiechem i rzekła:

— Józiu, na ciebie dzwoniłam. Boję się, że Brygida przewraca wszystko na stole u papy, a wiesz, jak on nie lubi, żeby czegoś tam dotykać. Bądź łaskawa powiedzieć, żeby nic nie ruszała, a jak położą dywan, idź sama wytrzeć z kurzu stół, żeby wszystko było z pewnością na swoim miejscu. Zrobisz to?

— Ma się rozumieć — odrzekła Józia, która była gosposią z powołania i szczerze lubiła służyć Kasi za pierwszego ministra.

— Czy mam ci stamtąd przynieść poduszeczkę do szpilek?

— Proszę cię, bo chciałabym ją wymierzyć.

— Kasiu — odezwała się Elżbietka — moje patarałki są prawie gotowe, chciałabym je tylko wykończyć i położyć na umywalni papy, zanim wróci. Czy mogę przerwać ćwiczenia i przynieść sobie robotę?

— Jeżeli będzie dosyć czasu do wyuczenia się ich, zanim przyjdzie panna Phillips.

— Zdaje mi się, że aż nadto, bo się jej spodziewam dopiero w piątek.

— W takim razie sądzę, że nie ma przeszkody, ale droga Elżbietko, pobiegnij najpierw do pokoju papy i przynieś mi szufladę ze stołu, bo ją chcę sama uporządkować.

Elżbietka pobiegła i wróciła wesoło. Postawiła szufladę na kolanach u Kasi, która zajęła się zaraz odkurzaniem i układaniem.

— Masz poduszeczkę, a teraz będziemy miały wolną chwilę dla siebie, nieprawdaż? Lubię dni, w które nam nikt nie przeszkadza.

Właśnie gdy kończyła to mówić, zapukał ktoś do drzwi.

— Proszę wejść — zawołała Kasia i wszedł duży, barczysty chłopiec z poważną i rozumną twarzą, niosąc ostrożnie zegar w obu rękach.

Był to Henryś: wyrósł, dojrzał bardzo od czasu, kiedy go ostatni raz widzieliśmy, i przejawiał różne zdolności, zwłaszcza do matematyki.

— Oto twój zegar, Kasiu, starałem się tak go nastawić, żeby dobrze bił, ale musisz być ostrożna i nie uderzyć młoteczka, poruszając wahadłem.

— Doprawdy, zrobiłeś to? Ależ Henrysiu, jesteś geniuszem! Zawsze ci tak dużo zadzięczam!

— Teraz jest cztery minuty do jedenastej — objaśniał Henryś — będzie zatem nie-długo bił. Sądzę, że lepiej, żebym tu został posłuchać, czy dobrze nastawiony — i dodał grzecznie — chyba, że jesteś zajęta i wołałabyś, żebym odszedł.

— Nigdy nie jestem tak zajęta, żeby ciebie nie chcieć przy sobie, mój stary chłopcze — powiedziała Kasia, kładąc rękę na jego ramieniu. — Szuflada już w porządku, czy nie chciałbyś jej zanieść do papy pokoju i wsunąć na miejsce? Masz silniejsze ręce od Elżbietki.

Henryś poszedł z uradowaną miną, a gdy wrócił, właśnie zaczął bić zegar.

— A co? Doskonale, nieprawda? — wykrzyknął.

<sup>73</sup>patarałki — serwetki. [przypis edytorski]

Ale niestety! Zegar nie zatrzymał się na jedenastce, bił dalej dwunastą, trzynastą, czternastą, piętnastą, szesnastą!

— Boże mój! — rzekła Józia. — Co to wszystko znaczy? Musi już być przynajmniej pojutrze!

Henryś patrzył z otwartymi ustami na zegar, który ciągle bił, jak gdyby chciał sobie boki rozsadzić. Elżbietka rachowała<sup>74</sup> bez ustanku, zanosząc się od śmiechu.

— Trzydzieści, trzydzieści jeden... ach, Henrysiu, trzydzieści dwa, trzydzieści trzy, trzydzieści cztery!

— Rzuciłeś na niego czary, Henrysiu! — rzekła Kasia nie mniej rozweselona od nich.

Zaczęli wszyscy rachować. Henryś porwał zegarek — wstrząsał nim, pukał weń, przewrócił do góry dnem, ale ostre i silne dźwięki nie ustawały, jak gdyby zegar wszedłszy raz na swą drogę, nie chciał z niej zejść, póki się nie zmęczy. Nareszcie, gdy wybił sto trzydziesty raz, zamilkł nagle — a Henryś z zaczerwienioną i zdumioną twarzą patrzył na śmiejące się siostry.

— To bardzo dziwne — rzekł — ale jestem pewien, że niczym się do tego nie przyczyniłem. Mogę nastawić go jeszcze raz, jeżeli pozwolisz spróbować. Dobrze Kasiu? Przyrzekam nie zepsuć.

Kasia wahała się chwilę, a Józia, ciągnąc ją za rękaw, szepnęła: „Nie dawaj” — ale widząc zasmuconą twarz Henrysia, rozmyśliła się.

— Dobrze, weź go, Henrysiu. Jestem pewna, że będziesz ostrożny, ale gdybym ja była na twoim miejscu, zaniósłabym go przede wszystkim do Wetherellów i rozmówiłabym się z nimi. Zarazem mógłbyś go nastawić jak należy. Czy nie jesteś mego zdania?

— Może być — rzekł Henryś — zdaje mi się, że tak zrobię.

I poszedł z zegarkiem pod pachą, a Józia żartobliwie za nim wołała:

— Śniadanie o godzinie sto trzydziestej drugiej! Pamiętaj!

— Nie zapomnę! — odparł Henryś. Dwa lata przedtem nie zniósłby tak spokojnie, żeby się ktoś śmiał z niego.

— Jakżeś ty mogła pozwolić, żeby znowu zabrał ten zegarek? — powiedziała Józia, gdy się drzwi zamknęły. — On go zepsuje, a tak go lubisz!

— Zdawało mi się, że go bardzo upokorzę, gdy nie pozwolę mu spróbować jeszcze raz — odpowiedziała Kasia spokojnie. — Nie przypuszczam, żeby go zepsuł, przy tym pomocnik Wetherella bardzo kocha Henrysia, więc mu pokaże, co zrobić.

— Okazałaś się bardzo dobra — odparła Józia — ale gdyby to był mój zegarek, wątpię, czy bym go dała.

W tej chwili otworzyły się drzwi i Joasia wpadła, o dwa lata wprawdzie większa, ale poza tym zupełnie taka, jak była.

— Ach, Kasiu! Bądź łaskawa powiedzieć, żeby Filipiek nie mył kurcząt w beczce od wody deszczowej, wrzucił tam wszystkie kurczęta Specklesowej, a teraz zaczyna wpuszczać te od pani Durden. Boję się, że jedno żółte już nie żyje.

— Naturalnie, że nie powinien tego robić! — rzekła Kasia. — Skąd mu taka myśl przyszła do głowy?

— Powiada, że są brudne, bo dopiero co wyszły z jajek! I upiera się, że to żółte, co na nich jest, to żółtko od jaja. Mówiłam, że się myli, ale nie chciał słuchać. — I Joasia załamała rączki.

— Józiu! — zawołała Kasia. — Czy nie pobiegłabyś na dół, żeby mi przyprowadzić Filipka? Ale mów z nim łagodnie, rozumiesz.

— Ja także mówiłam łagodnie, zupełnie łagodnie, ale to nic nie pomogło — rzekła Joasia, na której krzywdą kurczątek widocznie sprawiła głębokie wrażenie.

— Jaki się figlarz robi z tego Filipka — rzekła Elżbietka.

— Z figlarzy wyrastają dobrzy i porządni ludzie — odpowiedziała Kasia.

Po chwili przyszedł Filipiek wraz z Józią. Miał trochę wyzywającą minę, ale Kasia wiedziała, jak z nim rozmawiać. Posadziła go na kolanach, co niezmiernie lubił, chociaż wyrósł na dużego chłopca, i mówiła tak serdecznie o biednych, drżących kurczątkach, że mu serce zupełnie zmiękło.

<sup>74</sup>rachować — liczyć. [przypis edytorski]

— Ja nie chciałem im zrobić krzywdy, doprawdy! — rzekł. — Ale wszystkie były brudne i żółte od jajka, rozumiesz, więc myślałem, że będziesz zadowolona, jak je oczyszczę.

— To nie było jajko Filipku, tylko czystiutkie piórka jak w skrzydełkach kanarków.

— Czy tak?

— Ależ tak, a teraz kurczątkom zimno, przykro, i tobie by tak było, jakbyś wpadł w staw, a nikt by ci nie podał suchego ubrania. Czy nie chciałbyś pójść je ogrzać?

— Jakże?

— W rączkach, bardzo ostrożnie, a potem puściłbyś je na słońce, żeby polatały.

— Dobrze — powiedział, zsuwając się z jej kolan — tylko pocałuj mnie najpierw, bo ja nie chciałem im zrobić nic złego, ty wiesz! — Filipek bardzo był przywiązany do Kasi i panna Pettingill mówiła, że to zadziwiająca rzecz, jak się to dziecko daje prowadzić. Zdaje mi się, że w tym leżała tajemnica, iż Kasia nie „prowadziła”, tylko starała się zawsze być dobra, kochająca i szanować jego uczucia.

Zaledwie ucichły buty Filipka na schodach, stara Marianna z niezadowoloną miną wsunęła we drzwi głowę, mówiąc:

— Panno Katarzyno, chciałabym, żeby *pani* powiedziała Aleksandrowi, że ma uporządkować drwalnię. Chyba nie wie pani, co się tam dzieje!

— Zapewne, że nie wiem — odrzekła Kasia z uśmiechem, ale potem wymknęło jej się westchnienie, bo nie widziała drwalni od owego dnia, kiedy spadła z huśtawki. — Bądź spokojna, powiem Aleksandrowi i wszystko tam uporządkuje.

Marianna odeszła zadowolona, ale kilka minut później wróciła, mówiąc:

— Jakiś człowiek przyszedł z pudełkiem mydła, panno Katarzyno, i oto rachunek.

Zabrało to Kasi trochę czasu, zanim znalazła woreczek z pieniędzmi, ołówek i książkę rachunkową. Elżbietka musiała odstąpić swego miejsca przy stole.

— Ach Boże mój! — rzekła — chciałabym, żeby nam już nikt nie przeszkadzał. Ciekawe, kto teraz przyjdzie?

Niedługo trwała jej ciekawość, gdyż prawie nie dokończyła jeszcze mówić, kiedy znowu zapukano do drzwi.

— Czy można? — zapytał jakiś głos. Wśród szelestu spódnic i tupania obcasów weszła pompatycznie Imogena Clark. Kasia nie mogła jej poznać na początku, bo się nie widziały od dwóch lat.

— Zastałam drzwi otwarte — tłumaczyła się Imogena krzykliwym głosem — i ponieważ zdawało mi się, że nikt nie usłyszał mego dzwonka, odważyłam się przyjść prosto na górę. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

— Bynajmniej — grzecznie odrzekła Kasia — droga Elżbietko, podaj to niskie krzeselko. Usiądź Imogeno. Przykro mi, że nikt nie wyszedł, gdyś zadzwoniła, ale służące porządkują dziś mieszkanie, więc przypuszczam, że nie usłyszały.

Imogena usiadła i według swego zwyczaju zaczęła krzykliwie mówić, Elżbietka zaś, zza fotela Kasi, robiła przegląd jej stroju. Miała suknię z taniego materiału, ale zrobioną bardzo świetnie i suto, z falbanami i bufami, przy tym naszyjnik dżetowy<sup>75</sup> i długie, czarne kolczyki, które szeleściły i brzęczały za każdym poruszeniem głowy. Nosiła też owe loczki okrągłe, przylepione do skroni, a Elżbietka była zaciekawiona, co je przytrzymuje.

Powoli wydała się przyczyna jej odwiedzin: oto przyszła z pożegnaniem, państwo Clark wracali bowiem do Jacksonville.

— Czy widziałaś kiedyś rozbójnika? — zapytała Józia, która zapamiętała tę szczególną historię opowiadaną w bawialnym pokoju.

— I nieraz — odparła Imogena — odbieram także często listy, a jak pięknie pisze! Żałuję, że nie mam jednego przy sobie, przeczytałabym wam kawałek i wiem, że znalazłybyście w tym wielką przyjemność. Zaczekajcie, może mam w kieszeni. — Zanurzywszy rękę, szczególnym trafem znalazła od razu, a Józia nie mogła się wstrzymać od podejrzenia, że dobrze o nim wiedziała.

Ten rozbójnik zdawał się mieć śmiałe, czarne pismo, co się zaś tyczy papieru i koperty, to były zupełnie takie jak u wszystkich ludzi, ale może wpadł mu w ręce sprzedawca materiałów piśmiennych.

<sup>75</sup>dżetowy — błyszczący. [przypis edytorski]

— Może coś znajdę — rzekła Imogena, przebiegając całą stronicę. — Uwielbiona Imogeno.... *to* nie zajęłoby was... hm, hm, hm... aa, tu coś jest. Byłem na obiedzie w Rock House na Boże Narodzenie. Smutno było bez ciebie. Jadłem pieczonego indyka, pieczoną gęś, pieczoną wołowinę, nadziewane paszteciki, budyń ze śliwkami, orzechy i rodzynki. Bardzo dobry obiad, nieprawda? Ale nic nie smakuje, gdy nie mamy koło siebie drogich nam osób.

Kasia i Józia spoglądały ze zdumieniem. Takież to słowa pisze rozbójnik?

— Jaś Billings kupił nowego konia — czytała dalej Imogena — hm, hm, hm, hm. Nie sądzę, żeby was tu mogło coś zaciekawić. Ach prawda! Właśnie, na samym końcu jest wierszyk.

— Jakie to milutkie, nieprawdaż?

— Czy on się poprawił? Tak by się zdawało z listu — powiedziała Józia.

— Czy się poprawił? — wykrzyknęła Imogena, brząkając kolczykami. — On był zawsze najlepszym, jakim tylko być można!

Nie było co odpowiedzieć. Kasia uczuła, że jej usta drgają ze strachu, że się okaże niegrzeczna i wybuchnie głośnym śmiechem, zaczęła jak najprędzej mówić o czymś innym. Cały ten czas oceniała Imogenę i pytała siebie: „Czy to być może, żebym ją kiedyś lubiła? Jakie to dziwnie! Jakim też papa jest rozumnym człowiekiem!”.

Zabawiwszy pół godziny, Imogena pożegnała się.

— Wcale się nawet nie spytała o twoje zdrowie! — wykrzyknęła z oburzeniem Elżbietka. — Dobrze uważałam, że się nie spytała ani razu.

— Pewno zapomniała, zresztą o niej mówiłyśmy, nie o mnie — odparła Kasia.

Mała ta gromadka zabrała się znowu do swych zajęć; tym razem minęło pół godziny, a nikt nie przeszkodził. Nareszcie odezwał się dzwonek i Brygida ukazała się na górze z jakąś zmieszaną twarzą, mówiąc:

— Panno Katarzyno, to stara pani Worrett, musiała przyjść na cały dzień, bo ma worek z sobą. Cóż jej mam powiedzieć?

— Ach Boże! — odezwała się Kasia niechętnie — Jakie to nieszczęście! Cóż my zrobimy?

Pani Worrett była to stara przyjaciółka ciotki Izy, mieszkała na wsi około sześciu mil od Burnet. Ile razy sprowadzały ją do miasta interesy lub sprawunki, zazwyczaj przychodziła na śniadanie do doktora Carr. Nie zdarzało się to często i przedtem Kasia nie potrzebowała jej zabawiać.

— Powiem, że panny są zajęte i nie mogą widzieć się z nią, wszakże dziś nie ma nawet obiadu — rzekła Brygida.

Dwa lata przedtem Kasia na pewno podskoczyłaby w górę na tę myśl, ale dziś była rozważniejsza.

— N-ie — odparła — nie chcę tego zrobić, musimy sobie jakoś poradzić, Brygido. Zbiegnij, droga Józiu, jak przystoi dobrej dziewczynce, i powiedz pani Worrett, że w jadalnym pokoju panuje nieład, ale zjemy tutaj śniadanie i że, gdy odpocznie, z przyjemnością zobaczę ją u siebie. Ach Józiu! Daj jej najpierw wachlarz, bo jej będzie *tak* gorąco. Brygido, możesz nie zmieniać śniadania, tylko dodaj smażone brzoskwinie na wety<sup>76</sup> i zrób dla pani Worret filiżankę herbaty, zdaje mi się, że ją zwykle pija.

— Nie mogę odprawić tej biednej kobiety, kiedy przybyła z tak daleka — tłumaczyła się Elżbietce, gdy zostały same. — Pchnij trochę fotel w tę stronę, Elżbietko, a te małe krzeselka ustaw pod ścianą, czy pamiętasz, że upadła z takiego ostatnim razem?

Dosyć czasu upłynęło, zanim się pani Worrett ochłodziła, i dopiero po jakichś dwudziestu minutach, ciężkie, trzeszczące kroki po schodach, oznajmiły, że gość nadchodzi. Elżbietka zaczęła się chichotać, bo ją ta pani zwykle pobudzała do śmiechu, ale zanim otworzyły się drzwi, Kasia zdążyła napomnieć ją wzrokiem.

Pani Worrett była najtłuściejszą, najgrubszą w świecie osobą. Nikt nie śmiał zgadywać, ile waży, ale *wyglądała* na tysiąc funtów<sup>77</sup>. Twarz miała niezmiernie czerwona i w najzimniejszą porę była rozgrzana, a w ciepłe dni zdawało się, że topnieje. W roz-

<sup>76</sup>wety — deser. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>tysiąc funtów — około 500 kilogramów. [przypis edytorski]

wiązanym kapeluszu, z wachlarzem w ręku, przeszła przez pokój, który trząsł się pod jej nogami.

— Jakże się masz, moja droga? — zapytała, rzucając się na fotel z biegunami.

— Bardzo dobrze, dziękuję pani — odrzekła Kasia, myśląc sobie, że nigdy jej nie widziała nawet w połowie tak tłustej jak teraz, i pytając siebie, czym ją zabawi.

— Jak się ma papa? — odezwała się pani Worrett. Kasia odpowiedziała grzecznie, po czym ją samą zapytała o zdrowie.

— Ja się zaokrąglam! — Słyszac te słowa, Elżbietka wybuchnęła śmiechem i schowała się za fotel Kasi.

— Miałam interes w banku — mówiła dalej nowo przybyła — i przyszło mi na myśl, że będąc tak blisko, wstąpię do panny Pettingill, żeby ją zabrać z sobą, jeżeli się uda, bo rozszerzyłaby mi czarną, jedwabną suknię. Była zrobiona zupełnie na miarę, ale musiałam nabrać ciała od tego czasu, gdyż nie mogę zapiąć haftek. Niestety, nie zastałam jej, więc cała wędrówka była daremna. Czy nie wiesz, gdzie teraz szyje?

— Nie — rzekła Kasia, zaledwie wstrzymując się od śmiechu, bo czuła, że fotel pod nią się trzęsie. — W przeszłym tygodniu szła u nas przez trzy dni sukienkę szkolną dla Joasi, ale odtąd nie słyszałam o niej. Elżbietko, pobiegnij na dół powiedzieć Brygidzie, żeby przyniosła... przyniosła... szklankę wody z lodem dla pani Worrett, bo się zdaje taka zgrzana po przechadzce.

Elżbietka, strasznie zawstydzona, wybiegła z pokoju i schowała się w sieni, żeby się pośmiać, po chwili wróciła z zupełnie poważną miną. Podano śniadanie, pani Worrett dobrze podjadła i zdawała się wszystkim zadowolona. Tak jej było wygodnie, że się nie ruszyła do czwartej po południu!

Ach, jakże długie wydało się to poobiedzie biednym dziewczętom, które łamały sobie główki, czym rozerwać olbrzymiego gościa.

Nareszcie pani Worrett podniosła się z krzesła i zaczęła się wybierać.

Zawiązując kapelusz, rzekła:

— Dobrze wypoczęłam i doszłam do siebie. Czy któreś z dzieci nie odwiedzi mnie w najbliższych dniach? Ty zwłaszcza sprawiłabyś mi największą przyjemność, nie każda dziewczynka umiałaby tak mieć staranie o tłustą i starą kobietę i dać jej takie wygody jak ty Kasiu. Chciałabym, żeby ciotka mogła cię widzieć teraz, byłaby zadowolona, wiem dobrze.

Te słowa jakoś mile zabrzmiały w uszach Kasi.

— Ach, nie śmieście się z niej — rzekła, gdy dzieci późnym wieczorem przyszły na górę po wypicie herbaty w uporządkowanym już jadalnym pokoju, a Cesia także przyłączyła się do nich, ubrana w piękny szal z różowo-białego batystu<sup>78</sup>. — Nie śmieście się z niej — mówiła Kasia — to prawdziwie dobra staruszka, nie lubię, gdy z niej żartujecie. Ona temu niewinna, że jest tłusta, zresztą wiecie, że ją kochała ciotka Iza, więc ze względu na nią okazujemy względy jej przyjaciółce. Przykro mi było, gdy przyszła, ale teraz już jestem zadowolona.

— Przyjemnie jest, gdy coś przestaje dolegać — odezwała się figlarnie Elżbietka, a Cesia szepnęła do Józi:

— Jakaż Kasia słodka!

— Nieprawdaż? Chciałabym w połowie być tak dobra. Myślę sobie czasami, że mi będzie szczerze przykro, jeżeli kiedyś wyzdrowieje. Taką jest pieśczołką naszą, gdy tu siedzi w fotelu, że nie byłoby tak miło widzieć ją gdzie indziej. Wiem, że to szkaradnie z mojej strony, zresztą nie przypuszczam, żeby się zmieniła i stała nieznośna, rażąca, jak inne dziewczęta, gdyby nawet odzyskała zdrowie.

— Ma się rozumieć, że nie — odparła Cesia.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY. NA KONIEC

Jakieś sześć tygodni później, kiedy Józia i Elżbietka były zajęte pewnego dnia na dole, przestraszył je gwałtowny dzwonek Kasi — obie pobiegły dowiedzieć się, czego potrzebuje.

Siedziała w swym fotelu z rozpaloną i wzburzoną twarzą.

<sup>78</sup>batystu — delikatnej, przezroczystej tkaniny. [przypis edytorski]

— Ach, dziewczęta! — wykrzyknęła. — Co na to powiecie? Ja stanęłam!

— Co? — zawołały.

— Doprawdy stanęłam! Stałam na nogach o własnej sile.

Obie siostrzyczki tak były zadziwione, że nie mogły mówić, więc Kasia wyjaśniała im dalej.

— Widzicie, to się stało nagle. Naraz doznałam uczucia, że stanę, gdy spróbuję, i prawie zanim pomyślałam, wydobywszy się z fotela, stanęłam. Tylko trzymałam się mocno poręczy. Taki mnie strach ogarnął, że sama nie wiem, jak powróciłam na fotel. Ach dziewczęta! — Ukrywszy twarz w rękach, Kasia płakała.

— Czy myślicie, że będę mogła to jeszcze powtórzyć? — spytała, patrząc wilgotnymi oczami.

— Ma się rozumieć — rzekła Józia, a Elżbietka tańczyła wokół, wołając troskliwie:

— Bądź ostrożna, bądź uważna!

Kasia spróbowała raz jeszcze, ale było już po wszystkim: nie mogła się ruszyć z fotela i zaczęła pytać siebie, czy to nie było snem.

Ale nazajutrz, gdy przypadkiem Józia była w pokoju, usłyszała nagły okrzyk i obróciwszy się, ujrzała Kasię stojącą na nogach.

— Papo, papo! — wołała Józia, biegnąc ze schodów. — Henrysiu, Joasiu, Elżbietko, chodźcie zobaczyć!

Ojca nie było w domu, ale dzieci zgromadziły się tłumnie. Tym razem Kasia powtórzyła próbę z łatwością. Zdawało się, że jej wola była w uspieniu, ale rozbudziła się, a członki poczuwszy to, stały się jej posłuszne.

Gdy ojciec wrócił, nie mniej był wzruszony od dzieci. Chodził ciągle wokół fotela, wypytywał Kasię, kazał jej to wstać, to usiąść.

— Czy ja naprawdę będę zdrowa? — zapytała cichym szeptem.

— Tak mi się zdaje, moja kochana — odparł doktor Carr, potem porwał Filipka i podrzucił go w górę. Dzieci pierwszy raz widziały, że papa zachowuje się jak mały chłopiec. Wkrótce jednak, widząc, że Kasia ma rozpaloną twarz i zgorączkowane oczy, wyciszył się, odprawił dzieci i usiadł, żeby ją uspokoić łagodnymi słowami.

— Sądzę, że to przyjdzie, moja droga, ale upłynie jeszcze dosyć czasu i będziesz musiała mieć wiele cierpliwości. Skoro się okazałaś tak dobrym dzieckiem przez te wszystkie lata, jestem pewien, że nie upadniesz i teraz. Pamiętaj, że lada nierozwaga cofnie cię znowu. Musisz poprzestać na stopniowym polepszaniu zdrowia. Nie ma drogi na skróty w powrocie do chodzenia, również jak do nauki, każde dziecko samo ją wynajduje.

— Ach, papo! — rzekła Kasia. — Czeakałabym i rok, byleby wyzdrowieć w końcu.

Jakże była szczęśliwa tej nocy! Zbyt szczęśliwa, żeby spać. Ojciec zauważył rano czerwone obwódki wokół oczu i potrząsając głową, rzekł:

— *Musisz być ostrożna, bo inaczej znów się położysz, gorączka cofnęłaby cię na długie lata!*

Kasia wiedziała, że ojciec ma słuszność, więc *była* ostrożna, chociaż okazało się to niełatwe, bo nowe życie krążyło w każdym członku.

Postęp był powolny, zupełnie jak przepowiadał doktor Carr. Z początku mogła stać tylko kilka sekund, potem minutę, potem pięć minut, trzymając się mocno fotela. Następnie odważyła się puścić fotel i stać sama. Po jakimś czasie stawiała po jednym kroku, pchając fotel przed sobą jak dziecko uczące się chodzić. Józia i Elżbietka czuwały nad nią jak troskliwe matczki. Było to zabawne i budziło pewne politowanie, gdy wysoka Kasia szła wolnym i niepewnym krokiem, a niższe od niej siostry postępowały za nią w roli opiekunek. Ale Kasia nie widziała w tym nic śmiesznego ani godnego litości, dla niej było to po prostu rozkoszą — najmilszą rzeczą w świecie. Nigdy jednoroczne niemowlę nie było tak dumne ze swych pierwszych kroków jak ona. Stopniowo wzrastała w niej odwaga i puszczała się śmielszym lotem. Józia, wbiegłszy raz na górę do swego pokoju, stanęła zdumiona, widząc, że Kasia tam siedzi rozpalona, drżąca, lecz zadowolona ze sprawionej niespodzianki.

— Widzisz — tłumaczyła się jej — ogarnęła mnie żądza odkryć. Od tak dawna nic nie widziałam prócz mego pokoju! Ależ, mój Boże! Jaka ta sień długa. Będę musiała dobrze wypocząć, zanim pójdę do siebie.

Odpoczęła dobrze, ale mimo tego bardzo była zmęczona nazajutrz. Jednakże nie zaszkodziła jej ta próba, po upływie dwóch czy trzech tygodni mogła chodzić po całym drugim piętrze.

Te wycieczki sprawiały jej tak wielką uciechę jak zajmująca książka, bo obserwowała różne zmiany i wszystko ją dziwiło.

— Henrysiu, jaką masz ładną półkę do książek! Kiedy ją kupiłeś?

— Tę starą? Już ją mam od dwóch lat, czy ci nie wspominałem?

— Może być, ale jej *nie widziałam*, więc nie zrobiła na mnie wrażenia.

Pod koniec sierpnia czuła się tak wzmocniona, że chciała zejść ze schodów, ale ojciec powiedział:

— Zaczekaj jeszcze, zmęcząłoby cię to znacznie bardziej niż chodzenie po równej drodze, lepiej odłóż to do czasu, kiedy będziesz zupełnie pewna swej nogi.

— Ja tak samo sędzę — rzekła Józia — prócz tego chciałabym uporządkować i upiększyć dom, zanim go zobaczy bystre oko pani gospodyni. Ach, powiem ci coś! Jaka śliczna myśl przyszła mi do głowy! Oznaczysz dzień, a my czekać cię będziemy i urządzi się uroczystość. Cóż to za miła będzie chwila!... A kiedy nastąpi, papo?

— Za dziesięć dni będzie mogła zejść bezpiecznie.

— Za dziesięć dni! To wypadnie siódmego września, prawda? — rzekła Kasia i dodała ciszej: — Jeżeli można, wołałabym zejść pierwszy raz ósmego, bo to był dzień urodzin mamy.

Narada stanęła więc na tym, a Józia wołała radośnie, skacząc i klaszcząc w ręce:

— Jeszcze nigdy w życiu nie obilo się o moje uszy nic tak miłego! Kiedy przyjdziesz na dół, papo? *Strasznie* potrzebuję rozmówić się z tobą.

— Zaraz pójdę, bo inaczej oberwiesz mi poły<sup>79</sup> od surduta — odparł ze śmiechem i zeszli oboje, a Kasia wyglądała przez okno w błogim usposobieniu.

„Ach! — myślała sobie. — Czy to być może? Czy zostaną wzięta do wyższej klasy, jak było w hymnie kuzynki Heleny, i czy na zawsze pożegnam cierpienie? Ale cierpienie wiąże się ściśle z miłością — teraz to widzę. Jak dobry był mój drogi nauczyciel!”

Józia zdawała się bardzo zajęta do końca tygodnia. Tłumaczyła się wprawdzie „myciem okien”, ale to nie wyjaśniało jej ciągłego znikania i tajemniczego ożywienia twarzy. Przy tym dochodziło z dołu jakieś stukanie młotem i tarcie drzewa. Dzieciom widocznie zaleciła, żeby czegoś nie mówiły, bo Filipek odezwał się parę razy: „ach, Kasiu!”. A potem umilkł, mówiąc żywo: „O mało się nie zapomniałem!”. Kasia była coraz ciekawsza, ale wiedząc, że owa tajemnica sprawi nie tylko jej przyjemność, postanowiła nie psuć niespodzianki wypytywaniem.

Nareszcie nastąpił wieczór poprzedzający ten uroczysty dzień.

Gdy Józia weszła do pokoju na chwilę przed herbatą, Kasia rzekła:

— Patrz, panna Pettingill przyniosła mi nową suknię, ubiorę się w nią pierwszy raz, gdy będę schodzić na dół.

— Jaka ładna! — odrzekła Józia, oglądając sukienkę z miękkiego, popielatego kaszmiru, ozdobioną wstążkami w tych samych barwach. — Ale Kasiu, ja tu przyszłam zamknąć drzwi. Brygida będzie zamiatać w sieni, a nie chciałabym, żeby tu naleciało kurzu, bo wszakże twój pokój był wyszczotkowany dziś rano.

— Szczególna pora do zamiatania sieni! — odezwała się Kasia z zadziwieniem. — Dlaczego nie każesz jej czekać do jutra?

— Nie mogę, widzisz... Ona... Zdaje mi się, że ma co innego robić jutro. Wygodniej, żeby zamiotła teraz. Nie wzbraniaj się, Kasiu droga, tylko trzymaj drzwi zamknięte. Dobrze? Przynieknij.

— Najchętniej — powiedziała coraz bardziej zdumiona Kasia i uległa prośbom Józii. Chciała potem czytać, ale tak była zaciekawiona, że litery skakały jej przed oczami i nie mogła się powstrzymać od podsłuchiwania. Brygida umyślnie hałasowała szczotką, lecz mimo to zdawało się Kasi, że słyszy inne odgłosy i chodzenie po schodach, otwieranie i zamykanie drzwi, tłumienie śmiechu. Jakież to wszystko wydawało się jej dziwne!

— Mniejsza o to — rzekła, zatykając uszy — jutro dowiem się wszystkiego.

Nazajutrz dzień był chłodny i miły — ideał wrześniowej pogody.

<sup>79</sup>poły — dolna część ubrania. [przypis edytorski]

— Kasiu — rzekła Józia, gdy przysła z ogrodu z pełnymi rękami kwiatów — jaka twoja suknia jest ładna, jeszcze nigdy nie wyglądałaś tak dobrze — mówiąc to, przypięła jej jeden czerwony goździk do stanika<sup>80</sup>, a drugi do włosów.

— Teraz jesteś już wystrojona! Papa przyjdzie za kilka minut, żeby cię sprowadzić na dół.

W tej chwili weszły Elżbietka i Joasia, ubrane równie jak Józia w swe najładniejsze sukienki. Widocznie była to uroczystość dla całego domu. Cesia przyłączyła się także do ich grona, zaproszono ją bowiem, żeby widziała Kasię schodzącą na dół. Ona również miała na sobie nową suknię.

— Jakie jesteśmy wystrojone — rzekła Józia, spostrzegłszy, jak świetnie wygląda. — Obróć się Cesi, jaka szarfa! Strasznie robisz się dorosła, panno Hall!

— Żadna z nas nie będzie tak „dorosła” jak Kasia — odparła Cesia ze śmiechem.

Na koniec ukazał się pan Carr. Bardzo powoli zeszli ze schodów — Kasia wsparta na ojcu, przy niej Henryś, dziewczęta za nimi, a Filipek na samym przodzie. Dorota, Brygida i Aleksander wychylali głowy z kuchni, żeby ją zobaczyć, a stara Marianna płakała z radości, zasłaniając oczy fartuszkami.

— Ach, frontowe drzwi są otwarte! — rzekła Kasia z uniesieniem. — Jak ładnie! A jaka piękna cerata! Wszakże nowa? Nie było jej, gdy chodziłam jeszcze.

— Nie zatrzymuj się przy *tym* — wykrzyknął Filipek, któremu widocznie pilno było. — To nie jest nowa cerata, już dawno, dawno tu leży! Chodź lepiej do bawialnego pokoju!

— Dobrze — powiedział ojciec — obiad jeszcze niezupełnie gotowy, masz więc czas odpocząć trochę. Cudownie to zniosłaś, Kasiu. Czy bardzo się zmęczyłaś?

— Ani trochę — odparła wesoło. — Zdaje mi się, że mogłabym zejść sama. Ach! Drzwi od szafy z książkami naprawione! Jak ładnie wyglądają!

— Nie zatrzymuj się! Nie zatrzymuj! — powtarzał Filipek, wychodząc z siebie z niecierpliwości.

Poszli więc dalej: ojciec otworzył drzwi od bawialnego pokoju, Kasia postawiła jeden krok i stanęła. Rumieniec wystąpił jej na twarz i chwyciła się klamki, żeby nie upaść. Cóż ujrzała?

Nie tylko sam pokój, świeże muślinowe firanki i wazoniki z kwiatami, nawet nie tylko szerokie, piękne okno zrobione od słonecznej strony ani nie kuszącą sofę ze stolikiem, widocznie dla niej przygotowane. Nie, znajdowało się tam jeszcze coś innego. Sofa była wysunięta, a na niej, wsparta na poduszkach, z jasnym wzrokiem zwróconym ku drzwiom leżała kuzynka Helena! Zobaczywszy Kasię, wyciągnęła do niej ramiona.

Józia i Cesia zgodziły się później na to, że nigdy w życiu nie były tak przestraszone jak w owej chwili, bo Kasia, zapominając o swej niemocy, puściła rękę ojca i zupełnie *biegła* do sofy.

— Ach, kuzynko Heleno! Droga, droga kuzynko Heleno! — wołała. Potem jakoś padła przy sofie, dwie pary rąk i dwie twarze złączyły się i przez pewną chwilę nikt się nie odezwał ani jednym słowem.

— Czy to nie ładna niespodzianka? — wykrzyknął Filipek, przewracając koziołka, jak gdyby dla ulżenia swym uczuciom. Joasia zaś i Henryś wykonywali jakiś wojenny taniec wokół sofy.

Głos Filipka przerwał zakłęte milczenie i powstał zupełny chaos pytań i wykrzykników.

Okazało się, że ten szczęśliwy pomysł sprowadzenia kuzynki Heleny na „uroczystość” zrodził się w głowce Józii, podała ten plan ojcu i zajęła się jego wykonaniem. Co za sprytny plan! Kazała Brygidzie zamiatać się, żeby Kasia nie usłyszała przybycia gościa.

— Kuzynka Helena zabawi u nas trzy tygodnie tym razem, czy to nie śliczna rzecz? — pytała Elżbietka, podczas gdy Józia niespokojnie badała Kasię:

— Czy na pewno nic nie podejrzewałaś? Ani trochę? Ani odrobinki, ty myślący molu?

— Nie, doprawdy nic a nic. Jakże mogłam odgadnąć coś tak rozkosznego? — I znowu z zapalem pocałowała Helenę.

Jakże krótki wydał się ten dzień! Tak wiele było do pytania, do patrzenia, do mówienia, że godziny mijały, a wieczór nastąpił jako nowa i wielka niespodzianka dla całego grona.

<sup>80</sup>stanik — górna części sukienki. [przypis edytorski]

Kuzynka Helena może była ze wszystkich najszcześliwsza, bo oprócz tego, że Kasię widziała prawie zdrową, cieszyły ją postępy, jakie zaszły w ciągu czteroletniego niewidzenia w kuzynkach, tak przez nią ukochanych.

Zajmującą było rzeczą przyglądać się im wszystkim. W Elżbietce i Henrysiu nastąpiła najkorzystniejsza zmiana. Elżbietka zupełnie się pozbyła żalostnej minki i trochę obraźliwego tonu mowy — i wyrosła na raźną, ożywioną dwunastoletnią dziewczynkę. Grymasna twarzyczka Henrysia zrobiła się otwarta i rozumna, a obejście wesołe i uprzejme, był to jeszcze spokojny i nie bardzo bystry chłopiec, ale zapowiadał się na człowieka wielkiej wartości. Dla niego, równie jak dla innych dzieci, Kasia była widocznie centrum i słońcem. Wszyscy krążyli koło niej i we wszystkim jej ufali. Kuzynka Helena zauważyła, że Filipek, upadwszy raz i uderzywszy się mocno, uciekł się do niej z płaczem i odszedł pocieszony, że Joasia szeptała jej jakąś ważną tajemnicę, a Elżbietka prosiła o pomoc w robótce. Widziała, że Kasia ich przyjmuje słodko, mile — nie nakazuje nic jako starsza siostra ani nie przemawia jak dawniej ostrym tonem. Co więcej, spostrzegła zmianę na jej twarzy, miły wyraz w oczach, szlachetne obejście, przyjemny głos, grzeczność, takt przy dawaniu rad, tak że nie czuło się, iż je daje.

— Droga Kasiu — rzekła parę dni po przyjeździe — te odwiedziny sprawiają mi wielką przyjemność! Nie możesz sobie wyobrazić, jak wielką! Tak są odmienne od ostatnich, kiedy ty byłaś taka chora, a wszyscy tacy smutni. Czy pamiętasz?

— O pamiętam! Ale nie zapomniałam i tego, jak byłaś dobra i jak wiele mi dopomogłaś. Nigdy, nigdy nie wyjdzie mi to z pamięci!

— Cieszę się, lecz bardzo mało zdołałam uczynić. Sama się uczyłaś przez ten cały czas. Kasiu droga, muszę ci powiedzieć, jaki to przyjemny dla mnie widok, że się tak mężnie wyrobiłaś. Spostrzegam to we wszystkich: w ojcu, w dzieciach, w tobie samej. Zdobyłaś sobie miejsce, które, jeżeli pamiętasz, co opowiadałam niegdyś, jedna kaleka próbowała pozyskać: jesteś duszą całego domu.

— Ach, kuzynko Heleno, nie mów tego — rzekła Kasia i oczy jej zaszły nagle łzami. — Nie byłam mężna, nie możesz sobie wyobrazić, jak się źle zachowywałam nieraz i jak jestem cierpka i niecierpliwa, niewdzięczna, głupia i ociężała. Co dzień patrzę na rzeczy, które powinny być zrobione, a nie robię ich. To zbyt rozkoszne, że mnie chwalisz, ale nie powinnaś, bo nie zasługuję na to.

Chociaż Kasia mówiła, że nie zasługuje, zdaje mi się, że zasługiwała!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/coolidge-co-kasia-robila/>

Tekst opracowany na podstawie: Susanne Coolidge, *Co Kasia robiła*. Powieść dla młodocianego wieku, tłum. Zofia Grabowska, Warszawa 1875.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

ublakacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Ilona Kalamon, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7281-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.